

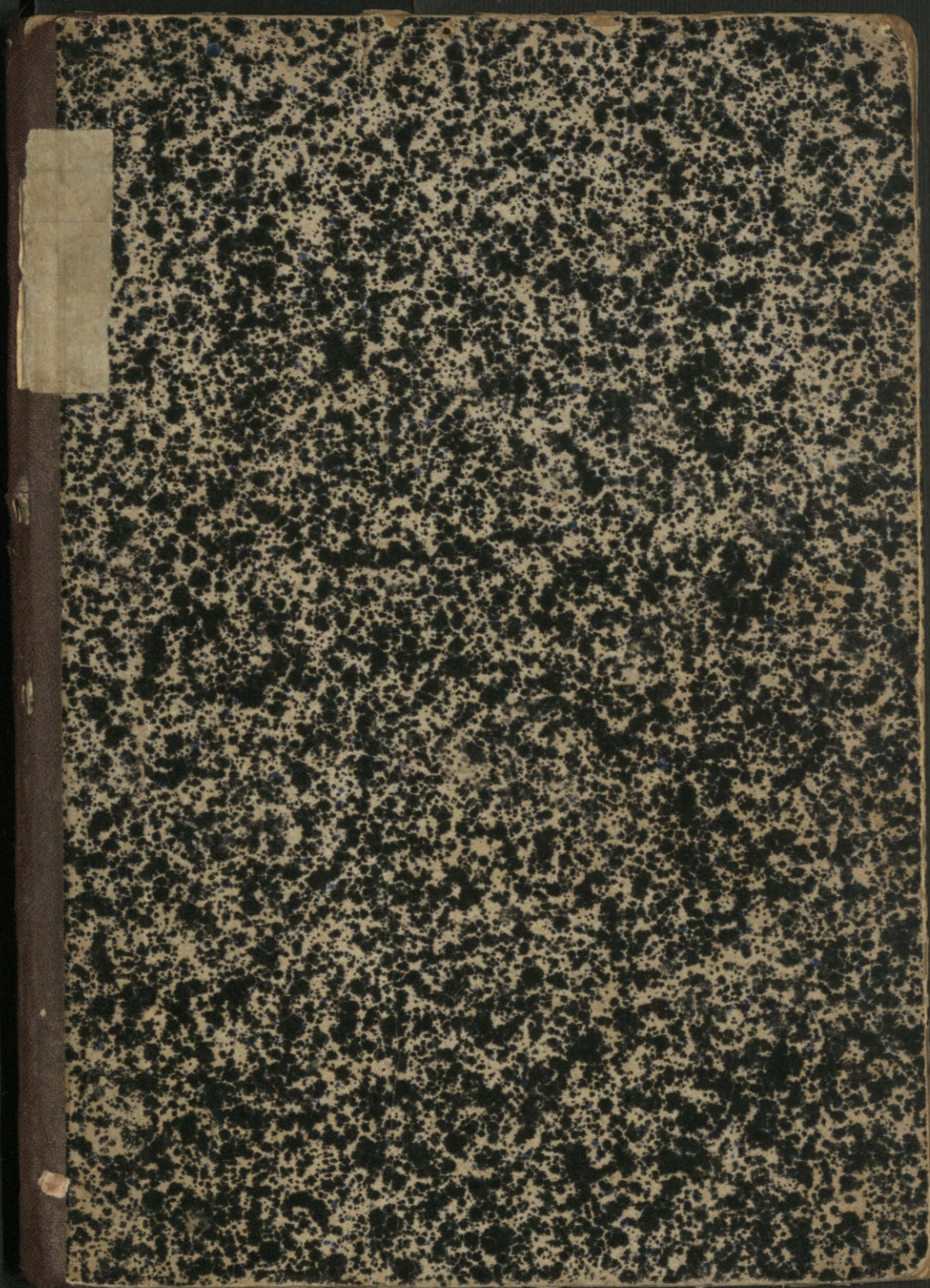


Grey Scale #13

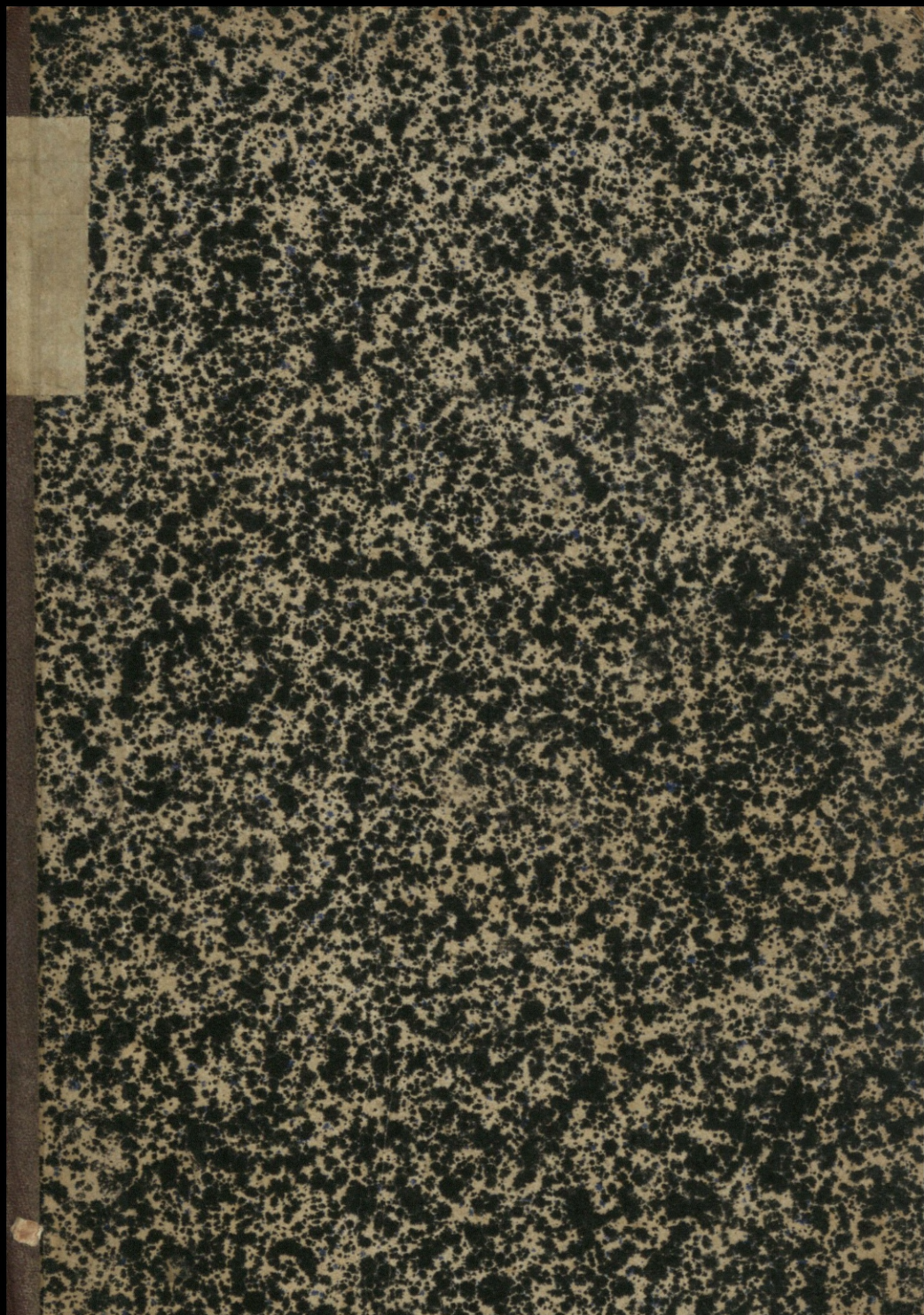


DANES-PICTA.COM

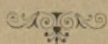
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13



Teodor Jeske-Choiński.

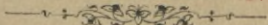


ROZKŁAD w życiu i literaturze.

STUDYUM.

Z KSIĘGOZBIORU
Stanisława Milewskiego

Mr. kol. Dział Nr. dz.

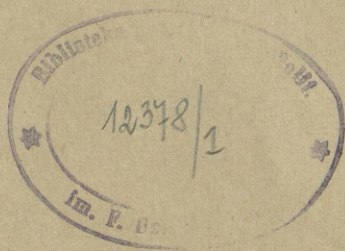


Warszawa.

W drukarni „Wieku”.

—
1895.

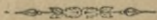
Дозволено Цензурою.
Варшава, 22-го Марта 1895 года.

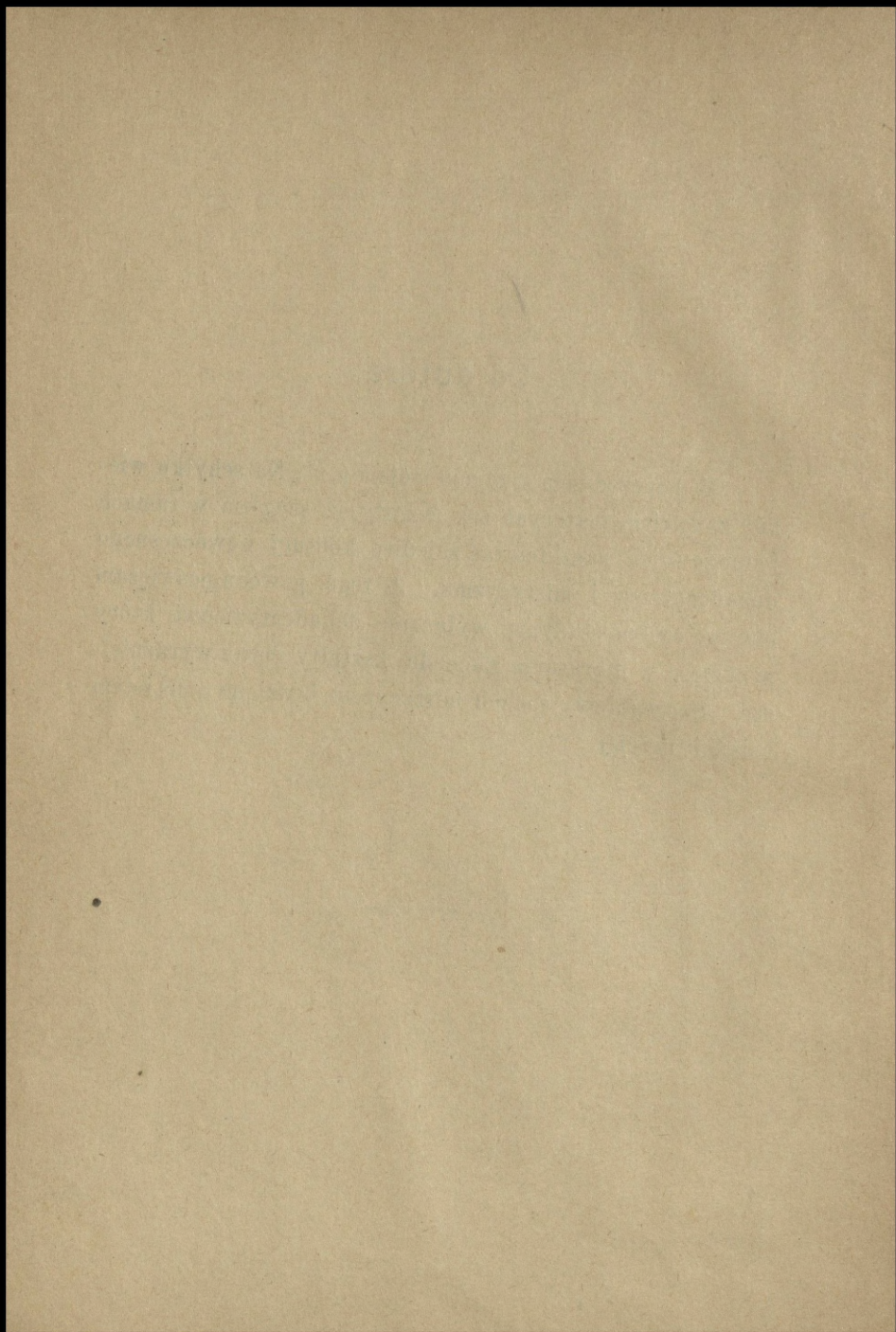


Od autora.



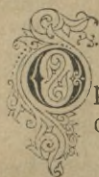
W poprzednim studyum mojem p. t. „Na schyłku wieku“ zawarłem materyał tak bogaty, iż mogłem w ramach jednego tomu naszkicować zaledwo kontury nowoczesnego dekadentyzmu i mistycyzmu. Z tego powodu poświęcam obecnie osobne studyum wyłącznie dekadentyzmowi, który przybiera w literaturze Zachodu kształty coraz wyraźniejsze. Szczegółowy rozbiór mistycyzmu będzie przedmiotem książki trzeciej.





I.

Rozkład cywilizacji rzymskiej.



powiada Liwiusz, że jeszcze na dworze Filipa Macedońskiego drwiono z „ubogiego Rzymu.“

Nie marmurowe pałace wykołysały „wilcze plemię,“ które miało panować przez szereg wieków nad światem. W lepiankach, krytych gontami lub słomą, rodzili się i chowali pierwsi bohaterowie i prawodawcy Romy, jej wielkości twórcy — jej królowie i konsulowie.

Ale już Owidyusz cieszy się, że mu los pozwolił żyć w Rzymie „złotym, cywilizowanym, oświeconym.“

Złotym, cywilizowanym, oświeconym był wistocie Rzym cesarów.

Cudzoziemiec, spoglądający przy końcu pierwszego stulecia ery chrześcijańskiej z wyżyn Kapitolu w stronę *forum*, miał przed sobą obraz, który przypominał sny poetów. Obok niego wznosiła się biała świątynia Jowisza, a przed nim lśniły, z prawej i lewej strony, domy bogów, pałace, sklepy, hale, bramy tryumfalne, posągi... Frygijski lub kararyjski marmur raził w dzień pogodny jego oczy, jak słońce, nocą zaś, obłany błękitnawem światłem księżycy, prznosił go w zaczarowane krainy legend.

A w tych świątyniach, pałacach i domach spoczywały skarby artystyczne i dziwy całego świata cywilizowanego. Co wydał geniusz plastyczny Grecyi i Egiptu (posągi, obrazy, sfinksy, obeliski), co stworzyła przemysłność i pracowitość innych narodów, nad czem ludzkość cała potniała — wszystko to zabierali wodzowie rzymscy prawem zwycięzcy i wiedli przez góry i morza nad Tyber, by plonami cudzego trudu ozdobić miasto miast... „złotą, wieczną, świętą Romę“ (*aurea, aeterna, sacra*).

Gdzieś daleko, w lasach Germanii lub Galii, urodził się karzeł; w górach Hiszpanii przyszedł na świat olbrzym; jakiemś Dakowi lub Sarmacie wylęgło się kureczę o dwóch łebkach, cielę o pięciu nóżkach, źrebię z podwójnym ogonkiem; w Recyi wyrosło drzewo niezwyklej wysokości; na wodach morza północnego złowiono wieloryba, a nad brzegami Włoch południowych ogromnego raka. Karzeł, olbrzym, kureczę, cielę, źrebię, drzewo, wieloryb, rak i t. d., wszystkie potworności i dziwy „świata“ szły do Rzymu, jako dar dla cezara, który je publicznie ku zabawie motłochu wystawiał, a następnie oddawał na schowanie świątyniom.

Jak obecnie, był Rzym i wówczas jednym wielkiem muzeum.

Był i środowiskiem wszystkich ludów, znanych cywilizacyi starożytnej. Ciągnęły do niego świetne poselstwa „barbarzyńskich“ królów, spieszyli uczeni greccy i egipscy, turyści, kupcy, spekulanci, karyerowicze, awanturnicy — znudzeni, szukający rozrywki, — chciwi, goniący za złotem, sławą i władzą. Na polu marsowem, w lasku bułońskim Rzymu ceszarów, spotykało się w porze przedobiedniej najrozmaitsze rasy i narodowości, od jasnowłosego germanina począwszy, aż do czarnego mieszkańca lasów afrykańskich.

Bo gdzież było łatwiej o wiedzę, o rozkosz życia, o złoto i znaczenie?

Uczonych i artystów wabiły do Rzymu liczne biblioteki, zbiory i posady w domach możnych (nauczyciele, lektorowie, filozofowie nadworni). Sieć wybornych dróg, których resztki budzą jeszcze dziś podziw inżynierów, i znakomicie urządzona poczta, ułatwiały pogląd na najważniejsze wypadki chwili. Cokolwiek stało się gdzieś, choćby na krańcu *imperium*, o tem wiadano w stolicy w kilka, w kilkanaście dni potem. Bezustannie pędzili kuryerowie po wszystkich traktach cesarstwa, niosąc Rzymowi, spragnionemu nowin, wiadomości osobliwe.

Rozkoszników pociągał Rzym cesarów bogactwem uciech. Nie było nigdzie tyle pięknych i do wyuzdanej miłości chętnych kobiet, ile w stolicy świata, nigdzie takich kucharczów, aktorów, gladyatorów i woźniców cyrkowych, nigdzie w końcu takiego wyboru przedmiotów zbytkownych. Wszystko, co ówczesny świat posiadał lub wytwarzał najlepszego, płynęło bez przerwy nad Tyber. Hiszpania oddawała Rومی najprzedniejszą wełnę, Chiny jedwab, Aleksandrya płótno i szkła kolorowe, wyspy greckie wino, ostrygi, tancerki i filozofów, Sycylia i Afryka zioła lecznicze, Arabia wonie, morze Czarne ryby, Alpy sery, Ural szmaragdy, Atlas drzewo, Egipt lekarzów i t. d. Cały świat starożytny żył, myślał, pracował za cesarów tylko dla Rzymu.

Sybaryta i lubieżnik pierwszych wieków ery chrześcijańskiej nie potrzebował się trudzić wyszukiwaniem środków, służących do podrażnienia stępionych zmysłów: miał je wszystkie pod ręką.

Dla próżniaków, karyerowiczów i sprytowiczów był Rzym cesarów rajem. Dziesiątki tysięcy „klientów“ żywiły się okruchami ze stołów możnych. Za to, że ktoś składał codziennie poranny hołd jakiemuś bogaczowi i postępował w jego świetle obok lektyki, towarzysząc mu do senatu, na

sądy i do świątyń, płacono stałe wynagrodzenie lub dopuszczano do biesiady.

O najuboższych pamiętali cesarowie i godności swoje obejmujący dygnitarze. Dla nich to nadechodziło zboże z Egiptu, dla nich urządzano krwawe widowiska cyrkowe. Najnędniejszy proletaryusz stolicy bawił się lepiej od możnego mieszkańca prowincyi.

Kto nie chciał pracować lub kogo trawiła żądza rychłych dostatków, ten spieszył do Rzymu. Zręczne nogi, bystre oko i pewna ręka, giętkie członki, długie ucho, zuchwałstwo, bezczelność, podłość, nieuczciwość i t. p., dawniej wzgardzone „zdolności,“ zdobywały pierścień rycerski, czasami purpurę senatorską, a prawie zawsze znaczną fortunę.

Zwycięzkiem wodzom odmawiał Rzym cesarów zaszczytu tryumfu, uczonym i poetom skąpił chleba, na odwagę i cnotę obywatelską spoglądał z zawiścią, ale aktorom, wirtuozom, linoskokom, denuncyantom i zbirom przeróżnym rzucał miliony sestercyj, oklaski, wience, godności nawet.

Więc płynęły do owej „złotej, wiecznej, świętej Romy,“ korzystającej z pracy setek pokoleń i narodów, wszelkie szumowiny ówczesnego „świata,“ a „złota, wieczna, święta Roma,“ tak rozległa i wysoka, iż jej najdalszy wzrok nie mógł ogarnąć, miała dla każdego przybysza kącik mniej lub więcej wygodny. Kto nie znalazł miejsca w pałacach, w gmachach rządowych lub kamienicach prywatnych, budowanych przez spekulantów na 70 stóp w górę, ten przytułił się gdzieś na przedmieściach, opierających się z jednej strony o góry albańskie, z drugiej o morze.

Tak szeroko rozsiadł się Rzym cesarów, iż trudno było orzec, gdzie się właściwie zaczynał, a gdzie kończył. Posuwając się coraz dalej w Kampanię, przygarniał do siebie miasteczka i siola, wille i osady, łącząc olbrzymią masę zabudowań, ogrodów i placów w jedną nieprzejrzaną całość.

Co ostatni konsulowie rzeczypospolitej rozpoczęli, te-

go dokonali monarchowie. Nawet najgorsi z pomiędzy nich, nawet taki Kaligula, Neron i Domicyan, stroili stolicę ludu rzymskiego, który wierzył, iż zostanie panem świata do końca istnienia rodu ludzkiego.

Ale w tym bujnym, świetnym kwiecie, budzącym podziw i zazdrość cudzoziemców, pracował już robak niszczenia. Nie widzieli go cesarowie, olśnieni blaskiem wielkości własnej i cesarstwa, nie przeczuwał go przeciętny obywatel rzymski, szczęśliwy, że do jego stóp kładły się posłusznie Europa, Azja i Afryka. Jego robotę tajemną dostrzegały od czasu do czasu tylko dusze niepospolite, nie tracące przytomności wśród błyskotliwego otoczenia.

Skarżył się już Horacyusz na zanik dawnych cnót rzymskich, chociaż wszechświatowa potęga Romy utrwałała się dopiero za jego czasów. „Przed bogami się korząc, panowałeś — wołał wykwintny poeta, nie skory do moralizowania. — Z tego źródła wytrysnął twój początek, z niego też wyjdzie twój koniec...” „Bogaty w nieprawości, skaził nasz czas nasamprzód małżeństwo, dom, rodzinę...” *).

W nadmiernym egoizmie, w chciwości władzy i używania widział Tacyt przyczyny upadku obyczajów i cnót obywatelskich. Stara i zdawien dawna człowiekowi przyrodzona żądza panowania — uczył — przebudziła się z chwilą, gdy państwo poczuło swoją potęgę. Bo dopóki własność nie przekraczała granic umiarkowanych, dopóty zgadzano się chętnie na równość. Ale gdy po zwyciężeniu świata i po zniszczeniu współzawodniczących z sobą miast i królów runęły wszystkie przeszkody, powstrzymujące zachcianki indywidualne, wówczas zaczęły się... i t. d. *).

Bliższym prawdy od historyka, chociaż o nią zaledwie

*) Horat. Ody; III, 6.

*) Tacit. Histor. II, 38.

potrącił, był poeta, gdy wyrzucał współczesnym sponiewieranie bogów, na co bowiem Tacyt wskazywał jako na przyczynę, jest wszędzie i zawsze dopiero skutkiem.

Dowiódł uczony francuski, Fustel de Coulanges, że twórczynią zwyczajów i obyczajów, wyobrażeń i ideałów Grecyi i Rzymu, była religia, przyniesiona do Europy z nad Gangesu, z prastarej kołyski plemion aryjskich *).

Ta religia pierwotna, która uformowała duszę narodów, zwanych klasycznymi, nie miała zrazu nic wspólnego z późniejszą. Była ona prosta, bez dekoracyj i przystawek poezyi.

Człowiek nie umiera ze śmiercią — wierzyli grecy i rzymianie tak samo, jak ich przodkowie indyjscy. — Gaśnie on, ale tylko dla życia na ziemi, aby wieść był nieskończony pod jej powierzchnią.

Nie do nieba, piekła, lub innego miejsca nagrody czy karni przenosi się człowiek po dokonaniu dni doczesnych, lecz istnieje dalej w tem miejscu, w którym go pochowano. A istnieje po ludzku, z potrzebami ludzkiemi. Przeto powinien najbliższy krewny nieboszczyka pamiętać o pokarmach i napojach dla niego. Ztąd pochodził zwyczaj oblewania grobów winem, oliwą i stawiania obok nich naczyń z potrawami.

Ponieważ zmarły mógł *tylko* pod ziemią żywot przedłużyć, przeto należało go koniecznie tą ziemią przykryć. Grzeszył przeciwko pamięci przodka lub karał okrutnie winnego **), kto mu prawidłowego odmówił pogrzebu, nieboszczyk bowiem, walający się po powierzchni ziemi lub po

*) Fustel de Coulanges; „La cité antique; étude sur le culte, le droit, les institutions de la Grèce et de Rome“; wydanie 14-te; Paryż 1893 r., rozdziały: I, II i III.

**) W Grecyi i Rzymie karano zbrodniarzów nietylko śmiercią lecz także odmawiano im pogrzebu.

chowany bez zwykłego ceremoniału, nie miał spokoju, stawał się rodzajem upiora, który błędził dopóty między żyjącymi, groźny dla nich i szkodliwy, dopóki się ktoś nad jego zwłokami nie ulitował.

Wierzenie to tłumaczy tragiczność „Antigony,“ niezrozumiałą dla serc nowoczesnych i wogóle strach greków i rzymian przed śmiercią bez pogrzebu. Było ono tak silne, że przemogło szyderstwo filozofii. Jeszcze wówczas, kiedy wykształceni drwili już dawno z Olympu, jeszcze za cesarów, odbierało sobie mnóstwo rzymian oświeconych głównie dlatego życie, aby ich urzędowy wyrok śmierci nie pozbawił pogrzebu. Opowiada Swetoniusz *), że Kaligula, rzucony do ziemi bez ceremoniału, straszył w nocy stróżów ogrodów cesarskich, a uspokoił się dopiero wtedy, gdy go odkopano i pochowano powtórnie z zachowaniem obrzędów religijnych.

Nie sam zresztą świat starożytny przywiązywał wartość do prawidłowego pogrzebu. I nasi chłopci zbierają i odkładają dotąd ciężko zapracowany grosz i zostawiają najlepszy przyodziewek na drogę ostatnią. Dla ludu nie przestał być „uczciwy pochówek“ miłą nagrodą za dobrze spędzony żywot.

Był to więc „przesąd“ rasy aryjskiej wogóle, tak mocno zakorzeniony, że przetrwał różne przewroty religijne i ostał się bez zmiany, zamierzchłych czasów świadek wymowny.

Bo mylnie jest mniemanie, jakoby ludzkość zawdzięczała wiarę w życie pogrobowe narodowi żydowskiemu. Nie semici nie wiedzący bardzo długo nic o dalszem istnieniu człowieka, lecz plemiona aryjskie uczyniły kult umarłych podstawą swojej religii. Pierwotne pojęcie nieśmiertelności

*) Sueton. „Caligula,“

rodu ludzkiego nie odznaczało się wprawdzie wytwornością i subtelnością, ale istniało u Aryów od samego początku ich historii. Z naiwnego przecucia, z niekształtnej poczwarki rozwinął się z czasem motyl wspaniały — chrześcijańska nieśmiertelność duszy.

Kult umarłych stanowił zrazu całą religię greków i rzymian. Człowiek, wracający do ziemi, stawał się istotą wyższą, gieniuszem rodu, czemś boskiem, co posiadało moc szkodzenia lub pomagania żyjącym. Gdy potomek pamiętał o przodku szczerze i ze czcią, wówczas miał prawo odwoływać się do jego opieki.

Zmysłowem wyobrażeniem, symbolem bóstwa, które czuwało nad zagrodą, rodziną, osadą, miastem, państwem w końcu, było ognisko (żnicz) rasy aryjskiej. W każdym domu greckim lub rzymskim znajdował się ołtarz, a na nim płonął wieczny ogień, od którego podtrzymania zależało szczęście zagrody, rodziny, miasta. Ztąd owe wielkie znaczenie Westy — wszechogniska ludu rzymskiego. Obrażał ducha opiekuńczego państwa, kto lekceważył święty płomień.

Z ogniska wykwitły wszystkie cnoty Rzymu. Bo ten święty ogień nie znosił serc, sumień i rąk *nieczystych*. Kto się do niego zbliżał, powinien był być *czystym* w rozumieniu fizycznym i moralnym. Złodziejom, mordercom, kłamcom, krzywoprzysięzcom, wiarołomnym mężom i żonom, słowem, wszelkim niegodnym, jakimś występkiem splamionym członkom domu, nie wolno było stawać przed ogniskiem.

Wyobrażeniu bóstwa należał się kult i kapłan. Tym kapłanem ogniska był zawsze jego główny przedstawiciel, naczelnik domu. On podsyczał płomień, składał mu ofiary, modlił się do niego i dbał o jego, czyli o całego rodu *czystość*. Jako pośrednik między żyjącymi a zmarłymi, posiadał ojciec rodziny wysokie przywileje: sądził i rozkazywał samowładnie.

I tak było święte ognisko (religia) nie tylko źródłem cnót pierwotnego Rzymu, ale także twórcą jego praw, zwyczajów i obyczajów. Wiadomo, że królowie i konsulowie odwoływali się zawsze przed każdą czynnością publiczną do pomocy bogów. Ani wyborów, ani wojny, ani żadnej innej sprawy donioślejszego znaczenia nie zaczynali bez ofiar, modłów i radzenia się wróżbitów. Religia towarzyszyła rzymianinowi od kołyski aż do grobu. Usunęła ją na plan drugi dopiero filozofia.

Zabrawszy się do krytyki starodawnych wierzeń i podań aryjskich, filozofia nie spoczęła dopóty, dopóki nie zerwała całego gmachu przeszłości. A gdy zburzyła, co lat tysiące dźwigały, wówczas zaczęła zwyczajem swoim błądzić po manowcach różnych hipotez, aż zawięła do odwiecznego portu wszelkiej negacyi, do płaskiego materyalizmu.

Proces ten odbywał się w Grecyi wolno. Ale w Rzymie, który wziął z Aten gotowy plon wieków, przyszedł tak nagle, iż sceptycyzm religijny nastąpił bezpośrednio po wierze.

Gdy Rzym, załatwiwszy się z robotą dziejową na zewnątrz, zaczął się wewnątrz u siebie, wygodniej urządzać i pragnąc się zrównać z narodami wytworniejszemi, zabrał się do nauki i sztuki, do księgi i lutni, wówczas wydawał z siebie gasnący geniusz Grecyi już tylko zgrzyty chrapliwe: filozofię materyalistyczną, rozgadaną nad miarę sofistykę, wyuzdaną komedię, zmysłową, na wskroś poezję i lubieżną powieść.

A właśnie te zgrzyty chrapliwe chwyciła nieprzygotowana naukowo, nieprzetrawiona, więc zdrowego krytyzmu pozbawiona Roma, i struła się niemi odrazu. Cywilizacja znikczemiałej Grecyi nie przyniosła twórcom wszechświatowego państwa szczęścia. Kształcąc ich umysłowo, zniweczyła w krótkim czasie ich dawną dzielność męską i siłę etyczną. W chwili, kiedy Rzym zaczął brać udział w

pracy umysłowej ludzkości — na lat kilkadziesiąt przed narodzeniem Chrystusa — kiedy zaczął myśleć i śpiewać, był odrazu, bez przejścia, płytkim materialistą i zdawkowym ateuszem.

Co mówi Lukrecyusz w swoim poemacie dydaktycznym (*De rerum natura*) przeciw religii, powtarzali aż do znużenia wszyscy niezawisli myśliciele bieżącego stulecia. „Nikczemnie przedstawiało się życie ludzkie — mówi poeta rzymski — dopóki marniało pod obuchem religii. Ona to, wysuwając głowę z krain niebieskich, spoglądała na śmiertelników wzrokiem straszliwym.“ „Ale — cieszy się Lukrecyusz — w Grecji powstał mąż (ma być Epikur), który ośmielił się podnieść oko do religii i wystąpić przeciwko niej. Nie powstrzymały go miejsca poświęcone, błyskawice i pioruny. Wszystkie te przeszkody zachęciły raczej jego siły duchowe do złamania okowów, w których natura dotąd jęczy“ ... „I tak padła religia pod jego stopami.“ *)

Religia Grecji i Rzymu padła rzeczywiście pod stopami filozofii, nietylko ta, którą praojcowie ludów „klasycznych“ przynieśli z sobą z Indyj, ale i ta, którą sobie ich potomkowie później dotworzyli. Rzym cesarów nie modlił się już do ognisk domowych, nie wierzył w życie pozagrobowe, a z bogów Olympu, chociaż im złociste stawiał świątynie, drwił dowiecinnie.

— Wszystkich spotyka z ostatnią godziną to samo — uczył stary Pliniusz **) — czem byli przed pierwszą (ma być nicieść). Jak przed urodzeniem, nie posiada człowiek i po śmierci czucia i świadomości. Próżność tylko ludzka przedłuża istnienie w przyszłość i wynajduje kłamane życie pozagrobowe, wyposażając duszę to nieśmiertelnością, to zdolnością przeobrażania, i mianując bogami tych, którzy

*) Lucret. „De rerum natura“ I, 63—72; 79—80.

**) Plin. N. h. VII, 188 i następane.

nawet ludźmi być przestali. Jakby się nasz oddech różnił czemkolwiek od oddechu reszty stworzeń, albo jak gdyby nie było w naturze tyle innych, dłużej od nas trwających rzeczy, którym mimo to nie przypisuje nikt nieśmiertelności“... „Są to bajki dla dzieci i wytwory mózgow śmiertelnych, którym się umrzeć nie chce!“

I Kwintyliani i Tacyt i wielu innych, chociaż nie przeczyli z taką namietnością, jak stary Pliniusz, nie wierzyli w życie pozagrobowe. W pierwszym stuleciu po Chrystusie bronili nieśmiertelności człowieka z mężów wybitniejszych w Rzymie prawie jedyny Seneka, bliższy platonizmowi, niż stoicyzmowi, do którego się przyznawał.

Ale i on, tak samo jak Cynceron, inny zwolennik Platona, lekceważył podania religijne. „Nie ma już ludzi tak dziecinnych — twierdził Seneka — którzyby się obawiali Cerbera, ciemności i duchów.“ *) „Nawet stare baby — mniemał Cynceron **) — nie lękają się bladego, ciemnościami owianego królestwa śmierci.“

Tego samego zdania był Juwenalis.

W Rzymie cesarów znajdowali się tak zajadli materialści, iż starali się o to, żeby ludzie wiedzieli nawet po ich śmierci o przekonaniach, jakie im w życiu przyświecały. Uczony niemiecki, Ludwik Friedländer, znakomity znawca obyczajów rzymskich, przytacza za Orellim kilka ciekawych napisów nagrobkowych ***): „Żyłem i nie wierzyłem w nic po za grobem“ — kazał sobie ktoś wyryć na pomniku. „Nie byłem i stałem się; byłem i przestałem istnieć; to tylko jest prawdą. Kto twierdzi inaczej, ten kłamie, bo nie

*) Seneca; „Eppist.“ 24, 18;

**) Cicero; „Tusc.“ I, 21, 48.

***) Ludwik Friedländer; „Darstellungen aus der Sittengeschichte Roms“; wydanie 6-te; 1890 r. tom III. str. 739.

będę już nigdy istniał“ — uczył inny. „Nie istniałem, a teraz istnieję; przestanę kiedyś istnieć, co mnie wcale nie martwi“ — pocieszał się trzeci. Ktoś czwarty drwił tak samo: „Byłem kiedyś, a teraz mnie nie ma. Ponieważ nie o tem nie wiem, przeto mnie to nic nie obchodzi.“ Wyzwoleniec Acernus Notus usiłował być dowcipnym nawet na własnym nagrobku: „Nie obawiam się już głodu, pedogry — żartował — nie potrzebuję płacić komornego, bo zajmuję obecnie bezpłatną, wieczystą kwatere.“

Nie ulega wątpliwości, iż religia zaczęła tracić w Rzymie kredyt już przed narodzeniem Chrystusa, ale mylili się Cynceron, Seneka, Juvenalis i in., twierdząc, że nawet stare baby nie obawiały się za ich czasów Cerbera i królestwa ciemności. Niedowiarstwo ogarniało w świecie starożytnym, jak wszędzie i zawsze, tylko t. zw. inteligencyę, a i w tych sferach znów, jak wszędzie i zawsze, nie opętało wszystkich. Tylko jednostki, wykształcone filozoficznie, odsunęły się zrazu od podań praocjów, takich zaś posiada każde społeczeństwo ilość ograniczoną. Za inteligencyą wytworną poszedł oczywiście wkrótce legion dyletantów, owych mędrków pół-uczonych, powtarzających bezmyślnie teorye, modne w danej chwili, wszakże i ten zastęp nie stanowił jeszcze narodu.

W wielkiej masie ludów Italii nie wygasła wiara w życie pozagrobowe i w rządy bogów nigdy, czego dowodem historycy (Tacyt, Swetoniusz) i mnóstwo nagrobków, wyrażających zdania wręcz przeciwne tym, które Friedländer za Orellim powtórzył. Po wsiach, osadach, w mniejszych miastach Włoch i w dalszych prowincjach cesarstwa modlono się, składano bogom ofiary, radzono się wróżbitów, utrzymywano święte ogniska domowe, jak za dobrych czasów królestwa i Rzeczypospolitej. Zkądżeby Rzym brał swoje legiony niezwyciężone, a chrześcijaństwo swoich męczenników, gdyby wszyscy tak wierzyli, jak Lukrecyusz i

Pliniusz? Sceptycyzm drwi ze sławy wojennej, wszelki zaś fanatyzm nazywa głupotą.

Religia przestała być hamulcem moralnym tylko dla pewnej liczby warstwy oświeconej. Cyfra ta rosła z każdym pokoleniem, ale nawet za czasów Antoninów, w epoce *par excellence* filozoficznej, nie obejmowała całej inteligencji, czego świadectwem wyznawcy Chrystusowi, pochodzący ze sfer zamożnych.

Jak wszędzie, będzie prawdą i dla Rzymu za cesarów, że sceptycyzm religijny dotknął głównie stolicę państwa, w niej zaś znów przedewszystkiem warstwy oświecone, czyli te, które robią historię polityczną, społeczną i umysłową narodów.

Wszelka negacya ma to do siebie, że sąsiaduje bardzo blisko z bluźnierstwem. Gdy sceptycyzm religijny dojrzał, wówczas wydał takiego Lucjana, któremu Heine, Baudelaire i Richopin mogą pozazdrościć zjadliwości i wyuzdanego języka.

— O, Jowiszu — „modli się“ Tymon u Lucjana *) — opiekunie przyjaźni, towarzyskości i szczęścia domowego, tarczy cudzoziemców, mścicielu krzywoprzysięstwa, zbieraczu chmur, władzco gromów, błyskawic, albo, jak cię tam inaczej nazywają zwaryowani poeci, zwłaszcza gdy im brakuje rymu! Gdzież podziały się twoje błyskawice i pioruny? Widocznie są wszystkie te rupiecie, pominawszy szum głośnych słów, drwinami i czczym dymem poetyckim. Twój tyle opiewany, daleko sięgający, zawsze gotowy pocisk płomienny, zgasł i wystygł i nie zawiera już w sobie ani jednej iskry gniewu przeciw występny.

Łotr, zabierający się do krzywoprzysięstwa, przeraziłby się więcej wczoraj płonącej świecy, niż twojego wszechpotężnego ognia. Zdaje się, iż rzucasz na niekzemników

*) Lucyan; Tymon; 1, 2, 3.



zamiast piorunu łuczywo, którego ognia i dymu oni się wcale nie obawiają. Najgorszem, coby ich mogło spotkać, gdybyś nie chybił, byłyby obsypujący ich popiół. Można-ż się w takich warunkach dziwić, że Salomoneus ośmielił się grzmieć, jak ty?... *). Bo dlaczegóż nie miał sobie pozwolić na taką zabawkę, kiedy ty śpisz tak mocno, jak gdybyś zażył na sen, i nie masz już uszu na krzywoprzysięstwa, ani oczu na inne zbrodnie ludzi. Nie można inaczej, jak wierzyć, że twoje oczy i uszy straciły siłę na starość.

— W młodości twojej nie było bezpiecznie zasłużyć na twój gniew. Zapalałeś się wówczas szybko i gniewałeś się straszliwie... Ale teraz nie boi się ciebie nikt... Ludzie płacą ci za twoją ospałą bezczynność tak, jak na to zasługujesz. Bo któż składa ci dziś ofiary lub znosi wieńce? Dzieje się to tylko podczas igrzysk olimpijskich dla zwyczaju. Tak zniedołężniałeś, iż nawet siebie samego obronić nie potrafisz. Znaleźli się przecież zuchwalcy, którzy targnęli się w Olympii na twoją własną osobę, a ty, który każesz się nazywać wysokogrzmiącym, nie obudziłeś nawet psów i nie zwołałeś sąsiadów, aby się zbiegli i pochwycili rabusiów. Mimo dziesięciotokciowej błyskawicy, którą trzymasz w ręku pozwoliłeś na to, że ci złodzieje ogolili złote loki. Kiedyż się nareszcie przebudzisz, mój ty bohaterze, aby zrobić porządek na ziemi... i t. d.

Ten sam Lucyan jest autorem słynnych „Rozmów bogów,” zachwycających wszystkich dowcipnisiów „oświeconych,” począwszy od encyklopedystów francuskich i ich wielbicieli niemieckich, skończywszy na współczesnych dekadentach. Owe „Gawędy“ są wistocie arcydziełami w swoim rodzaju, ostatnim wyrazem sceptycyzmu religijnego starożytnych.

Siedzą sobie Eskulap i Herkules na Olympie, przy sto-

*) Salomoneus; król Elidy, który, naśladując grzmot i błyskawicę, udawał Jowisza.

le bogów i prowadzą następujący dyskurs, gromieni przez Jowisza. *)

Jowisz. Przestańcie nareszcie z temi kłótniami. Spieracie się, jak gdybyście byli ludźmi. To nie przystoi na bogów, najmniej zaś przy stole.

Herkules. Więc ty chcesz, Jowiszu, aby ten truciciel siedział przedemną?

Eskulap. Tak być powinno, jestem bowiem mężem godniejszym od niego.

Herkules. Patrzcie go, tego zarozumiałego chłystka. Chyba dlatego, że cię Jowisz poraził na śmierć za to, że wykonywałeś praktyki niedozwolone. Tylko z litości umieszczono cię między nieśmiertelnymi.

Eskulap. Jak widzę, Herkulesie, zapomniałeś już, żeś i ty zginął od ognia, bo mi moją śmierć gorącą przypominasz.

Herkules. Zachodzi różnica między życiem mojem a twojem. Jestem rzeczywistym synem Jowisza, a życie moje było ciągłą walką z wrogami ludzkości. Oczyszcilem ziemię z potworów, przezemnie pokonanych, i z gwałtowników, przezemnie ukaranych. A ty co? Ty handlowałeś korzonkami i maściami. Całą twoją zasługą jest, że umiałeś podawać chorym lekarstwa, nikt jednak o tem nie wie, iżbyś dokonał kiedykolwiek jakiego czynu męzkiego.

Eskulap. Masz rację. Czynu męzkiego nie dokonałem, lecząc cię z ran, kiedyś przybył niedawno do nieba, na pół upieczony, strawiony zarówno przez truciznę Dejaniry, jak przez ogień. Zresztą, jeżeli nie zrobiłem nic wielkiego, to nie byłem przynajmniej na ziemi fagasem, jak ty, nie prządzłem wełny w Lidyi, nie nosiłem purpurowej babskiej spó-

*) Lucyan; „Rozmowy bogów“, Gawęda 13-ta p. t. „Spór o pierzeństwo“. Herkules i Eskulap kłócą się o miejsce przy stole.

dnicy i nie brałem po gębie złotym pantoflem Omfalii. I nie zamordowałem także w napadzie szaleństwa żony i dzieci.

Herkules. Jeżeli nie przestaniesz pyskować, to przekonam cię na miejscu, że ci twoja nieśmiertelność nie wiele pomoże. Stul gębę, albo wezmę cię za kołnierz i cisnę z nieba, iż ci rozbitego czerepu nawet Paeon *) nie zlepi i nie połata.

Jowisz. Zakończcie ten spór, ostrzegam po raz ostatni, i nie psujcie towarzystwu zabawy, bo pójdziecie precz od stołu. Zresztą, Herkulesie, rozważ, że się Eskulapowi należy miejsce przed tobą już chociażby dla samego wieku. Wszakże umarł przed tobą.

Z niepospolitym talentem wydrwił Lucyan całą mitologię grecko-rzymską, pastwiąc się głównie nad Jowiszem, znanym bałamutem Olimpu. Niektóre z jego „Rozmów“ przewyższają zjadliwością i dowcipem najlepsze trawestacje bieżącego stulecia.

Gdy się w jakim społeczeństwie znajdzie pisarz, który może sobie pozwolić na żarty tak bezbożne, znaczy to, że religia urzędowa poszła u warstw oświeconych w poniewierkę i przestała być groźną dla bluźnierców. Jeszcze za panowania Augusta, chociaż się już wówczas bawiono po cichu kosztem Olympu, posiadali kapłani dosyć siły do pokrośnienia publicznych gorszycielów. Ale Lucyan (ur. w r. 130 p. Chr.) żył pod „filozoficznym“ berłem Antoninów, którzy wierzyli tak samo, jak on. Cyniczny grek wygłosił, na co się żaden z obywateli rzymskich nie odważył, rzymianin bowiem był zanadto trzeźwym i praktycznym, aby nie rozumiał szkodliwości wyuzdanego sceptycyzmu religijnego. Nawet niewierni z pomiędzy synów Romy nie zalecali tłumom bezbożności. Czynili to głównie grecy, odgrywający

*) Paeon przyboczny lekarz bogów na starym dworze Saturna.

w pierwszych wiekach po Chrystusie w filozofii i w literaturze tę samą rolę, jaką obecnie francuzi na siebie wzięli.

Jak wszędzie, tak był i w Rzymie bluźnierczy ateizm w połączeniu z materyalizmem pierwszym rysem znamionym rozkładu istniejącej przez szereg wieków cywilizacji (dekadentyzmu). Z niego, z zatrutego źródła, wypłynęły kolejno wszystkie męty upadającej Romy, chorej już wówczas śmiertelnie, kiedy się podbitym ludom najzdrowszą, najświetniejszą wydawała. Bo religia, pominawszy jej część mytologiczną, jako mistrzyni obowiązku i obyczajowości, stoi na straży dobra powszechnego, broni czystości ogniska rodzinnego i odbiera człowiekowi wrodzony mu strach przed śmiercią, przed zniszczeniem. Tylko bardzo mała liczba wybrańców odnosi te same korzyści ze studium filozofii.

Pierwszym owocem sceptycyzmu religijnego bywa zawsze wygórowany indywidualizm, czyli z pęt sumienia i obowiązku rozkiełnany egoizm ludzki, z chwilą bowiem, gdy człowiek przestaje wierzyć w powagę Boską, upada dla niego wszelka powaga wogóle. Bezbożnik korzy się tylko przed siłą brutalną. Podaremnie przelał Brutus, jak wykazała najbliższa przyszłość, krew Cezara, sfery bowiem rządzące Rzymu, patrycyusze i możni plebejusze, utraciwszy podstawę swojej dawnej dzielności, poczucie obowiązku, czystość obyczajów i karność obywatelską, nie byli już zdolni do rządów gromadnych. Egoizm, trzymany w korbach przez prawodawstwo, wykwitłe z odwiecznych tradycji rasyaryjskiej, wybuchnął z siłą długo powstrzymywanego potoku, gdy padły przed krytycyzmem filozoficznym i pod działaniem czasu tamy religii królów rzymskich. Wojny domowe, zamykające rzeczpospolitą, byłyby pracą wieków obróciły w niwecz, gdyby cezaryzm nie był ukrócił grzesznego indywidualizmu klas rządzących.

Z upadku religii (w rozumieniu nauczycielki etycznej) wynika w dalszym ciągu skażenie obyczajów. Przeciętny

inteligentnik pragnie użyć życia, gdy przestał wierzyć w świat pozagrobowy. Jest to naturalny skutek materyalistycznego światopoglądu, mimo zapewnień przeciwnych mistrzów filozofii niezawisłej. Sixte'ów Bourget'a, abstrakcyi, wcielonych w beznamiętną skórę zasuszonych maniaków naukowych, oderwanych od życia, którego nie rozumieją, wydaje każda chwila dziejowa niewielu.

Oprócz wymienionych wyżej sentencyj nagrobkowych, zebrał Ludwik Friedländer jeszcze inne ciekawe napisy *). „Który to czytasz, bracie — napominał jakiś jowialny materyalista rzymski z po za grobu — używaj życia, po śmierci bowiem nie ma już ani żartu, ani śmiechu, ani żadnej innej radości.“ Któryś drugi ostrzegał: „Nie byłem niczem, nie jestem niczem. A ty, który żyjesz, jedz, pij, baw się i przychodź do mnie.“

Tak samo uczyli poeci. „Żyjmy i używajmy, Lesbio — śpiewał Katull — i nie troszczmy się o to, co o nas zrędzący powiedzą starcy, bo gadaniny ich nie są warte miedzianego szeląga. Słońce wschodzi i słońce zachodzi, ale my, gdy nasz dzień zgaśnie, zaśniemy snem nieprzebudzonym. Dlatego daj mi tysiąc i jeszcze sto pocałunków i znów tysiąc i jeszcze sto... i t. d.“

Śmierć straszy prawie wszystkich poetów Rzymu. Mają do niej żal Owidyusz i Horacyusz, Katullus i Propertycusz. Używać radzą śmielsi, szerszi, dopóki siły starczą. W odach Horacyusza, zachwalających umiarkowanie i objętność, czuć obłudę, robotę.

I należałoby się dziwić materyalistom, gdyby wierzyli inaczej. Życie, które się kończy z chwilą zgonu, należy dobrze wyzyskać. Jest to wniosek zupełnie naturalny.

Wprawdzie usiłowali materyaliści wszystkich czasów,

*) F. Friedländer, jak wyżej: tom III, str. 740.

greccy, rzymscy i współcześni dowieść, iż właśnie ich teorie czynią człowieka spokojniejszym i obojętniejszym na grozę śmierci, ale argumentacja ich przekonywa tylko tych, którzy nie potrzebują być przekonani.

Już Lukrecyusz, wierzący w potęgę rozumu i nauki niezawisłej z takim samym fanatyzmem, jak pierwsi pozytywiści drugiej połowy bieżącego stulecia, przedsięwziął odebrać ludziom „strach przed Acheronem, który zamąca tak bardzo życie na ziemi, pokrywając wszystko barwą śmierci“ *). W tym celu włożył w usta natrny „pociechę“ następującą: **)

„Co ci się stało, śmiertelniku, iż męczysz się troską i zmartwieniem? Dlaczego skarżysz się na śmierć i płaczesz? Było-ż ci życie dotychczasowe darem pożądanym? Nie przeszły-ż wszystkie rozkosze, jak przez sito dziurawe i nie minęły-ż, zanim się nimi nacieszyć mogłeś? Dlaczego nie odchodzisz z godnością, do nasyconego gościa podobny, głupcze, i dlaczego nie chcesz przyjąć obojętnie bezpiecznego wypoczynku? Albo jeżeli ci rozkosze życia obrzydły, to dlaczego pragniesz jeszcze więcej, skoro się wszystko psuje i ginie bez pożytku dla ciebie? Nie lepiej-że zakończyć życie i trudy? Nie wymyślę już nic takiego, coby ci przyjemność sprawiło: jedno i to samo powtarza się ciągle. Choćby nawet ciało twoje nie straciło sił w starości, a znużone członki nie zwiędły, choćbyś żył zwyczajko przez całe wieki, lub nawet, co jeszcze więcej znaczy, nie umarł nigdy, to nie użyjesz niczego nowego.

— Gdy się nędzarz uskarża na śmierć, nie powinna-ż natura na niego wpaść i krzyknąć: wynoś się ze swoim jęczeniem i lamentowaniem. A kiedy starzec zawodzi, ma

*) Lucret. „De rerum natura“; III; 37 — 39.

***) Lucret.; jak wyżej; III, 946 — 962.

ona prawo powiedzieć: Pragnąc zawsze tego, czego nie posiadałeś, i lekceważąc rzeczy możliwe, zawiniłeś sam, jeżeli nie wyzyskałeś należycie dni swoich. A teraz, zanim się obejrzałeś, stoi śmierć przed tobą i oto musisz odejść nienasycony. Rzuć więc wszystko, od czego cię twój wiek odwraca, i ustąp z godnością młodszym, bo niemoże być inaczej. *)

Lukrecyusz przyznaje argumentom natury słusność, bo: „bezustannie musi stare ustępować, wyparte przez nowe, i jedno z drugiego się wytwarzać.“ Jakby zapewnienie, że się coś *stać musi*. mogło kogoś do tego czegoś nakłonić. Właśnie, owa nieubłagana konieczność śmierci, ów brutalny rozkaz bez żadnej apelacji rozgorycza ludzi do życia. Niemoc wobec zgonu niecierpliwi, męczy ród Prometeusza.

Bardzo niezręcznie dowodzi „natura“ Lukrecyusza, zamiast bowiem pociechy szczepi nienawiść, gniew, odsłaniając nicosć rozkoszy doczesnych.

Lukrecyusz zajątrza jeszcze ranę życia doczesnego wówczas, kiedy mu się zdaje, iż kładzie na nią balsam chłodzący. Bo nie przynosi ulgi biedakowi, przerażonemu bezlitością śmierci, kto mówi: „I ty wątpisz ciągle i otrząsas się z grozą przed śmiercią, ty, który żyjąc, byłeś jakby umarłym, ty, który przepędzasz we śnie znacznieszą część życia? Ty, którego i na jawie nie opuszczają nigdy sny i który nosisz bezustannie w sobie kolce daremnej obawy, nie umiając odkryć, jakie cierpienie cię trapi.“ **)

Przykre zarzuty nie przekonały jeszcze nikogo, Lukrecyusz zaś nie szczędzi pospołu ze swoją naturą człowiekowi gołosłownych wymówek za jego strach przed śmiercią. Taka argumentacya równa się pospolitemu zrzęczeniu, potrącającemu tu i owdzie o akordy pesymistyczne.

Są tylko trzy siły, które pokonywają obawę przed uni-

*) Lucret. j. w. III, 964 — 975.

**) Lucret. j. w. III, 1058 — 1063.

cestwieniem, mianowicie: wiara w życie pozagrobowe, cnota i głęboko odczuty pesymizm. Pierwsza pociesza, druga uczy pogardy, trzeci znieczula. Wierny nie obawia się nicości, bo ona dla niego nie istnieje; cnotliwy (honorowy, rycerski, uczciwy) umiera bez skargi, gdy trzeba; zrozpaczony nie żałuje życia, gdyż straciło dla niego wszelki urok. Ale cnotliwi i prawdziwi pesymiści nie należą do zjawisk, powszednich, przeto grzeszy ciężko przeciw spokojowi rodu ludzkiego każda doktryna, która, nie mogąc dać cnoty i absolutnej obojętności, niweczy wiarę.

Wprawdzie twierdzą materyaliści wszelkich odcieni, iż z mętnego źródła ich mądrości można zaczerpnąć wszystko, co ludzie zwykle pięknem i dobrem nazywają, doświadczenie jednak przeszłości uczy inaczej. Księga dziejów opowiada, że materyalizm dawał swoim najlepszym wyznawcom, swoim mistrzom, ostatecznie buntowniczą rozpacz, udającą obojętność, w przeciętnych zaś uczniach budził zawsze chorobliwy głód używania.

Używał też Rzym cesarów, jak gdyby nie był jutra pewien, mimo nawoływań filozofii do umiarkowania. Tarzał się w rozpuście, ssąc bez miary krew, pot i łzy milionów pokonanych barbarzyńców.

Do używania potrzeba, oprócz zdrowia, dwóch pomocników: pieniędzy i kobiet.

Że cywilizowani potomkowie niecywilizowanych, dostatkami gardzących przodków kochali złoto więcej niż cnotę i państwo, że wytworni, układni praprawnukowie grubych, nieociosanych prapradziadów nauczyli się dla pieniędzy płaszczyć, upokarzać, znosić obelgi, kłamać, denuncyować, schlebiać bogaczom — dowodem tego plugawa historia pierwszych dwunastu cesarów. Odczytując Tacyty i Swetoniusza, nie chce się wierzyć, żeby to byli ci sami rzymianie, z wśród których wyszli Decyuszowie, Torkwatowie, Cyn-

cynatowie, Fabrycyusze, Brutusowie i tysiące wielkich, jedynie sprawie państwa oddanych wojowników i obywateli.

Każdy z pierwszych dwunastu cesarów, nawet Neron i Domicyan, udawał zrazu monarchę uczciwego, dbałego o dobro publiczne. Każdy z nich zaczynał panowanie od rozporządzeń rozumnych i od uczynków szlachtetnych. Wszakże żałował podobno Neron, iż uczono go pisać, gdy kładł po raz pierwszy nazwisko swoje na wyroku śmierci, a Domicyan naprawiał obyczaje. Każdy z nich oddawał się z obłudną uległością na łaskę i niełaskę senatu, niepewny w pierwszej chwili usposobienia kraju.

Ale gra ta trwała zwykle bardzo krótko. Bo daremnie obawiali się cesarowie senatu i rycerstwa. Potomkowie dawnych wodzów i konsulów Rzymu kochali zanadto życie i użycie, iżby się chcieli narazić. Woleli kłamać zachwyty dla „boskiego“ geniuszu imperatora, ubiegać jego życzenia, kłaść się do jego stóp z pokorą psa, niż zasłużyć na gniew monarchy, w którego rękach spoczywały dni doczesne poddanych, godności, urzędy i posady w prowincjach. Odwaga obywatelska jest czymś frazesem, bez pogardy życia i jego rozkoszy, tej zaś cnoty nie posiadali wychowawcy materyalistycznej filozofii greckiej. Tu i owdzie znalazł się jeszcze jakiś butny potomek hardych przodków, lub jakiś prawdziwy stoik czy pesymista, przenoszący śmierć nad spodlenie, większość jednak arystokracji i inteligencji rzymskiej za cesarów nienawidziła śmierci, jako kresu wszelkiego użycia.

Już Tyberyusz, który był z pochodzenia i przekonań zanadto arystokratą, aby żywił niechęć do szlachty, odzywał się wychodząc z posiedzeń senatu, do najbliższego otoczenia po grecku: O, ci do niewoli stworzeni ludzie! *).

*) Tacit. Annal, III, 65.

Miłość do życia i głód użycia zrobiły z potomków wielkich bohaterów i obywateli w istocie nikczemnych niewolników, dopuszczających się każdej podłości dla przedłużenia dni doczesnych i dla pomnożenia fortuny. Wszakże cesarz to rozdawał zarząd prowincyj, które wolno było złupić, purpurę zaś senatorską można było sprzedać za miliony sesterceji jakiejś córce lub wdowie zbogaconego handlarza, dzierżawcy ceł, podatków lub choćby denuncyanta. Nietylko w naszych czasach ubiegają się bankierowie, giełdjarze i fabrykanci o stosunki i koligacje. I w Rzymie płacili parweniuzsze dobrze za honor należenia do rodziny historycznej.

Więc pocóż narażać się cesarzowi, który mógł wykluczyć ze stanu senatorskiego każdego, kto mu się stał niewygodnym! Historia senatu rzymskiego w pierwszym stuleciu ery chrześcijańskiej jest straszliwym świadectwem upadku człowieka, pozbawionego religii, godności osobistej i trawionego żądzą użycia. Jeden purpurat denuncyował drugiego o obrazę majestatu, a wszyscy starali się odgadnąć najtajniejsze myśli „boskiego“ imperatora. Prokonsulowie, propretorowie i legaci rządili w prowincjach jak rabusie, przywożąc do stolicy skradzione miliony. Ubożsi senatorowie żebrali u cesarów o zapomogi, starali się o względy ich wyzwolenców i niewolników, znosili dla spodziewanych zysków obelgi najniższej służby pałacowej. Świątynie, złote i srebrne posągi stawiał senat takim oszalałym dekadentom, jak Kaligula i Neron, i takim brutalnym tyranom, jak Domicyan.

Czego się senatorowie nie wstydzili, to naśladowali skwapliwie rycerze i plebejusze, przykład bowiem idzie z góry. Potomkowie dawnych przybocznych towarzyszków królewskich, zowiący się ciągle rycerstwem, chociaż nie służyli już stale wojskowo, dzierżawiąc podatki i cła w prowincjach i zajmując urzędy cesarskie lub mównice obrończe przy trybunałach drugorzędnych, nie ustępowali w

zdzierstwie prokonsulom, propretorom i legatom. Każdy, komu dozwolonem było brać udział w rządach, chociażby na stanowisku najmniejszym, kto mógł sprzedać stosunki, wpływy, znajomość prawa, wyzyskiwał podwładnych, kradł, brał łapówki, podarunki, słowem gromadził fortunę dopóty, dopóki się tylko dało. A trzeba się było spieszyć z robieniem majątku, łaska bowiem cesarów i doradców ich jeździła na koniu bardzo narowistym. Więc chwycił wielki i mały, co mu w rękę popadło, zbierał prawnuk plon, zasiany przez pradziada — owoce pracy podbitych narodów. Trzy czwarte zbrojnych buntów w prowincjach sprowadzała znana powszechnie chciwość celników, poborców i adwokatów rzymskich.

A kto nie posiadał kwalifikacyj do objęcia jakiej posady państwowej, komu losy nie pozwoliły czerpać z pełnego żłobu, ten stawał się denuncyantem, zbirem, byle pochwycić garść złota.

Kto się w końcu nawet na donosiciela nie przydał, ten wolał pełnić służbę t. zw. klienta, niż uczciwie pracować. Codziennie, ze wschodem słońca, zalegały ulice Rzymu tysiące włóczęgów, ubranych w białe togi. Hałastra ta ciągnęła z pozdrowieniem rannem, z hołdem do pałaców i will możnych panów lub towarzyszyła lektykom „przesławnych“ (*clarissimi*) senatorów i „znamienitych“ (*perfectissimi, egregii*) rycerzów. za co odbierała stałe wynagrodzenie pieniężne lub bezpłatne pożywienie. Nędzna to była zapłata za pracę upokarzającą, klientom bowiem wyznaczano zwykle 6¹/₄ sestercyj dziennie, czyli tyle, ile niewolnikom dawano na piwo, ale czasami zdarzało się, że jakiś pan przypomniał sobie dawną obyczaj i zaprosił biedaka do stołu *) lub obdarzył

*) Juvenalis; V; 12--18.

zręcznego pochlebcę kilku morgami gruntu *). Bywało także, iż bardzo hojny bogacz rzucił klientowi kilka tysięcy sestercyj. **)

Za honor zaprosin do stołu magnata, za nadzieję wzięcia kiedyś udziału w wytwornej biesiadzie pana, podnosił się klient, karykatura dawnego przyjaciela, lennika rodu szlacheckiego, przed świtem z ubogiego łoża, cerował i prał zużytą togę, wystawał następnie na deszczu, ślocie i mrozie pod drzwiami pałacu, kłaniał się niewolnikom, broniącym przystępu do „króla,“ znosił cierpliwie obelgi, często nawet kułaki. Za poniewierkę tę doczeka się przecież choć raz świetnego obiadu, o jakim dumny robotnik nie ma nawet wyobrażenia....

A motłoch, czerń stolicy, niższa jeszcze od klientów?

Motłoch rzymski był dzieckiem pieszczonem cesarów. Dla niego sprowadzał skarb państwa zboże z Egiptu i urządzał świetne igrzyska cyrkowe, trwające po sto dni, na niego sypało się złoto menarchy w teatrach i na rynkach.

Motłoch rzymski bawił się najlepiej, nie skrępowany bowiem żadnymi obowiązkami obywatelskimi i towarzyskimi, brał udział we wszystkich uciechach publicznych stolicy. Że czasem nie dojadł, że mieszkał latem pod mostem, a zimą w szopie, że świecił wytartymi łokciami — to cóż z tego... On był zwyczajny kwatery pod gołym niebem i łachmanów na grzbiecie, i nie dbał o niebezpieczne splendory cesarów. Senator, gdy mrugnął powieką nie tak, jak sobie tego życzył Kaligula, Neron lub Domicjan, dawał gardło, a motłochowi wolno było „ziemskiego boga“ nawet wyświścić w teatrze i w cyrku. Zawsze pewny wdzięcznego uśmiechu imperatora, pan motłoch bawił się, krytykował

*) Juvenalis; IX; 59

***) Martialis 'X 11, 6.

rząd głośno, a gdy był głodny lub nudził się, wówczas szedł bez obawy na Palatyn i wrzeszczał pod oknami monarchy: dawaj chleba i widowisk! I zaraz nazajutrz szły galery do Afryki po zboże i po dzikie zwierzęta...

Panem et circenses! rozlegało się ciągle w Rzymie ceszarów. O życiu i użyciu marzyli wszyscy, wielcy i mali, oświeceni i ciemni — każdy po swojemu. I wszyscy kochali pieniądź, przyjemności, rozkoszy dawcę...

To „wszyscy“ nie oznacza oczywiście całego ludu rzymskiego i poddanych mu prowincyj. Odnosi się ono głównie do samej stolicy, a w niej do sfer rządzących i do motłochu. Między arystokracją, plutokracją i inteligencją z jednej strony, a próżniaczym tłumem klientów i proletaryuszów z drugiej, istniała i w Rzymie, jak wszędzie, warstwa pośrednia, nie dotknięta szaleńcem ogólnym. I sfery uprzywilejowane wydawały jeszcze w czasach najgorszych znakomitych wodzów, rozumnych obywateli, hojnych panów, uczciwych i szlachetnych ludzi. Liczne świadectwa cnoty publicznej i prywatnej zapisali w księgach swoich historycy ceszarów.

Ale nie owym rozumnym, uczciwym i szlachetnym zazdrozczono w pierwszych wiekach po Chrystusie. Cnota nie była wówczas dobrem poleceniem; obchodzono się z nią jak ze zbrodniarką. Nie zasłudze oddawano cześć, lecz chwilowemu powodzeniu i pieniądżom.

Skarży się Juvenalis, iż w Rzymie „pytają przede wszystkim o majątek, a dopiero potem o obyczaje. Ile kto posiada niewolników, ile ziemi, ile i jakie półmiski zastawia przy obiedzie“ — główną to troską — „bo każdy ma tylko tyle zaufania, ile pieniędzy jego skrzynia zawiera.“ Uczciwem ubóstwem pomiata pierwszy z brzegu szubrawiec. Nikt nie pamięta w testamencie o ubogim i żaden edil nie zaprosi go do rady miasta. Opuścić stolicę w zwartym sze-

regu powinni wszyscy ubodzy kwiryaci. Z trudem pnie się ten pod górę, którego cnotę krępuje ubóstwo.“ *)).

I duchowieństwo rzymskie kochało złoto nad miarę godziwą. Ponieważ wyższym kapłanom nie wolno było zajmować posad świeckich, które ułatwiały zrobienie fortuny, przeto wakowały dość często dygnitarstwa świątyni. Ofiary i auspicya poszły w poniewierkę. Nikt nie kwapił się do służby bogów, a wróżby sprzedawano za pieniądze. Drwi Propercyusz: za złoto służą Jowisz i wszystkie gwiazdy na niebie. **). Skarży się Owidyusz: złota bo istotnie nadeszła epoka. Złoto daje najwyższe godności i kupuje miłość. ***). Mówi Petroniusz Arbiter przez usta Ganimedesa: dziś nie wierzy już nikt w bogów, nie zachowuje postów, nikt nie dba o Jowisza; każdy tylko przymruża oczy i liczy grosiwo, ****).

Głód złota należy obok bluźnierczego ateizmu i zgubnego indywidualizmu, obok nadmiernego przywiązania do życia i żądzy użycia do głównych rysów dekadentyzmu rzymskiego.

Sami cesarowie szli w tym względzie przodem. Kazali oni bogaczom wytaczać procesy o obrazę majestatu dlatego, żeby zagarnąć ich fortuny i zmuszali zamożniejszych do legatów na ich korzyść. Nawet ucziwsi z pomiędzy nich, jak Wespazyan, grzeszyli brudną chciwością.

Co robili imperatorowie, naśladowali w końcu i żołnierze. Coraz częściej buntowały się legiony, domagając się podwyższenia żołdu i nadzwyczajnych gratyfikacyj.

*) Juvenal. „Satir.“ III; 140—144; 161—165.

***) Propert. „Eleg.“ V, 1, „Wróżbita.“

****) Ovid. „Ars Amandi“; II; 277, 278.

*****) Petronius Arbiter. „Satyricon“; Fragment p. t. „Biesiada u milionera rzymskiego,“ w przekładzie Wł. M. Dębickiego; Warszawa, 1879 r. str. 60.

W Rzymie cesarów narodziła się i dojrzała nieznaną innym ludom podłość — owa gonitwa za zapisami, owe systematyczne obleganie każdego, kto rozporządzał znacznym majątkiem. Ojciec obawiał się syna, brat brata, stryj synowca, każdy bowiem czyhał na spadek, uciekając się do trucizny, gdy mu się czekanie sprzykrzyło. Już Lukrecyusz znał „braci, którzy się na pogrzebie brata radowali“ i krewnych „co obawiali się miejsca przy stole krewnych.“ *) Wszyscy satyrycy rzymscy skarżą się na fachowych łowców spadkowych, którzy byli specjalnym wytworem rozwiązej, przed Złotym Cielcem korzącej się Romy.

U stóp tego bożka narodów upadających czołgała się nie sama tylko „połowa brzydka.“ I płeć piękna stała złoto ponad cnotę, użycie ponad obowiązek.

Minęły już czasy „matrony rzymskiej.“ Czysta, mężowi swojemu a panu posłuszna kapłanka ogniska domowego, żona obywatela, matka bohaterów, sprawiedliwa i rządna gospodyni, nie mieszająca się czynnie do spraw publicznych, należała w „złotym,“ „oświeconym“ Rzymie do legend, z których drwiły damy oświecone. Nie omyliłyby się nawet, ktoby główną część winy w skażeniu obyczajów przypisała kobietom.

Jeszcze obywatel rzymski składał bez szemrania życie, mienie i synów na ołtarzu państwa, jeszcze odznaczali się najbogatsi skromnością stroju, stołu i wygod domowych, kiedy dla kobiet trzeba już było ustanawiać prawa, powstrzymujące ich wrodzony pociąg do błyskotek i kosztownych gałganków. Za sprawą trybuna Kajusza Oppiusza zakazano rzymiankom w r. 215 przed Chr. kłaść na siebie więcej złota niż $\frac{1}{24}$ funta, nie ubierać się w pstre suknie i nie jeździć w mieście powozami.

*) Lucret. jak wyżej, III: 72, 73.

Nie podobało się to rozporządzenie „matronom.“ Więc, zjednawszy dla swoich celów dwóch wielbicieli płci pięknej, trybunów M. Fundaniusza i L. Waleryusza, postarały się o zniesienie niemiłego dla nich prawa. A tak gorąco pragnęły owych świecidełek i fatalaszków, iż upominając się o nie, przekroczyły wszelką miarę przyzwoitości. Opowiada Liwiusz *), iż obywatelki rzymskie, patrycyuszki i plebejki, bogate i ubogie, stare i młode, nie ufając swoim mężom, wyległy w dzień rozpraw sejmowych na rynki i ulice i zatrzymując spieszących na zebranie kwirytów, prosiły ich, zaklinały, błagały o usunięcie „okrutnego paragrafu.“ Rzym robił tego dnia wrażenie obozu niewieściego, na pomoc bowiem mieszkankom stolicy nadciągnęły strojniesz okolicznych miasteczek, wsi i osad. Cała ta szczegółowego rodzaju armia, uzbrojona w piękne oczy, rozkoszne uśmiechy i słodkie słowa, w obietnice i łzy, krzyczała, gięstykułowała, płakała, jak gdyby chodziło nie o błyskotki, lecz o całość rzeczypospolitej, o szczęście mężów, dzieci.

Zbiegowisko takie byłoby niemożliwe, gdyby ówczesni rzymianie byli jeszcze rzeczywistymi ojcami rodzin w dawnem, dobrem rozumieniu. Słusznie też mówił konsul M. Porcius Kato, broniąc prawa Oppiusza: Gdyby każdy z nas, obywatele, umiał u żony zachować swoje prawa i znaczenie, mielibyśmy teraz mniej kłopotu z kobietami. Ale pozwoliwszy się rozpanoszyć niesforności niewieściej w domu, doczekaliśmy się tego, co się dziś dzieje. Oto wyszły nasze żony i siostry na *forum* i depczą powagę mężów i braci nogami.

Obywatel rzymski z czasów królestwa i rzeczypospolitej był tak ciągle zajęty po za domem, iż zostawiał z konieczności rządu rodziny matce lub żonie. Jako żołnierz roz-

*) Liv. 34, 1.

nosił kości swoje po całym świecie, jako urzędnik służył sprawie publicznej bez wytchnienia. Głównie członkowie możniejszych domów, nasamprzód tylko patrycyusze, potem także plebejusze, mieli bardzo mało czasu dla siebie i dla rodzin swoich. Począwszy od dziewiętnastego roku życia, od chwili wstąpienia do armii, wysługiwał się senatorowicz państwu aż do wieku sędziwego. Jako młodzieniec był niższym oficerem w wojsku, następnie odbywał kwesturę, dalej preturę lub trybunat, dowodził legionem, zarządzał prowincją, zostawał konsulem, szedł powtórnie na gubernatora do krajów zdobytych i t. d. Arystokrata rzymski dobiegał zwykle pięćdziesiątki, zanim mu spocząć dozwolono. Nawet za czasów cesarów nie wolno było należącemu do stanu senatorskiego wymówić się od posad publicznych.

Żona tymczasem, zostając w domu, gospodarowała po własnej myśli, uczuwała się coraz więcej panią, zwłaszcza, że kobiety nie zajmowały w Rzymie nigdy stanowiska podrzędnego, szczęśliwsze pod tym względem od greczynek. Matrona brała udział w naradach familijnych i w biesiadach i ruszała się swobodnie po mieście i kraju.

Matkę przyszłego obywatela dopuszczał mąż do rozpraw, odnoszących się do rzeczy publicznych i uwalniał ją od grubych posług. Matrona zajmowała się wprawdzie gospodarstwem i kuchnią, ale nie gotowała sama i nie meła żarn. Już za królów spełniały te czynności niewolnice. Tylko przedzenie należało do obowiązków pani domu.

Dopóki religia, umiarkowany byt i czystość obyczajów tworzących się dopiero państw trzymały w karchach próżność, pychę i bezkarność niewieścią, dopóki rzymianka była wistocie matroną, dopóty nie szkodziły jej rządy domowe ani rodzinie, ani państwu. Przeciwnie! Matka, umiejąca rozkazywać, wychowywała dumnych obywateli i mężnych wojowników.

Gdy król Pyrrhus usiłował przez posła swojego Cy-

neusza przekupić za pomocą świetnych darów żony dygnitarzów rzymskich, nie znalazł w grodzie Romulusa ani jednej chętnej ręki: Matrony wzgardziły jego błyskotkami. Przez pierwszych pięćset lat od założenia stolicy nie wiadomo w całym Lacyum o rozwodach: Matrony nie opuściły mężów nawet wówczas, gdy stała nie były dobrane.

Ale starodawną religię rzymską, polegającą na bojaźni Bożej i na czci ogniska domowego, skrzywiła nasamprzód mytologia grecka, najeżona lubieżnością zmysłową i niepobożnymi opowieściami, a następnie usunęła ją zupełnie filozofia materyalistyczna. Byt umiarkowany ustąpił wielkim dostatom z chwilą, gdy legiony rzymskie przepłynęły morze i podbiły prowincje afrykańskie. Skażenie obyczajów było już tylko skutkiem dwóch przyczyn poprzednich.

Z Grecji szły do Rzymu rozpustne legendy mytologiczne, bezecne komedye, zmysłowe poezye i powieści (Milezyjskie), szydząca ze wszystkiego filozofia, z Afryki zaś nadchodziły: bogate łoża biesiadnicze, kosztowne tkaniny, wytworne sprzęty i śpiewaczki, muzykantki, złoto, kość słoniowa, wonie, rozpusta i zniewieściałość.

Z darów zwyciężkich wojen korzystały zrazu głównie kobiety, bo nie używał ich legionista, znoszący przez długie lata trudy obozowe, bez względu na to, czy wodzem był, czy prostym żołnierzem. Co mężowie i bracia krwią zdobyli, za co życie dawali, głód, rany i poniewierkę znosili, to służyło przedewszystkiem żonom ich i siostrom. One też, bogate teraz panie, zajmowały się literaturą i sztukami pięknymi, chociażby dlatego, że miały więcej czasu do wykwintnej zabawki. One też zaczęły się psuć, rozkładać wcześniej od „połowy brzydkiej,” już bowiem bezpośrednio po wojnach punickich odzywają się skargi mówców i autorów na zbytek kobiet.

Nie za cesarów, lecz w r. 195 przed Chryst., uważał konsul M. Porcius Kato, broniąc owego prawa oppiuszo-

wego, za konieczne rzucić w twarz niewiastom rzymskim okrutną obelgę, gdy wołał: Niechby się teraz tylko Cyneas zjawił w mieście, a znalazłyby się na ulicach kobiety stojące, któreby mu złoto i purpurę z rąk wyrwały...

I między kobietami zaczął wicherzyć zgubny indywidualizm. Zdemoralizowani obywatele rzymscy przekładali swoje sprawy osobiste nad dobro powszechne (wojny domowe), wykołejone zaś obywatelki przypomniwały sobie t. zw. „prawa kobiece.“ Gniewało wytworną elegantkę, że ją starodawny obyczaj uczynił poddanką męża, przeto usiłowała wpływać czynnie na działalność prawodawczą. Upokarzało oświeconą damę, kształcąca się na rozpustnych komedjach i powieściach greckich, iż ją ojciec zaślubiał obcemu człowiekowi, nie pytając o jej przyzwolenie, więc, zrozumiawszy znaczenie „praw serca,“ zaczęła się rozwodzić, przebierać w mężach, żyć swobodnie, lekceważyć „zacofane, zaśnie-dziale przesady.“

Począwszy od wojen punickich zmieniło się położenie kobiety rzymskiej. Powoli ustępowały dawne prawa nowym, coraz to względniejszym dla płci pięknej i rozszerzały się granice edukacji damskiej.

Zamożna rzymianka z czasów dogorywającej rzeczypospolitej i cesarów odbierała „wychowanie staranne.“ Za drogie pieniądze z Grecji sprowadzeni niewolnicy uczyli ją literatury rzymskiej i greckiej, matematyki, filozofii, śpiewu, muzyki i tańca. Nawet wymowa nie była rzymiance obcą. I skromnymi środkami rozporządzające córki obywatelskie kształciły się za pośrednictwem licznych szkół, utrzymywanych przez retorów, pedagogów i filozofów.

Co miało kobietę podnieść do wyżyn umysłowych mężczyzny, niepodobnego już także do dawniejszego obywatela „słomianego, drewnianego Rzymu,“ co miało wykształcić jej głowę i serce, to wywołało w znacznej części skutek wręcz przeciwny. Rzymianka, pozbawiona przez wiedzę materya-

listywną „przesądów,“ emancypowała się coraz dalej w kierunku ujemnym. Bezbożność filozofii i lubieżność poezji rozpełęły w niej do reszty złe instynkty niewieście.

Nie wiele korzyści odniósł Rzym z mądrości kobiet. Wprawdzie wykwitło prawdopodobnie z ruchu naukowego kilka autorek i jakaś niewielka liczba dam prawdziwie wykształconych i uczonych, poeci bowiem i historycy z czasów cesarów mówią tu i owdzie o kobietach, zajmujących się fachowo literaturą i nauką, ostateczny jednak wynik tej działalności musiał być bardzo niewielki, kiedy nie zostało po nim żadnych śladów. Z twórczości umysłowej rzymianek nie zachowało się nic takiego, o czemby warto pamiętać.

Bujniej od kwiatu rzeczywistej wiedzy i sztuki, wyrósł i w Rzymie chwast dyletanctwa naukowo-literackiego, który bywa plagą wszystkich epok dekadencjki. Co Juvenalis mówi o sawantce rzymskiej *), można do współczesnych „mądrych kobiet“ dosłownie zastosować:

O wiele nieznośniejsza, gdy za stołem siedzie,
Dopieroż ci wychwalać Wirgilego będzie,
Dydony śmierć tłómaczyć, a w wielkim zapale
Zestawiając poetów, kładzie na tę szalę
Wirgilego; Homera położy na drugą
I wydaje krytykę uczoną a długą.
Gramatyk wnet zamilknie, retor mileżąc słuca,
Mileżą i biesiadnicy, nadstawiając ucha,
I adwokat, choć zawsze gotowy do słowa,
Nie piśnie i wraz z woźnym w tłum gości się chowa.
Nie odezwie się nawet i inna kobieta:
Takie wielkie słów mnóstwo z ustek jej wykwita,
A w uszach aż ci dudni...

I Marcyalis drwi z uczoneści jakiejś Galli. **).

*) Juvenal. „Satir.“ VI, 434—456

**) Martial. 10; 68.

Takich mądrych niewiast, dysputujących z gramatykami, retorami i filozofami, posiadał Rzym w pierwszych swoich wiekach ery chrześcijańskiej wielkie mnóstwo. Gawęda literacko-naukowa należała do koniecznych przypraw każdej wykwinthniejszej biesiady i była w „salonie“ ozdobą damy światowej lub chcącej uchodzić za „dobrze wychowaną“, za „wytworną.“

Sawantka ówczesna, tak samo, jak dzisiejsza, zaniedbywała dom, rodzinę, naturalne obowiązki kobiety wogóle, była mężowi kulą u nogi, dzieciom zaś szkodliwym przykładem próżniaczego gadulstwa.

Zamiast się uszlachetniać i podnosić przez pracę umysłową, traciła rzymianka resztki cnót domowych, odziedziczonych po matronach. Bo czegoż mogła się nauczyć od filozofów upadłej Grecyi, od jej belletrystów i od ich naśladowców rzymskich? Filozofia usuwała z pod jej stóp bezpieczną podstawę religii, dając jej wzamian za to garść zwątpień i drwin. A teatr, poezya?...

Teatr, za którym obywatelka rzymska do tego stopnia przepadała, że uboższe zastawiały kolczyki i naszyjniki, byle tylko nie ominąć żadnej „premiery“, był już w ostatnich czasach rzeczypospolitej publicznym gorszycielem. Podniosłe, gorące słowo tragedyi nie pociągało nikogo. Dawały ją teatry pierwszorzędne od czasu do czasu jedynie dla honoru domu, a i wtedy zajmowała widzów więcej świetna wystawa, niż poezya wielkich uczuć i namiętności. Jak obecne teatry stolic europejskich, ubiegały się i sceny rzymskie przede wszystkim o blask zewnętrzny. W sztukach, w których występowało wojsko, przeciągały przed oczami publiczności armie pieszych i konnych komedyantów. Odtwarzano z całym przepychem pochody tryumfalne: z wozami, jeńcami w kostyumach narodowych i z drapieźnemi zwierzętami. Nie ucho muzyką pięknego słowa pieścić cho-

dzili ludzie na tragedję, mówi Horacyusz *), lecz jedynie dlatego, aby napaść oczy widokiem błyskotliwej, bogatej wystawy. Coś bardzo niezwykłego musiał wymyślić, kto chciał zapełnić salę teatralną. Jedyńy w epoce cesarów częściej grywany rzymski autor dramatyczny, Afraniusz, napisał komedję, w której zachodził pożar (ztd tytuł „Pożar“). W wykonaniu scenicznym tego dzieła nietylko palono rzeczywiście dom, ale pozwalano nawet widzom dla zabawy ów... płonący budynek zrabować. **).

Większem powodzeniem od tragedyi i dramatu w stylu szlachebnym cieszyła się w Rzymie t. zw. nowa komedya grecka, naśladowana przez Plauta i Terencyusza, ośmieszająca bogów, bohaterów i lubująca się w odtwarzaniu scen z życia heter.

Ale i ten rodzaj, chociaż już bardzo daleki od umiarkowanego tonu komedyi dawniejszej, miał zwolenników tylko wśród wytworniejszej inteligencji. Pstry tłum przeciętnych teatromanów nudził się na subtelnej satyrze ówczesnych obyczajów. Publiczność rzymską bawiły głównie atelany i mimy, odpowiadające naszym dzisiejszym farsom i operetkom. Sztuka bez wiarołomstwa i kokot, bez drwin z bogów, bez tłustych dwuznaczników i grubych kupletów nie mogła liczyć na powodzenie. Im utwór był sprośniejszy, tem lepiej płacili za niego pretorowie, urządzający widowiska publiczne.

Niemoralność atelanów i mimów potęgowały jeszcze pantominy, przeplatające utwory dramatyczne. Gdy się publiczność rozochociła, wówczas domagała się od baletników „mniej sukien.“ Tancerze, posłuszni pani swojej, zrzucali przejryste już i tak ubrania i pokazywali się widzom w stroju Adama.

*) Horat. Epp. II, 1, 181 i następne.

**) Sveton. „Nero.“ 11.

Teatr upadającego Rzymu zatruchiwał duszę i serce, drażnił zmysły, podbudzał złe instynkty. Wszyscy uczeni autorowie z czasów cesarów zwracali uwagę na jego szkodliwość. Ale mądre i niemądre panie witały każdy brud moralny rzesistemi oklaskami, każdy dwuznacznik uśmiechami, każdą bezczelność lubieżnemi spojrzeniami.

Gorszyła kobietę filozofia, nauka, powieść, gorszył ją teatr. A poezya?...

Ulubieńcem elegantek rzymskich był Owidyusz. Jego „Sztuka kochania“ (*Ars amandi*) znajdowała się w każdej gotowalni damskiej.

Sztuką uwodzenia kobiet powinien był Owidyusz nazwać to arcydzieło przewrotności ludzkiej. Żaden ze współczesnych „psychologów“ francuskich nie dał „zjadaczom serc“ lepszych wskazówek od niego. Niesumienny ród Don Juanów może się dotąd od poety rzymskiego uczyć sposobów omotania upatrzonej ofiary.

Trzy głównie czynności powinien mieć na uwadze — radzi Owidyusz — kto chce być szczęśliwym w miłości. Znaleźć należy nasamprzód odpowiednią kobietę, potem trzeba ją do siebie zniewolić, w końcu starać się stosunek utrzymać. *).

— Gdy masz zamiar oddać się w służbę Wenery, poznaj przedewszystkiem miejsca, w których się kobiety chętnie gromadzą. Rzym dostarczy ci tyle dziewcząt, ile jest ryb w morzu, ptaków na drzewach, gwiazd na niebie. Polowaniu twojemu sprzyjają najwięcej okrągłe teatry (I; 89), do nich bowiem spieszą kobiety nie tylko dlatego, aby widzieć, ale także, aby były widziane (I; 99). W teatrze staraj się usiąść najbliżej swojej pani, bo nikt ci tam tego nie zabroni, i przytul się do jej boku (I; 139, 140). Zająwszy

*) Ovid. „Ars Amandi.“ I; 35—38.

miejsce wygodne, zawiąż gawędkę, rozpoczynając od rzeczy obojętnych. Zapytaj się, czyje konie będą biegały i bądź zawsze zdania swojej wybranej. Gdy ukaże się korowód młodzieńców, wówczas klaskaj tylko Wenerze. A kiedy, co się w takich wypadkach często zdarza, kurz osiedzie na łonie dziewczyny, wówczas zgarnij go palcami. Zgarniaj go nawet wtedy, kiedy go wcale nie będzie. Korzystaj z każdej sposobności, ułatwiającej zbliżenie. Jeżeli suknia pani zwiesz się zanadto, podnieść ją skwapliwie, udając uprzejmego. Trud twój wynagrodzi ci widok jej nóżek. Pamiętaj, że się kobietę bierze drobnymi grzecznościami (I; 143 do 159).

— Nie obawiaj się klęski. Powiedz sobie, iż gdybyś tylko zechciał, mógłbyś wszystkie kobiety zbałamucić. I zrobisz, co zechcesz, zastawiwszy dobrze sieci. Prędzej zamilkną ptaki na wiosnę, koniki połe latem, prędzej nakłoni zając wyżła do sromotnej ucieczki, aniżeli się kobieta, czule zdobywana, oprze mężczyźnie. Nawet ta, o której nie przypuszczasz, że się zgodzi — zgodzi się napewno. Jak mężczyznę, raduje i kobietę miłość potajemna, z tą tylko różnicą, że umie ona żądze swoje lepiej ukrywać (I; 269 do 275). Każdego cieszy nowa rozrywka, a cudze podoba się zawsze lepiej niż swoje (I; 337—338).

— Zmierzając do celu ostatecznego, staraj się nasamprzód pozyskać sługę wybranej. Mając niewolnicę po swej stronie, trafisz prędzej do serca pani. Sługa, ujęta obietnicami, upatrzy chwilę stosowną i pomoże ci dobrem słowem (I; 355—370).

— Może chciałbyś się także dowiedzieć, czy opłaci się zbałamucić równocześnie i sługę? Czasami udają się takie sztuki, co do mnie jednak, nie radzę ci ryzykować. Jest to gra niebezpieczna. Jeżeli ci się niewolnica podoba, weź i ją, ale dopiero po zdobyciu pani. Nie od slugi należy zacząć robotę (I; 374—385).

— Czarnym niech będzie dla ciebie dzień podarunków. Choćbyś się jak wąż wykręcał, zmuszą cię do nich. Kobiety znają sztukę wyzyskania kochających (I; 418—420).

— Kimkolwiek jesteś, nie szczędź prośb, bowiem nawet Achilla skłoniły prośby Pryama do wydania mu Hektora. (I; 440—441).

— Bądź cierpliwym. Cóż może być twardszego od kamienia, coś miększego od kropli wody? A przecież wydrąży miękką wodą twardego kamień. Nawet upór Penelopy, gdy wytrwasz, pokonasz ostatecznie. Późno padła Troja, ale padła. Gdy ci wybrana odmawia na razie odpowiedzi, nie zmuszaj jej do niej. Zrób tylko, aby ciągle twoje słowo pochlebne czytała. Kobieta, która chciała przeczytać, zechce w końcu także odpisać. Stanie się to kiedyś. Odbierzesz prawdopodobnie nasamprzód pismo smutne, które cię będzie prosiło, abys jej nie niepokoił. Niech cię ta sztuczka nie zniechęci, bo nie tego kobieta pragnie, o co prosi. Pragnie ona właśnie tego, o co nie prosiła. Nie trać więc nadziei, bo spełnią się twoje życzenia (I; 476—486).

— Starając się o przyjaźń kobiety, zwróć baczenie na swój wygląd. Utrzymuj ciało w czystości, kładź na siebie białą togę, myj zęby, noś ładne trzewiki, każ sobie włosy dobrze ostrzydz, piłuj paznogie (I; 513—519).

— Siedząc przy stole z wybraną swoją, pij z tego samego kielicha, co ona, i jedz te same potrawy, a staraj się zawsze dotykać jej rąk. Czujność jej męża uspij uprzejmością. — Jeżeli umiesz śpiewać, to śpiewaj, jeśli tańczyć, to tańcz. Podobaj się wszystkim, co tylko przyjemnego posiadasz. Nie pij dużo, ale pijanego możesz udawać, gdy chcesz coś zuchwałego powiedzieć. — A gdy wstaniecie od stołu, wówczas staraj się być ciągle blizkim wybranej ofiary i ocieraj się o nią, o jej nogę, ręce, o ciało, ile razy się tylko da. Niech niemądra nieśmiałość będzie teraz daleką od ciebie. Zuchwałym sprzyja Wenus i szczęście. Graj

rolę rozkochanego na śmierć i udawaj cierpienie słowami. Zrób wszystko, aby uwierzyła, że ją kochasz i że cierpisz, a uwierzy ci bez trudu, każda bowiem kobieta uważa się za godną miłości. Najbrzydsza mniema się piękną. — Wcisnij się za pomocą pochlebstwa do jej serca. Niech cię wysławianie jej twarzy, włosów, misternych paluszków, drobnych nóżek nie znuży. Nawet czyste dziewice lubią, gdy się postać ich chwali. — Obiecuj śmiało. Powołuj na świadka wszystkich bogów. Jowisz śmieje się z góry z krzywo-przysięstwa, popełnionego dla miłości, i puszcza je na wiatry południowe. Przysięgał on nieraz krzywo Junonie, więc przebacza innym, co sam broił (I; 575—580; 595—600; 603—624; 632—636). Wygodną jest wiara w bogów; przeto pozwólmy, aby w nich wierzone I; (637).

— Nie pogardzaj także łzami. Dyamenty poruszysz za ich pomocą. Pokazuj ukochanej lica zwilżone, jeśli ci się je zmoczyć uda. W razie, gdyby ci łzy nie chciały przyjść na zawołanie, potrzyj sobie oczy mokremi palcami. Każdy rozumny kochanek dodaje do słów pieśzcotliwych pocałunki. Gdy ich pani twoja nie chce dać, bierz je sam. Bronić się ona będzie może na początek i zuchwałym cię nazwie, ale nie wierz temu, bo kobieta chce być zwyciężoną. Kto zaś dotarł już do pocałunków, a nie wziął reszty, ten wart, żeby stracił wszystko, co pozyskał. — Nie obawiaj się także przemocy. Kobieta lubi siłę i często chce być zmuszoną do tego, czego sama pragnie. Gdy mogłeś dotrzeć do kresu twojego zadania, a cofnąłeś się w chwili stanowczej, wówczas zbierasz gniew i smutek tam, gdzie cię miłość czekała (I; 659—678).

— Dobrze także udawać przyjaźń. Pod osłoną przyjaźni zbliża się miłość ukryta (I; 720). Niech błędym będzie, kto kocha, bladeść bowiem stroi kochających (I; 729). Nie należy nigdy zachwalać komuś drugiemu upatrzonyj kobiety, gdy bowiem uwierzy twoim zapewnieniom, zabierze

się sam do niej (I; 741—742). Wystrzegaj się krewnych, przyjaciół i braci (753).

— A gdy pozyskałeś, za czem gonieś, wówczas staraj się utrzymać kochankę. Przedewszystkiem nie kłóć się z nią, sprzeczki bowiem przystoją tylko małżonkom. Przyjaciółka powinna słyszeć zawsze tylko te dźwięki, które lubi. Czułe pochlebstwa i słodkie słowa przynos kochance, aby cię z radością witała (II; 155—160). Kiedy się ona sama spierać o coś zacznie, wówczas ustąp jej bez szemrania. Uległość zwycięża. Graj zawsze tę rolę, której sobie przyjaciółka życzy. Gdy ona gani, gań i ty, co ona pochwała, chwał i ty; mów, jak ona, zaprzeczaj, jak ona; śmiej się i płacz z nią razem. Wyraz jej twarzy niech będzie prawem dla twojej. Grając z nią w kości, rzucaj zawsze źle... (II; 197—204). Kiedy ci przyjaciółka wyznaczy miejsce schadzki, spiesz i czekaj cierpliwie. Służ jej ciągle, miłość bowiem jest rodzajem służby wojskowej (II; 223—233). Nie bądź pysznym, kimkolwiek jesteś, jeżeli chcesz utrzymać kochankę. Na dachy się wspinaj, gdy drzwi przed tobą zamykają. Z okien korzystaj, choćby najwyższych (II; 241—246). A ze służbą staraj się być zawsze w dobrych stosunkach (II; 259).

Nie dla bogatych pisał Owidyusz swoją „Sztukę kochania,“ kto bowiem złoto posiada, ten nie potrzebuje wskazówek poety. „Nawet barbarzyńiec będzie się podobał, jeżeli jest bogatym“ (II; 276).

— Nie dla bogatych — mówi jeszcze Owidyusz — chcę być nauczycielem w miłości. Sztuki mojej nie potrzebuje, kto dawać może. Zdolnym jest i szczęśliwym, komu powiedzenie „weź, ile ci się podoba,“ nie sprawia trudności. Moje wskazówki są mniej warte od argumentów brzęczących. Ponieważ kochałem, ubogim będąc, przeto jestem śpiewakiem tylko dla ubogich (II; 161—165).

Spalić na stosie powinny były rzymianki dzieło Owi-

dyusza, każda bowiem wskazówka, dana przez niego mężczyźnie, zawiera dla nich obelgę.

„Nie wierz w cnotę kobiety — bądź zuchwałym, a zdobędziesz każdą.“ — „Nie wierz w jej rozum — kłam dobrze, a oszukasz każdą.“ — „Głupia jest pleć piękna, próżna, lubieżna, chciwa błyskotek i pieniędzy, przeto schlebiaj jej zręcznie i nie szczędź podarunków.“

Tak mniej więcej przedstawia się kobieta byстрыm oczom poety. *).

Rozumie się, że ten cyniczny i okrutny obraz nie może się odnosić do wszystkich obywaterek rzymskich wogóle. Upadająca Roma wydała wprawdzie takie lubieżne potwory, jak Julię, córkę Augusta, Messalinę i Agrypinę, żony Klaudyusza, Junię, Silanę, Sabinę, Popeę, Faustynę i w. in., ale także takie świetlane wcielenia cnót domowych i obywatelskich dawnych matron, jak Agrypinę, małżonkę Germanika, dwie Sekstye, dwie Arrye, Politty, Witellie i krocie wzorowych niewiast, oddanych mężowi i dzieciom. Okoliczność jednakże, iż znalazł się poeta, który mógł napisać „Sztukę kochania“ i zdobył sobie tem dziełem rozgłos powszechny, dowodzi niezawodnie zwyrodnienia znacznej liczby kobiet rzymskich i upadku obyczajów w sferach zamężniejszych. Bo głównie dla bogatszych próżniaczek pracują Owidyusze i do niego podobni autorowie. Ubogie żony i matki, zmuszone położeniem swoim do ciągłej pracy, nie mają czasu do sportu miłosnego.

Zmysłowość odgrywała niewątpliwie znaczną rolę w życiu rzymian z epoki dekadencyi, tylko bowiem miłość lubieżną znają i opiewają poeci owego czasu i przenoszą za-

*) Tak w przekładzie Owidyusza, jak w poprzednich i dalszych, nie starałem się o drobiazgową ścisłość filologiczną. Szło mi głównie o wierne oddanie myśli, ducha danej cytaty. (Przyp. Autora).

wsze kobietę rozwiązała nad ucziwą. Lesbie, Cyntyte, Delie Katullów, Propercyuszów i Tybullów są kokotami lub cudzemi żonami, „każdego bowiem cieszy — uczy Owidyusz — nowa rozrywka, a cudze podoba się zawsze lepiej niż swoje“ (*Ovid. Ars Amand. I, 337—338*).

Dla kobiet, lekceważących „zaśniedziałe przesady“ dawnych matron napisał Owidyusz część trzecią „Sztuki kochania.“ Tym dodatkiem zapewnił swojemu dziełu powodzenie w świecie eleganckim.

„Bo pamiętajcie — upominał poeta — że kiedyś nadejdzie starość. Nie zapominając o dalekiem jutrze, nie zmarnujecie czasu podaremuie. Bawcie się, dopóki wam młodość na to pozwala. Lata płyną, jak woda. Gdy fala minęła, już jej nic nie odwoła... Nadejdzie czas, kiedy ty, co dziś miłość od siebie odrzucasz, będziesz do niej w samotnej, zimnej sypialni staruszki z żalem wzdychała“ (*Ov. A. A. III, 59 i następne*).

Po takim wstępie, podał Owidyusz i dla kobiet, chcących sport miłosny umiejętnie uprawiać, szereg cynicznych wskazówek.

Tę samą truczną ssaly rzymianki i z elegii i z licznych w owych czasach powieści upadłej Grecyi, która, straciwszy dzielność mężką i cnoty obywatelskie, pocieszała się w swem upodleniu najchętniej miłością wyuzdaną. Belletryści wysp greckich pisali już tylko komedye mieszczańskie z wiarolomstwami, idyotyczne farse i lubieżne romanse. *).

Wszystko co się działo przy końcu rzeczypospolitej i

*) Ciekawych rozwoju powieści greckiej odsyłam do dzieła niemca, Erwina Rohde, p. t. „Der Grieschische Roman und seine Vorläufer“ Lipsk, 1876. U nas zajmuje się belletrystyką Grecyi i Rzymu Kazimierz Morawski, którego bardzo dobre studjum p. t. „Petronius Arbiter i romans w starożytności“ wydrukowała „Biblioteka Warszawska,“ zeszyt za maj, 1894 r.

za czasów cesarstwa, składało się na demoralizację kobiety. Psuły ją bogactwa, zdobywane w prowincjach przez legiony, rozpieszczała ją powolność ojców, mężów i braci, gorszyły: filozofia, nauka, teatr, poezya. Kiedy Rzym zaczął naprawdę używać, pokonawszy wszystkich swoich wrogów, była już pięć piękna znakomicie do rozpusty przygotowana. *).

Mówi Seneka: „panie nie liczą już swoich lat podług konsulatów, lecz według cyfry mężów... Wychodzą one za mąż jedynie dlatego, aby podrażnić kochanków. Czyste życie stało się świadectwem brzydoty niewieściej. Bardzo wstrętną musi być dama, posiadająca tylko dwóch kochanków.“

Drwi Marcyalis **): „Już oddawna rozglądam się w mieście, szukając dziewczyny, któraby odmówiła. Nie znalazłszy ani jednej uczciwej kobiety, zaczynam wierzyć, iż czystość jest przestępstwem, zabronionem w Rzymie. Nie ma-li ani jednej wstydlivej? O, jest ich wiele tysięcy... Jakże sobie te skromnisie radzą? Nie ubiegają się one prosto same, ale, zaczepione, nie odmawiają nigdy.“

Straszliwie ochłostał Juwenalis kobiety rzymską w satyrach swoich.

Chociaż nie ulega żadnej wątpliwości, iż połowę tych poglądów pesymistycznych trzeba odliczyć na rachunek zaciekłości satyrycznej, nie odznaczającej się nigdy bezstronnością, mimo to należy przyjąć zwyrodnienie przeciętnej rzymianki światowej, wytwornej, za pewnik historyczny. Dawna matrona stała się rozpustnicą, powodowaną już tylko żądzą używania zmysłowego.

*) Sylwetkę kobiety rzymskiej napisał u nas Jan Wolfram p. t. „Rzymianka, studyum historyczno-obyczajowe,“ Warszawa, 1869 r.

**) Martialis; IV; 71.

I zaczęło się używanie powszechne...

— Kto kocha zbytek — mówi Lucyan *) — kogo wabi blask złota, kto potrzebuje do szczęścia sukien purpurowych, władzy i wpływu; kto nie smakował nigdy słodyczy prawdziwej wolności, wychował się wśród niewolników i pochlebców i nie widział nigdy rzeczy istotnie pięknych i dobrych; kto całą duszę oddał w służbę rozpucie i omamiony przez jej czary i jej błyskotliwość, poświęcił życie rozkoszom stołu, wina i miłości; albo w końcu, kogo podbudza brząkanina muzyki i laskoczą przyjemnie bezecne tańce i lubieżne pieśni — ten powinien sobie wybrać to miasto (ma być Rzym) na miejsce stałego pobytu.

— Bo tu (w Rzymie) znajduje się na wszystkich rynkach i ulicach wielkie mnóstwo tego, co tacy ludzie kochają. Tu można rozkosz wciągać w siebie przez wszystkie furtki duszy, przez oczy, uszy, nos, podniebienie i przez wszelki inny kanał. Tu płynie rozkosz bezustannie mętnym, nigdy nie wysychającym strumieniem i rozszerza wejście dla występków do tego stopnia, iż wiarołomstwo małżeńskie, chciwość pieniędzy, krzywoprzysięstwo i wszystkie inne namiętności, wylęgające się w jej żyznem błocie, wpadają razem z nią, zalewają całą duszę i unoszą z sobą przemocą uczucie wstydu, sprawiedliwości i cnoty. A gdy te uczucia zginą, wówczas zostaje ona sama (rozpusta), podobna do obeschłego dna bagna, z którego wyrastają szybko wszelkie rodzaje dzikich żądź, nie znoszących obok siebie nic zdrowego.

Wciągał w siebie tedy obywatel rzymski rozkosz „przez wszystkie furtki duszy, przez oczy, uszy, nos, podniebienie i przez wszelki inny kanał.“ Mieszkał w pałacach marmurowych, ozdobionych freskami, malowidłami,

*) Lucyan; Nigrinus; 16, 16.

kobiercami babilońskimi i posadzkami mozaikowemi. Jadł na złotych półmiskach, pił z porfirowych pucharów, spał na purpurowych wezgiach, ubierał się w najwytworniejsze tkaniny ówczesnego świata. Pokoje stroił zimą kwiatami, hodowanymi w cieplarniach, meble, na których spoczywał, i wino, które niósł do ust, perfumował. Gdy się udał do kąpieli, nie wychodził z niej o własnych siłach. Z wanien i basenów wynosiła go służba na rękach. Na ulicy nie raczył patrzeć przed i naokoło siebie i odpowiadać na pozdrowienia przechodniów. Jeden niewolnik postępował przed nim i zwracał jego uwagę na przeszkody, zagrażające jego stopie rozpieszczonej, drugi oddawał za niego powitania. Klęcząc, prosili go ubodzy o zapomogi.

Najwykwintniejsze pokarmy, najpiękniejsze kobiety, najzdolniejszych aktorów, muzykantów, woźniców cyrkowych, poetów, retorów i filozofów przysyłały liczne prowincye Rzymowi, aby się pan świata bawił, aby miał wszystko pod ręką, czego tylko próżniak i rozpustnik mógł zapragnąć.

Używali praprawnukowie za krwawą pracę szeregu pokoleń — trwonili ojcowiznę i cnoty przodków.

Bo ten pan świata, taki potężny, oświecony i szczęśliwy na pozór, był wistocie nędznikiem, barbarzyńcą i nędzarzem. Z psią uległością znosił szalone kaprysy Kaligulów, Neronów, Domicyanów, Karakalów, kłaniał się każdemu, kto posiadał w danej chwili nieco więcej znaczenia, złota, władzy od niego, a deptał upadłych lub zubożałych. Nie było podłości, którejby się nie dopuścił dla rozkoszy i pieniędzy.

Trzymał on sobie nadwornych gramatyków, retorów i filozofów, ale nie w mądrości szukał rozrywki i pociechy. Do teatrów spieszył na plugawe atelany, mimy i pantomimy, do rozwiązyłych heter na błyskotliwy *flirt*, do cyrków po wrażenia i wzruszenia. Im szerszemi strugami płynęła na

arenie cyrkowej, posypanej szafranem, krew niewinnych i nieszczęśliwych, im boleśniej cierpiał skazaniec pod klami dzikich bestyj, tem lepiej bawił się wytworny, wykształcony rzymianin pospołu ze swoją świetną małżonką.

Wczoraj wielki i możny, padał dziś w błoto uliczne, gdy taka była wola pierwszego z brzegu denuncyanta. Dawał gardło, przecinał sobie posłusznie żyły, szedł bez oporu na wygnanie. Światu rozkazywał, a w domu, u siebie, lękał się własnych ścian, sufitów, żony, krewnych, służby, siebie nawet, swojego języka.

Co było chlubą jego przodków i zbudowało wielkość Rzymu, to lekcewał on, zniewieściały sybaryta, otoczony bibelotami, staroświeckimi gratami, jak tandeciarz. Do legionów nie kwapił się, ze sławy, honoru i obowiązków obywatelskich drwił uczenie. Zwycięstwa nad buntującymi się ludami zawdzięczał późniejszy Rzym cesarów głównie cudzoziemcom.

A jeżeli subtelna gadanina sofistów, jeżeli czezy krytycyzm filozoficzny i rozpusta nie stłumiły w jego krwi doszczętnie iskry cnoty rzymskiej, dawnej dumy, odwagi i obowiązkowości, wtedy rzucał te dary precz od siebie lub ukrywał je starannie.

Bo nie odważnych, utalentowanych, szlachetnych, uczciwych i rozumnych stawiają epoki upadku umysłowo-moralnego na świeczniku. Rozkład nie znosi wszelkiego zdrowia. Jego żywiołem ulubionym — zgnilizna.

Genialni wodzowie kończyli w wytwornym Rzymie śmiercią nakazaną, utalentowani autorowie przymierali głodem, prawi obywatele stronili od stolicy, ludzie skromni w potrzebach uławiali rozpustników, a rozumni głupców. Niejednemu przedłużyła zrzęcznie grana podłość życie.

Rzym cesarów mordował Germaników, Agrypiny, Agrykolów, nienawidził Tacytów, głodził Juwenalisów, wypędział Epiktetów, a zbierał składki na pomniki dla kome-

dyantów i przeróżnych innych wirtuozów, zasypując ich za życia złotem i wieńcami, i bogacił denuncyantów, dzierżawców podatków, ceł, przedsiębiorców robót publicznych, bandytów kupieckich, złodziejów i oszustów. Aktorowie: Roscyusz, Ezop, Apolinaris, obaj Pyladowie i w. in., zostawili spadkobiercom swoim po kilkadziesiąt milionów sestercyj, olbrzymie zaś fortuny spekulantów i wyzwolenców (*opes libertinae*) weszły w przysłowie.

Eldoradem dla szumowin ludzkich był Rzym przecywilizowany, dla cnoty zaś i pracy macochą. Nawet lepsi z pomiędzy cesarów, jak Adryan, nie znosili szczerości, wynagradzając hojnie płaskie pochlebstwa.

— Poeta Mewius marznie dzień i noc w cienkiej, lichiej sukni — skarży się Marcyalis — ale woźnica cyrkowy Incytatus stroi się w purpurę... Czemu ma się twój syn poświęcić? — radzi ten sam poeta Lupusowi. — Jeżeli chce zarobić dużo pieniędzy, niech zostanie cytrzystą, flecistą, aktorem, szynkarzem, wywoływaczem publicznym lub czemś w tym rodzaju. *).

Ogólny upadek charakterów, osłabienie woli, cyniczny krytycyzm i pomieszanie wszystkich pojęć — utrata poczucia tego, co dobre, piękne, co godziwe i pożyteczne — oto ostateczny wynik przecywilizacji.

— Bo gdy wstyd, sprawiedliwość i cnota przepadną (Lucyan), wówczas pozostaje tylko sama rozpusta, podobna do obeschłego dna bagna, z którego wyrastają szybko wszelkie rodzaje dzikich żądz, nie znoszących obok siebie nic zdrowego.

I żąd przewrotnych, powinien był Lucyan dodać.

Nie wystarczały znikczemiałemu rzymianinowi kwintne biesiady z tancerkami syryjskimi. On brał środ-

*) Martialis; X; 76; — V; 57.

ki na pozbycie się pokarmów i spożywał obiad po raz drugi, trzeci, niższy od zwierzęcia, które nie łaknie już, gdy się narząło.

Jego zepsute podniebienie przestały drażnić najdroższe, najlepsze smakołyki. On łaknął przysmaków nadzwyczajnych, czegoś takiego, czego żołądek zdrowy nie znosi.

Gdy pił, to drżało przed nim otoczenie, nie puszczał bowiem amfory przed utratą przytomności. Trajan, stawiany przez senat wszystkim cesarom za wzór cnoty, monarcha wistocie sprawiedliwy i rozumny, zabronił wykonywać rozkazów, które wydawał w czasie uczty. Poświęcał on każdą wolną chwilę ohydnemu opilstwu.

Miłość naturalna nie zadawiała rozkosznika rzymskiego. Niech się motłoch kocha po staroświecku. On, cywilizowany, oświecony arystokrata ludzkości, przemyślał nad sztucznymi podrażnieniami, „poprawiając naturę.“

Bawiła go tylko potworność...

Gdyby Rzym był zostawił po sobie tyle studyów „psychologicznych,“ ile ich obecnie skażony geniusz Europy wydaje, dowiedzielibyśmy się, że i on cierpiał na choroby zwyrodnienia moralnego i fizycznego, rozpusta bowiem wydaje wszędzie i zawsze te same skutki. I on posiadał niewątpliwie znaczną ilość tabetyków, histeryków, neurasteników i waryatów.

Ale jego pomniki literackie, które przeszły do nas, nie odznaczają się subtelną analizą. Petroniusz Arbiter, Marcialis, Juvenalis i in., rysowali grubo, rzucając zaledwo kontury płaskiego materyjalizmu. Więcej pod tym względem uczył powieści i traktaty sofistyczne upadłej Grecji.

Wiemy tylko, że jak dziś, tak bałamucił ludzi i wówczas zabobon w formie astrologii, magii i różnych innych czarów. Przesądnymi byli oświeceni, religii i idealnego światopoglądu pozbawieni rzymianie, w gusła wierzyli, dni feralnych i złowróżbnych znaków się lękali, kuglarzów egip-

skich drogo płacili, stolikami wirującymi się zabawiali. Nie stare baby i dzieci przerażała niepomysłna przepowiednia pierwszego z brzegu szarlatana, lecz mężów, wykształconych filozoficznie. Antinous przyplacił życiem mistycyzm Adryana.

Wiemy także, iż dekadenci rzymscy stracili smak nie tylko do zdrowych pokarmów cielesnych, ale i duchowych.

Cesarz Adryan, należący do najwyższeńszych ludzi swojego czasu, przenosił Antymacha nad Homera, Enniusza nad Wirgiliusza, Celiusza nad Salustyusza. Forma zabiła treść, subtelność siłę, dziwaczność prawdę. Podobalo się jedynie to, co błyszczało światłem próchna, co posiadało blask fosforu, jakby się współczesny dekadent wyraził.

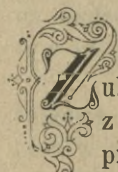
Wolno, stopniowo zbliżała się cywilizacja grecko-rzymska do kresu swego zadania. Wciągnąwszy w koło swoje cały „świat,“ rozszerzywszy pojęcie obywatela, przywiązane pierwotnie tylko do „siedmiu pagórków,“ ośmieszyszy bogów Olimpu i obrzydziwszy materialistyczny wykład życia, przygotowała grunt pod nową prawdę, która nauczyła znów ludzkość, znużoną ateizmem i zmysłowością, wierzyć i szanować posłannictwo człowieka.

Wonny kwiat chrześcijaństwa, dalszy ciąg tradycji aryjskich, wyrósł na ruinach cywilizacji starożytnej.

Z KSIĘGOZBIORU
Stanisława Milewskiego
Nr. kol. _____ Biał _____ Nr. óz. _____

II.

Rozkład cywilizacji nowoczesnej.

ulus lub Hotentot, przywieziony do któregośkolwiek z większych miast współczesnej Europy, doznaje prawdopodobnie takiego samego wrażenia, jakie o-garniało starodawnego galla albo germanina, przybywają-cego do Rzymu cesarów: zdumiewa go na razie i olśniewa wszystko, na co tylko spojrzy.

W domu, w lasach i puszczech afrykańskich, mieszka barbarzyniec w lichych lepiankach, nie lepszych od naszych chlewów, a tu, w Londynie, Paryżu, Rzymie, Wiedniu, Ber-linie, Warszawie, Petersburgu i t. d. wznoszą się przed jego dziewiczemi oczami niebotyczne kamienice, z których naj-uboższa i najniższa jest jeszcze wspanialsza i wyższa od je-go świątyń i pałaców królewskich.

Szerokie ulice, wyłożone asfaltem, drzewem lub sta-rannie wyrównanym brukiem, ułatwiają ruch ludziom i zwierzętom. Nad bezpieczeństwem przechodniów czuwa liczna policja; nocą rozjaśnia ciemności morze światła ga-zowych i elektrycznych.

Z tysięcy okien sklepów spoglądają na Zulusa takie skarby, że za milionową część tego, co się wala za szybami, lekceważone przez ludzi cywilizowanych, kupiłby on u sie-

bie władzę nad całym plemieniem. Za zawartość jednej budy tandeciarskiej zostałyby kacykiem.

Dokądkolwiek barbarzyńiec spojrzy, zewsząd olśniewają jego naiwny wzrok bogactwa, o jakich jego fantazyja nie miała wyobrażenia. Ludzie jeżdżą błyszczącymi powozami, chodzą w miękkich sukniach, mieszkają w wygodnych domach. Nawet służący europejski ubiera się wspanialej od możnowładcy „czarnego ładu,“ nawet robotnik je, pije, śpi lepiej, aniżeli ksiązę pustyni.

A jak tu wszystko obliczone na wygodę mieszkańców!... Nie potrzebujesz się trudzić chodzeniem, gdyż nogi twoje zastąpią windy, dorożki, tramwaje. Jesteś głodny? — Obejrzyj się tylko, a otworzą się przed tobą drzwi restauracji, cukierni. Zachce ci się pić? — Idź prosto przed siebie do szynku, piwiarni, winiarni. Masz interes do kogoś, od którego dzielą cię mil tysiące? — Telegraf zaniesie słowa twoje na krańce ziemi. Chcesz się z kimś szybko rozmówić? — Telefon połączy cię z nim niezwłocznie. Trawi cię niepokój o sprawy twojego gniazda rodzinnego? — Każda gazeta powie ci dokładnie, co się wczoraj stało za górami i morzami. Nudzisz się, pragniesz rozrywki? — Setki domów przeróżnej zabawy: kluby, teatry, opery, cyrki, balety i t. d. wróca ci dobry humor. Łakniesz wrażeń silnych, niezwykłych? — I tych dostarczy ci bez miary każde większe miasto.

Plon całego świata znanego zwożą codziennie okręty i koleje żelazne do stolic europejskich, owoce trudu umysłowego i fizycznego całej ludzkości nadechodzą wszystkimi drogami, aby nakarmić, przyodzianić, zabawić, pouczyć warstwy posiadające chwili obecnej. A nie tylko posiadające. Herbata, kawa, korzenie, bawełna, zioła lecznicze i wiele innych towarów zamorskich służą nawet najuboższym. Ze szkół publicznych i z bibliotek, niegdyś przystępnych tylko

dla bogaczy, korzystają dziś także dzieci „wydziedziczonych.“ Na gazetę i kolej żelazną stać i robotnika.

W przeciągu ostatnich stu lat zrobił człowiek cywilizowany więcej dla swojej wygody, niż długi szereg pokoleń dawniejszych. Zaprzągnięty do wozów i maszyn parę i elektryczność, doszedł do takich rezultatów, że najmożliwszy pan rzymski pozazdrościłby łatwości używania przeciętnemu bankierowi naszych czasów. Geniusz ludzkości wysiłał się przez cały wiek bieżący na to, aby zamienić ziemię na przyjemne i strojne mieszkanie.

Dzikiemu synowi krajów barbarzyńskich wydaje się prawdopodobnie każde większe miasto europejskie rajem, bogów siedliskiem, przeto dziwi się słusznie powszechnemu niezadowoleniu, jakie go otacza. Bo gdziekolwiek się zwróci, zewsząd dochodzą go tylko skargi i przekleństwa. Lamentuje poezya, rozpacza filozofia, szamocę się polityka.

Bogacz nudzi się wśród swoich dostatków, uczony i utalentowany czuje bolącą pustkę pod czaszką, zjadacz serc niewieścich męczy się romansem, sybaryta tęskni za pokarmem grubym, ubogi niecierpliwi się w warunkach trudnych, chory biuźni, nędzarz przeklina. Samobójstwa z różnych błahych powodów mnożą się z każdym miesiącem. Opowiadają gazety od czasu do czasu o studencikach, odbierających sobie życie dla złej cenzury. Dziewczęta wyrzucają się z okna na bruk, trują się zapalkami, topią się w rzekach, w przedwczesnej zawiedzione miłości.

Parne, duszne tchnienie pesymizmu wieje nad schyłkiem naszego wieku. Trawieni przykrym niepokojem, pożądamy ciągłych zmian, wrażeń, czegoś nowego, byle nie zostawać z sobą samymi. Piszemy, drukujemy i rozprawiamy tak dużo, jak gdybyśmy chcieli siebie przegadać, zagłuszyć, oszukać. Niedobrze nam, niewygodnie na tej ziemi wygodnej. Najnowsza poezya, zwana dekadencją i symbo-

liczną, rzuca się, jak szaleniec lub epileptyk, bryzgając na około pianą bluźnierstwa.

Lament ten rozpoczął się już w „kołysce“ XIX-go stulecia, zaraz po „wielkiej“ rewolucji francuskiej. Na samym progu naszego wieku stoi trzech olbrzymich puszczyków, którzy zapełnili świat cywilizowany skargą złowróżbną. W Anglii miotał się przeciw połowiczności człowieka Byron, we Włoszech przeklinał Leopardi jego niemoc, w Niemczech zrzędził Schopenhauer. Głos pierwszych dwóch potentatów ducha zatoczył odrazu koła szerokie, wywołując wszędzie dźwięki pokrewne. Trzeciego przeczenie okrutne czekało na chwilę odpowiednią.

Ledwo zamilkł Byron, a już odezwali się wokoło pesymiści inni. Zawodził Musset, drwil Heine.

Śladami mistrzów powłókl się cały legion Jeremia-szów niższego rzędu. Od połowy bieżącego stulecia bluźnią, przeklinają, szlochają prawie wszyscy poeci i powieściopisarze. Równoległe z postępem nauk przyrodniczych i technicznych, w miarę przybywania środków, ułatwiających walkę o byt, rośnie pesymizm, konający obecnie w kociej muzyce dekadentyzmu. Przez chwilę tylko, przez lat kilka, kilkanaście może dźwignął upadłego ducha XIX-go stulecia młody pozytywizm, obalamuciwszy „zropaczonych“ wielkimi obietnicami. Ale złudzenie to, rozplynąwszy się szybko, przyczyniło się jeszcze do pomnożenia ogólnego zamętu.

Zkądże ten płacz, te drgania konwulsyjne, to niezadowolone z życia i strach przed śmiercią? Wszystko przecież, co się dziś dzieje, powinno nas usposobić dobrze do wędrówki doczesnej. Wszakże nie było człowiekowi cywilizowanemu jeszcze nigdy tak wygodnie na ziemi, jak w chwili obecnej.

I Rzym cesarów olśniewał barbarzyńców świetnością, bogactwem, wykwentem, a jednak...

Jak upadającemu Rzymowi, braknie i naszym czasem przedewszystkiem słońca religii, której ciepłe promienie przenikają aż do najskrytszych tajników serca ludzkiego. Braknie nam tej najlepszej pocieszycielki, tej mistrzyni czyścącego życia i pogodnej śmierci.

Wprawdzie wznoszą się na wszystkich ulicach większych miast kościoły, na wszystkich drogach rozstajnych przypominają krzyże Boga, ale w tych kościołach nie modli się kwiat inteligencji współczesnej, przed tymi krzyżami nie korzy się mądrość świecka. Kto chce uchodzić za rozumnego czy uczonego, za „tęgą głowę,“ ten stara się wznieść jak najwyżej ponad „przesady gminu,“ wstydząc się tęsknot serca, jeśli je posiada, jak hańbiącej słabości charakteru. Znakomita większość warstwy oświeconej chwili bieżącej wyznaje czynny lub bierny ateizm. Służba ołtarza pełni się głównie dla „ubogich duchem,“ dla nieświadomych lub „niezdolnych ocenić znaczenia niezawisłości rozumu.“

A i pomiędzy „ubogimi duchem“ znajduje się tylko mały procet, który czuje w sobie ciepło wiary żywej. Jedni modlą się w świątyniach z nawyknięcia, inni czynią to ze względu na dzieci i służbę, jeszcze inni ulegają tyranowi „wypada.“ Proste lenistwo duchowe bywa w wielu razach źródłem zdawkowej pobożności.

Nie odrazu zachwiała się religia pod obuchem filozofii i wiedzy. Na obecną obojętność w rzeczach wiary złożyły się wieki roboty krytycznej.

Pierwszy cios dawnej „naiwności“ zadał Luter. Po nim przyszli filozofowie Anglii, dalej Wolter z encyklopedystami; reszty dokonali materyjaliści i pozytywiści XIX-go stulecia.

Systematycznie, wytrwale obniżał rozum, mieniący się wyższym od intuicji, wyobraźni i przecucia, znaczenie religii. Zaczawszy od Kościoła katolickiego, przeszedł do innych wyznań chrześcijańskich, aż skończył na wierze wogó-

le. Zrazu ostrożny, zachowują cy wszystkie względy, należące się powszechnie uznanej potędze, krytycyzm ośmielał się stopniowo, stawał się coraz pewniejszym siebie, coraz zuchwalszym. Gdy uczuł się dostatecznie silnym, przy końcu ubiegłego stulecia, zrzucił maskę i odsłonił oblicze szyderycy. Śmiech Woltera zjednał ateizmowi więcej prozelitów, niż cała poważna mądrość filozofów dwóch stuleci, żaden bowiem człowiek oświecony nie chce być... śmiesznym.

Materyalizm i pozytywizm XIX-go wieku nie potrzebowały się już zajmować taką „błahostką,” jak uczucie religijne. Zastawszy grunt doskonale przygotowany pod się „niezawisły,” usiłowały człowieka oderwać zupełnie od jego tęsknot i przeczuć, ograniczając go na obserwacyi i eksperymencie. Wiedza miała zastąpić ludzkości wiarę i poezję, miała być jej jedyną prawodawczynią i pocieszycielką.

Ostatnim dwom pokoleniom nie mówiono w szkołach świeckich wcale o świętości religii. Uczono je wszystkich mądrości tej ziemi, wpajano w nie cześć dla potęgi rozumu, kazano im się zachwycać postępami nauki, napawano je pychą i pogardą dla rzeczy, zwanych nadprzyrodzonymi. W skład programatów gimnazyalnych wchodziła wprawdzie religia, ale wykład obowiązków śmiertelnika względem Boga traktowano z taką samą rzemieślniczą obojętnością, jak każdy inny przedmiot drugorzędny. Były to zwykłe lekcye, z których należy zdać sprawę przy egzaminach.

Kto z nas przyniósł do szkoły resztki wrodzonych przeczuć lub owoce wychowania domowego, ten tracił rychło, co było wonią jego młodości. Piętnastoletni mędrzec, nie chcąc się okazać śmiesznym, naiwnym, wobec o rok starszego filozofa, udawał dopóty niezawisłego myśliciela, dopóki nie wmówił w siebie ateizmu, wiara zaś raz utracona, czy świadomie, wskutek studyów samodzielnych, czy też biernie, przez naśladownictwo, wraca dopiero w wieku pó-

źniejszym po długoletnich, przykrych doświadczeniach życia.

Wrócili do uczuć religijnych: Kepler, Bossuet, Pascal, Fénelon, Descartes (Kartezyusz), Newton, Leibnitz, Euler: tęsknili za nimi przed śmiercią głośni mędrzy XVIII-go w. Boulanger, Condillac, Montesquieu, Fontenelle, Buffon; modlili się gorąco w chwilach ciężkich wszyscy wielcy bohaterowie i prorocy ludzkości, wszyscy natchnieni, szlachetni, poświęcający się za cudze dobro, ale o tem nie wie kilkonastoletni filozof, a jeśli słyszał, to drwi z „tych zacofańców,“ wierząc, iż posiada od nich „głowę mocniejszą.“

Lekceważenie rzeczy nadprzyrodzonych, a niezachwiana niezem ufność we wszechmoc rozumu, była karmią naszej pierwszej młodości. Całe nasze otoczenie — szkoła, wiedza, poezya, belletrystyka, prasa, towarzystwo kolegów, rodzice nawet dość często, wszystko, co działa na wrażliwy umysł chłopca, starało się nas odciągnąć jak najdalej od religii, wykreślonej przez niezawisły rozum z szeregu potęg tej ziemi.

Skarżył się już Lamartine w r. 1840-tym na szkodliwość nowoczesnego wychowania. „Na podobieństwo dzieci barbarzyńców — pisał słynny poeta — zanurzanych zaraz po urodzeniu naprzemian w gorącą i lodowatą wodę dla znieczulenia skóry na wpływy powietrza, przerzuca się obecnie dziecko z kolei z wiary do niewiary. Wychodzi chłopiec z domu ojca, może wierzącego, a może sceptyka. Widział, jak matka potwierdzała to, czemu ojciec przeczył. Wynika z tego, że powinienby mieć dwie dusze, a tymczasem posiada on tylko jedną. Tę duszę ciągną i szarpią w różne strony. W główce dziecka powstaje zamieszanie i nieład. Część jego myśli pozostaje przy wierze, część inna przy rozumie. Chłopiec dziwi się tym sprzecznościom; zaczyna się domyślać, że grają przed nim wielką komedję, że społeczeństwo nie wierzy w nic z tego, czego naucza, że ma dwie

wiary i dwie moralności: jedną wiarę i jednego Boga dla dzieci, drugie dla wyrostków, inne może jeszcze dla ludzi dojrzałych. Myśli te przygniatają go. Jego wiara gaśnie, rozum bez gorliwości ostyga. Dusza robi się oschłą, a zapal przechodzi w obojętność lub zniczczenie.“

Jaskrawiej od Lamartine'a odmalował Musset skutki wychowania nowoczesnego.

— Nie miałem jeszcze lat szesnastu — opowiada serdeczny pieśniarz — gdy już w nic nie wierzyłem. Ani dzieckiem będąc, ani w szkołach, do kościoła nie chodziłem. Moja religia, jeśli posiadałem jaką, była bez obrządku i symbolu wiary. Wierzyłem tylko w jakiegoś Boga nieokreślonego, bez kultu, bez objawienia. Od lat najwcześniejszych byłem zatruty wszystkimi pismami XVIII-go w. które wlały we mnie bardzo wcześnie, jad bezbożności. Pycha ludzka, ten bożek egoistów, zamykała mi usta przed modlitwą, a wylękała dusza uspokajała się nadzieją nicości. A był to stan ogólny moich rówieśników. Jak ten żołnierz na zapytanie, w kogo wierzy, odpowiedział: „w siebie samego“ — młodzież miała gotową odpowiedź „w nic zgoła.“

— Któż ośmielił się opowiedzieć, co działo się wówczas w szkołach. Ludzie wątpili o wszystkim, młodzież, przeczyła wszystkiemu. Serca powiędły, jak kwiaty zwarzone. Piętnastoletnie dzieci prowadziły w kwitnących zarosłach rozmowy, zdolne wstrząsnąć zgrozą nieruchome gaje Wersalu. Komunia Chrystusowa, hostya, ten wieczny symbol niebieskiej miłości, służyła za pieczętki do listów. Dzieci wypluwały Chleb Boży. Szczęśliwi, którzy w niebo patrząc, przechodzili przez przepaście.. *)

*) Cytaty z Lamartine'a i Musset'a zaczerpnąłem nie z oryginału, lecz z dzieła ks. bisk. Bougaud p. t. „Chryścjanizm i czasy obecne.“

Zrozpaczony romantyk zazdrości tym, którzy „patrząc w niebo, omijali przepaście,“ za jego bowiem czasów zachowywali dorośli wobec dzieci jeszcze jakieś względy.

Z nami z wychowawcami mądrości pozytywnej, z ostatnim, dziś dojrzałym pokoleniem, nie robiono sobie już wcale ceremonii. Do nas mówiono wprost ze wszystkich katedr uniwersyteckich: nie ma Boga i duszy, wolnej woli i odpowiedzialności osobistej. Nas uczyli wielcy, przez cały świat oświecony uznani mędrcy, że Bóg jest tworem fantazyi ludzkiej, a cnota i występki powstają tak samo, jak cukier i kwas siarczany. Nam tłumaczono, iż namiętności tkwią w naturze, wszystko zaś, co z tej wszechmatki pochodzi, jest dobre. W moralności kazano nam szukać roboty instynktów, w sumieniu prostej, rozkładowi podległej maszyny. Nam nie pozwolono się nawet zajmować takimi „przesądami gminu,“ jak religia i uczucie religijne, podbudzając naszą młodą pychę takimi przechwałkami, jak owo pytanie Renana: któż wie, czy wszystko wiedząca biologia nie da nam życia wiekuistego? Jakże wobec takich obietnic zaprzętać sobie głowę modlitwą, wiarą, cnotą i t. p. świadectwami niedołęztwa ludzkiego...

Jak rzymianie pierwszego i drugiego stulecia ery chrześcijańskiej wzięli po Grecyi smutną spuściznę sztyrdertwa i przeczenia, tak powitały nas na progu życia owoce krytycyzmu trzech wieków. Długi szereg pokoleń pracował na to, aby z naszych serc wykorzenieć nie tylko religię, ale wprost zdolność wierzenia wogóle.

Wyznaniem, rozpowszechnionem obecnie najwięcej wśród warstw oświeconych, jest bezwyznaniowość, jawna albo ukryta, czynna lub obojętna. „Religii“ tej hołduje prawie cała przeciętna inteligencja, nie troszcząca się zupełnie o sprawy pozagrobowe, dopóki jej... służą siły wieku dojrzałego i sprzyjają warunki zewnętrzne.

Bezwyznaniowość jeszcze 60 lat temu kilkadziesiąt przy-

wielej tylko oświeconych, rozpływa się wolno po ciele społecznem, jak oliwa po wodzie. Od ojców uczą się lekceważenia religii synowie, od braci siostry, od mężów żony, od chlebobawców robotnicy. Zdawkowy ateizm uchodzi pomiędzy młodzieżą męzką i żeńską za „tężyznę,” za świadectwo siły, dla wszelkich zaś niezadowolonych staje się dogmatem politycznym. Walne zebranie socyalistów, zgromadzonych w Londynie w r. 1869, postawiło na czele swojego programu paragraf następujący: „Związek ogłasza się bezwyznaniowym; żąda on zniesienia wyznań i zastąpienia wiary przez naukę, a sprawiedliwości Boskiej przez sprawiedliwość ludzką; zniesienia małżeństwa w znaczeniu instytucji politycznej, religijnej, prawnej, cywilnej.“

Więc nietylko warstwy oświecone, przygotowane przez staranniejsze wychowanie domowe i przez szkołę do życia w społeczeństwie, wyrzekają się pociechy religii. Płaski racjonalizm ogarnął już także nieświadomych i maluczkich.

Nie wszędzie postawiono bezreligijności ołtarze publiczne. Anglia i Niemcy, mimo Darwinów, Spencerów, Schopenhauerów, Hartmanów, Vogtów i innych mędrców niezawisłych, nie chępią się bezwyznaniowością. I Ameryka północna, chociaż kocha *bissnes* przez cały tydzień ponad wszystko, modli się w niedzielę i święta. Rasa germańska wogóle zachowała w charakterze swoim dużo tej powagi i tej czei dla rzeczy świętych, którą już Tacyt w niej dostrzegł i uszanował.

Robocie krytycznej ostatnich czasów przodowała Francya, przypominająca w bieżącym stuleciu Grecyę, ale nie tę świetną, natchnioną Helladę Peryklesa, lecz zwyrodnioną dekadentkę, pieszczoną, a mimo to wzgardzoną przez rzymskich cesarów. Jedyнным bluźniercą w poezyi niemieckiej był Heine, Francya zaś wydała cały szereg własnych Lucyanów, od Woltera począwszy, skończywszy na Baudelaire'rze i Richepin'ie. Od niej, od Francyi, którą na-

śladujemy z przyjemnością, uczymy się my, słowianie, płytkiego ateizmu, wierząc, że lekceważenie religii należy do głównych cech „mocnej głowy.“ Chcemy uchodzić koniecznie za *esprits forts*, za „francuzów północy.“ Jedyna Francya postawiła na czele maszyny rządowej jawnych bezwyznaniowców, zaciekłych wrogów religii, materyalistów teoretycznych i praktycznych. Wolter spogląda z zadowoleniem z innych światów na dzieło swojego śmiechu. Stało się, o czem marzył ten szyderca z głową starego, brzydkiego orangutanga.

Krytycyzm nowoczesny doprowadził obecnie ludzkość cywilizowaną pod względem religijnym do tej samej mety, na której stanęła Grecya po Cheronei i Tebach, a Rzym za Antoninów. Większość inteligencji wszystkich narodów nie czuje w zdrowiu i dobrobycie potrzeby modlitwy, zaś „ubodzy duchem“ zaczynają tracić cześć dla symbolów wiary. Spotyka się już i po wsiach chłopów, nie uchylających czapki przed krzyżem, a nie każdy robotnik miejski zachowuje przepisy wyznania, do którego należy.

Z chwilą, gdy religia przestaje być natchnieniem człowieka, źródłem jego myśli, uczuć i marzeń, wysuwa się materyalizm, teoretyczny i praktyczny, na sam przód sceny dziejowej.

Człowiek, pozbawiony pociechy religii, obiecującej za każdą dobroć i poniewierkę wynagrodzenie, zwraca całą swoją uwagę na ziemię, starając się na niej jak najwygodniej urządzić.

Należy przyznać materyalizmowi XIX-go stulecia, że nie próżnował. Pobudziwszy do większej ruchliwości nauki ścisłe, rozszerzył znakomicie granice znajomości praw natury i wynalazł mnóstwo środków, ułatwiających walkę o byt. Zająwszy się pilnie socyologią, szukał bez wytchnienia nowych form społecznych, któreby dały przeciętnej jednostce największą sumę przyjemności. Zmiarkowawszy

w końcu, iż natura ludzka nie może się obyć bez hamulców, bez wskazówek dodatnich, zbudował nawet własną etykę, która miała zastąpić dawne nakazania kategoryczne, Całą subtelność sofistyki i kazuistyki wyczerpał materyalizm, występujący pod różnemi nazwami (pozytywizm, ewolucjonizm i t. d.), aby ocalić z ogólnego pogromu szlachetność człowieka. Tak zachęcał niegdys i Epikur uczniów swoich do dobroci i skromnego życia, tak łudzili się wszyscy doktrynerzy niezawiśli.

Bo teoretycy filozoficzni i uczeni-specjaliści mają zwykle bardzo słabe wyobrażenie o prawdziwej naturze człowieka. Zasklepieni w kółku swoich przesłanek i wniosków, jak pająk we własnej przędzy, odcięci od życia praktycznego, oddalają się z czasem zupełnie od rzeczywistości. Nie ten świat widzą, który istnieje, lecz ten, któremu oni istnieć każą. Systemat, utopia lub specjalność naukowa przesłaniają im życie.

Nie wiedzą lub wiedzieć nie chcą marzyciele materyalistyczni, że głównym bodźcem postępowania ludzkiego jest egoizm, chowający się wstydliwie za różne sztuczne parawany. Tylko tak wielka siła, jak religia, lub jakiś niezwykły zapach, potrafią okiełznać brutalnego samoluba, panującego w każdej jednostce.

Ten egoizm trzeba trzymać ciągle na łańcuchu, jak złośliwego psa, i straszyć go i karać, gdy usiłuje rozerwać pętą. Nie działa na niego rozumowanie, chociażby najlogiczniejsze, nie przekonywa go wzgląd na cudze szczęście. Egoizm drwi sobie z subtelnej kazuistyki niezawisłych moralistów, słowo bowiem jest od tego, aby je do każdej można nagiąć potrzeby.

Wszelkie teorye materyalistyczne mają to do siebie, jedno świadomie, inne przeciw woli, że spuszczaają egoizm ludzki z łańcucha i pozwalają mu swobodnie hulać. Wyzwalając człowieka z pod nadzoru religii, czyli powagi Bo-

skiej wogóle, budzą w nim pychę. Zamykając jego istnienie w ramach wędrówki doczesnej, nakłaniają go do używania. Równając go ze zwierzęciem, nadają prawo obywatelstwa wszystkim jego nieszlachetnym instyngtom.

Daremnie powołują się niezawisli różnych odcieni na biografie głośnych epikurejczyków, racjonalistów, pozytywistów i t. d. Owych słynnych materyalistów, których ich własna doktryna nie zgorszyła, było dziesięciu, dwudziestu, chociażby stu, wielkie zaś masy przeciętnej inteligencji, całe miliony, wysnuwają z teoryj eudajmonistycznych wnioski inne. Te miliony mówią sobie: być może, iż Epikurovi smakował suchy chleb, zakropiony wodą, lecz ja, który nie jestem filozofem, wolę tłustą murenę i starego falerna. Epikur wychwalał byt mierny, było mu bowiem w nim wygodnie, ale ja, który nie posiadam talentu wmówienia w siebie sztucznych rozkoszy, przenoszę majątek, środek do używania, nad ubóstwo. Mędrzec, potrzebujący spokoju do swoich medytacyj, usuwał się od zaszczytów obywatelskich, ale ja, którego czcze rezonowanie i t. zw. szukanie prawdy nic a nic nie zajmuje, chcę osiąść władzę, abym mógł robić, co mi się tylko podoba.

Zapominają marzyciele materyalistyczni, że sama nauka jako nauka zapełnia życie tylko uczonym z zawodu, stanowiąc dla przeciętnej inteligencji po za latami szkolnemi zaledwo przelotną rozrywkę. Każdy bogacz rzymski trzymał sobie dla towarzystwa jakiegoś greckiego filozofa, co mu wcale nie przeszkadzało zwracać między jedną dysputą o umiarkowaniu a drugą, spożyty obiad, aby było miejsce dla nowych pokarmów.

Przeciętny oświecony lub półoświecony nie ma ani czasu, ani ochoty, ani zdolności do zgłębienia jakiejś teoryi. Zwykle bierze on z niej to, co odpowiada najlepiej jego upodobaniom, co tłómaczy i uświęca jego pożądanja, nie troszcząc się bynajmniej o całość doktryny.

Materyalizm nowoczesny powiedział ludziom: nie obawiaj się Boga i religii, Bóg bowiem i religia są wytworem naiwnej wyobraźni. Nie wierz w duszę, w życie pozagrobowe, w moralność wrodzoną, czy objawioną i t. p. mrzonki. Niech cię tak zwane sumienie nie straszy, a namiętności nie gorszą. Sumienia w rozumieniu idealistów nie było nigdy, namiętności zaś są rzeczą naturalną, więc dobrą. Ufaj tylko sobie, rozumowi swojemu, i staraj się być szczęśliwym, o ile to możliwe.

Wyborna nauka! zawołał egoizm człowieka. Ponieważ wszystko to, co krępowało moją niesforność, okazało się kłamstwem, przeto mogę sobie teraz pozwolić. Przykuty do ziemi, będę się starał wyzyskać jej przyjemności; pouczony, że w walce o byt zwycięża zawsze mocniejszy, sprytniejszy, bezwzględniejszy, będę usuwał z drogi wszystkich słabszych i głębszych. Wprawdzie zalecają mistrzowie moi jakiś altruizm ale dysputują przytem tak mądrze, iż nic a nic ich gadaniny nie rozumiem. Wiem tylko, że wolno mi być sobą, że nie potrzebuję się już ukrywać ze swojemi gustami.

Począwszy od „wielkiej“ rewolucyi francuskiej, z krótką przerwą entuzjazmu napoleońskiego, był pospolity egoizm głównym bodźcem życia politycznego narodów, przodujących cywilizacyi nowoczesnej. Już owa rewolucya odsłoniła brutalność człowieka, uwolnionego z pod nadzoru „bojaźni Bożej.“ Podczas kiedy kilkuset zapaleńców wierzyło w jakieś posłannictwo ogólnoludzkie i mordowało dla idei, reszta, krocie, zdetronizowawszy urzędowo Boga, pamiętały jedynie o swoich własnych interesach. Najkrzykliwsi „patryoci,“ szewcy, stolarze, kowale, sklepikarze małych miast, rabowali, kradli, chwyтали wszystko, co tylko ich chciwe ręce mogły osiągnąć. A nie tylko ograbiali „arytokratów,“ lecz oszukiwali samą rzeczpospolitą, handlując dobrami i asygnatami narodowemi. Trzy czwarte fortun

dzisiejszej burżuazji francuskiej z tego pochodzi źródła. Dantony, Robespiercy, St. Justy dali gardło pod nóż gilotyny, ale pomocnicy ich zarobili miliony na „wolności“ i zostawili dzieciom swoim wybitne miejsce w pierwszych szeregach społecznych.

A ci synowie i wnukowie patriotników z czasów rewolucyi, gdy po epopei napoleońskiej i po krótkich rządach reakcyi wrócili do panowania, potrafiliby oburzyć na siebie w przeciągu lat kilkudziesięciu nie tylko wszystkie serca szlachetniejsze, ale nawet wielkie masy nieświadomych. Dzieścięć wieków czekało rycerstwo na „wielką“ rewolucyę, na karę za winy popełnione, za zwyrodnienie fizyczne i moralne, burżuazya zaś zdołała wytworzyć anarchizm w przeciągu dwóch pokoleń. Bo wszystko, co robiła od chwili, kiedy jej bieg wypadków oddał moc prawodawczą, obracała się na niekorzyść ubogich. Nie poczęta z krwi, przelanej na polach bitew, jak szlachta, ani z bolesnego potu pracy, jak robotnik, lecz z kłamstwa i kradzieży, nie znała ona miłosierdzia dla maluczkich. Zawdzięczając stanowisko swoje pieniądzom, służyła gorliwie kapitałowi i jego dzieciom egoistycznym: handlowi, giełdzie, przemysłowi. Odwieczny bóg społeczeństw zmaterializowanych, Złoty Cielec, przydawał na zebraniach parlamentów europejskich. Jemu, niewidzialnemu władcy, bili pokłony znakomici mówcy liberalni, o jego względy ubiegali się prawodawcy. Historia krachu wiedeńskiego i budowy kanału panamskiego opowiada, jakie „ideały“ były natchnieniem oświeconych rządców Francyi, Austryi i Niemiec. Prości złodzieje, łapownicy i oszuści narzucali ludom swoją wolę.

Zdawało się nieprawym spadkobiercom rewolucyi francuskiej, że zbudowali dla siebie niezdobytą twierdzę, w której będą mogli bez przeszkody używać. Obawiając się, aby pamięć dawnych wierzeń i pojęć nie podkopała ich stanowiska, krzewili usilnie doktryny materialistyczne za pośredni-

ctwem szkoły i prasy. Burząc przeszłość, wzmacniają terazniejszość.

Tak mniemali.

Tymczasem... Jeszcze nowa kasta uprzywilejowana nie miała nawet czasu urządzić się wygodnie, kiedy się zewsząd odezwały szmery złowrogie. Te głosy, zrazu głucho, stłumione, rosły szybko, rozlegały się coraz szerzej, aż utworzyły krzyk potężny, przeciągły.

Oświeceni rządzący dziwią się tym zachciankom gminu, nie chcąc zrozumieć, że je sami podbudzili. Spoglądając z bogatych pałaców na nędzę, której zabrali świadomie Boga, religię, pokorę, cierpliwość, oburzają się na niezadowolone wydziedziczonych. Jakgdyby doktryna materialistyczna działała inaczej na posiadających, a inaczej na ubogich.

Daremnie rozprawiają dziś oświeceni o konieczności odrodzenia poczucia obowiązku, o karności obywatelskiej i t. d. Nie ma obowiązku bez uznanej powszechnie powagi, nie ma zaś powagi prawdziwej bez religii. Ona jedna wpaja w człowieka szczerą uległość. Gilotyna, więzienia, sądy mogą nauczyć egoizm ludzki ostrożności, ale nie powstrzymają, nie stłumią jego pożądań. Zdawało się, że miecz Napoleona I-go uciął raz na zawsze łeb hydrze wojny domowej, a oto przyszła komuna z r. 1870. Wojska rządowe nie oszczędzały szaleńców paryzkich, a mimo to patrzymy dziś na taniec wśród bomb anarchizmu. Człowiek współczesny nie uspokoi się dopóty, dopóki nie przekona się stanowczo, że niezmacone szczęście nie jest przeznaczeniem śmiertelnika. Zanim jednak ta chwila nadejdzie, popłynie znów prawdopodobnie morze krwi, jak zwykle.

Cywilizacja materialistyczna skona niebawem w jakimś wielkim wybuchu nieszlachetnych namiętności ludzkich, doszła już bowiem do punktu kulminacyjnego, do chorobliwego indywidualizmu. Bo nie inaczej należy nazwać ostatnie

przejawy anarchizmu. Tylko zwaryowany egoista wysadza w powietrze bez wyboru domy, restauracje, cukiernie, zabija ludzi nieznanym, niszczy sprzęty, które nie zawiniły. Tak przypatrywał się niegdyś spodlony motłoch rzymski obojętnie okrucieństwu wojen domowych, bawiąc się zniszczeniem. Żołnierzy przeciwnych stronnictw zachęcał do wzajemnego mordów, zwycięzcom klaskał, zwyciężonych zaś wyciągał z ukrycia i wydawał pod miecz nienawiści.

I na górze i na dole panuje dziś w ogniskach cywilizacji nadmierny egoizm, naturalny skutek mądrości materialistycznej. Spieszy się z wyzyskaniem rozkoszy tej ziemi, kto wierzy, że śmierć gasi jego istnienie na zawsze. Przekonany materialista, któryby inaczej postępował, byłby nielogicznym.

Chciwość pieniędzy, która odgrywa, jako niezawodny środek do używania, we wszystkich epokach materialistycznych rolę pierwszorzędną, reguluje całe postępowanie współczesnego człowieka. Oddziaływa ona bardzo silnie na wybór zawodu i na tworzenie ognisk rodzinnych.

Nam, którzy chowaliśmy się między r. 1850 a 1870-tym, czyli w chwili największego rozkwitu rządów rozumu, nie mówiono ani w domu, ani w szkole o szlachetności tego lub owego fachu, lecz tylko o jego wartości praktycznej. Zalecano nam adwokaturę, medycynę, inżynierię, przemysł, handel jako rzemiosła, dające nadzieje zdobycia szybko majątku. Chłopców kilkunastoletnich niepokoiły powodzenia spekulantów, których szwargot handlarski przenikał mury szkolne. Wprawdzie powtarzali nam znudzeni monotonnym zajęciem profesorowie wzniosłe formułki zgasłych pokoleń, opowiadali nam o czynach bohaterskich Greków i Rzymian, komentowali z urzędu znakomitych poetów i prozaików starożytności, ale działo się to bez wiary i chęci pobudzenia do naśladownictwa. Życie zresztą powinno dopełniać szkołę, ono zaś drwiło na każdym kroku z marzeń

idealistów. Nasi mistrzowie pracowali ciężko na ubogi chleb powszedni, a pierwszy z brzegu nieuk, który, sprzykrzywszy sobie książki, rzucił się w wir handlu i przemysłu, opływał wkrótce w dostatki. Kantorowicze, podrzędni urzędnicy banków, dostawcy materiałów budowlanych, przedsiębiorcy, słowem wszelacy „praktyczni“ zbierali bogate plony, nauka zaś i prawość chodziły bez butów.

Więc nie wiedza dla wiedzy, nie praca rzetelna, nie trud i szlachetność prowadzą do królestwa złota. Kto chce użyć na ziemi, ten powinien się pozbyć przesądów przeszłości. Tak wnioskowaliśmy...

Dziewięć dziesiątych młodzieży, kończących szkoły po r. 1850-tym, poświęcało się zawodom praktycznym. Tylko niemożność, brak środków lub jakiś wrodzony talent, silniejszy zawsze od prądów danej chwili, pokonywały ducha czasu.

Rozumie się, że z wielkiej liczby powołanych, wybrał los tylko niewielu szczęśliwych lub sprytnych. Na stu lekarzów, adwokatów, inżynierów, kupców, przemysłowców, osiągnął zaledwo jeden to, o czem marzył, reszta zaś doznała bolesnego zawodu. Ztąd płacz i zgrzytanie zębów, ztąd skargi rozczarowania...

A kiedy przyszedł czas, w którym człowiek dojrzał, czuje potrzebę założenia własnego ogniska, wówczas mówiono nam znów bardzo mało o świętości rodziny, opartej na przymiotach moralnych małżonków, ale za to bardzo dużo o konieczności baczenia na warunki materyalne. Nasłuchawszy się już w szkołach o okrucieństwie walki o byt i o straszliwych skutkach nędzy, nauczywszy się od najgłośniejszych mistrzów chwili pogardy dla ubóstwa, szukaliśmy u przyszłych żon nie cnót niewieścich, lecz pieniądze.

Wszystkie czasy wydają pewien procent posagolowców, ale jedynie epoki rozkładu moralnego wynoszą pospolitą chciwość do godności cnoty. Tylko za cesarów rzym-

skich i przy końcu wieków średnich łączyło się w warstwach cywilizowanych tyle stadeł niedobrych, ile w chwili obecnej. Posag usuwa dziś wszystkie, zwykle bardzo silne różnice: rasy, narodowości, stanów, religii, wychowania, nawyknień — sprzęga arabczyka ze szkapą żydowską, potomka rycerzów z córką lichwiarza. Arystokracja francuska włoska, niemiecka i nasza miesza się bez wstydu z krwią bandytów finansowych, ubiega się o pieniądze, skradzione ubogim. Co kto ma do sprzedania — nazwisko, tytuł, zasługi przodków, stosunki, stanowisko, urodę — wszystko to wynosi się na targowisko małżeńskie i oddaje za złoto próżności parweniuzów. Niech się tylko gdzie pokaże jaka dziedziczka wczoraj zubożonego giełdjarza, oszusta, szczęśliwego spekulanta lub przemysłowca, a już ci otacza ją rój paniczów, niosących przed sobą tarcze herbowe i kartki, wyrwane z ksiąg historycznych. Mój antenat zrobił to a to, sypiał jako wódz na gołej ziemi razem z żołnierzami, jadał z nimi chleb czarny i dzielił wszystkie trudy obozowe, przeto należą się mnie twoje krocie, abym mógł spoczywać na puchach, drażnić podniebienie arcydziełami sztuki kulinarnej i próżnować. A mój rozdawał fortunę swoją między ubogich, gardząc dobrami tej ziemi... Mój znów przepędził życie na posługach publicznych — był świętym kapłanem — znakomitym autorem — szlachetnym obywatelem i t. d. Przelany pot, krew, serdeczny ból, zapach, natchnienie przodków zamieniają zwyrodnieni potomkowie na pieniądze, na których lśnią świeże łzy wyzyskanych i ograbionych. Trzech książąt: Monaco, Radziwiłł i Bonaparte, żyją z dochodów rulety w Monte-Carlo, owianej klątwą samobójców. Tysiące hrabiów, margrabiów, baronów i szlacheiców bez tytułu wystawiły w Europie swoje pałace na ruinach drobnych fortun, wciągniętych w zasadzkę przez podłość spekulantów.

A kto nie ma do sprzedania zwietrzałych pergaminów

i kartek z ksiąg historycznych, ten stara się zdobyć za pomocą sprytu i nieuczciwości to, co uważa za konieczne do szczęścia. Zwykła przebiegłość handlarska odgrywa dziś przy zawieraniu związków małżeńskich rolę bardzo dużą. Najtłustsze posagi wylawiają najprzewrotniejsi. Kto w końcu nie posiada natury chytrej, ten wyrzeka się zgola przyjemności własnego ogniska, przenosząc starokawalerstwo nad przykre dla ubogiego obowiązki rodzinne.

Najwyraźniej zarysowała się chciwość pieniędzy w XIX stuleciu w handlu i przemyśle. Kupiectwo, z natury swojej dalekie od uczuć i pojęć wytwornych, od subtelnej uczciwości i honoru, bo polegające na zasadzie: najtaniej kupić a najdrożej sprzedać, przeraziło świat cywilizowany bezbrzeżnem samolubstwem. Uwolnione z pod grozy kodeksu karnego, pieszczone przez prawodawstwo liberalne, pokryło w krótkim czasie Europę ruinami zbankrutowanych przedsiębiorstw, spółek i domów komisowych. Poczawszy się wolnem, kłamało, oszukiwało, kradło na prawo i na lewo. Lepszym był ten, kto posiadał mniej sumienia, a genialnym, kto potrafił zręcznie łatwowiernych wyzyskać.

Spekulanci, wyludziwszy za pomocą obietnic niezwykle kłych zarobków, wszystkie oszczędności wielkich i małych kapitalistów, dali akcyonaryuszom szczególnego rodzaju widowisko. Oto zaczęli się sami nawzajem okłamywać i oszukiwać, stawiać sobie pułapki. Nazywało się to w żargonie giełdy, że: duże ryby mają apetyt na drobne. Duże szczupaki połknęły rzeczywiście drobne płotki. Nagle, gdy w danej chwili nie było już więcej pieniędzy ruchomych w kasach prywatnych, rozległ się w Europie trzask i łoskot. Zapadały się „solidne“ przedsiębiorstwa, jak domki z kart, sypały się w gruzy banki, banczki, kantory i kantorki wekslarskie. Na placu boju ostało się tylko kilkudziesięciu potentatów finansowych i miliony okradzionych i zawiedzionych akcyonaryuszów. Różne „krachy“ kupieckie drugiej poło-

wy bieżącego stulecia będą kiedyś jaskrawą ilustracją oszalałej chciwości ludzkiej.

Nawet ten organ społeczeństw cywilizowanych, który powinien mieć czyste sumienie i czyste ręce, uległ powszechnemu zepsuciu. Prasa, z powołania swojego stróż i obrońca dobra publicznego, nauczyciel nieświadomych, poszła w Europie oświeconej w służbę nieszlachetnych namiętności i Złotego Cielca. Pominąwszy pisma naukowe, specjalne i literackie, pozostające tylko w luźnym związku z życiem praktycznym, i szczupłą ilość gazet, znanych z uczciwości, zachowuje się znakomita większość dziennikarstwa jak pospolita handlarka.

Organy stronnictw politycznych kłamią, naginają każdy wypadek do swoich celów, oczerniają świadomie przeciwników, szkodzą im rozmyślnie, nie szanują cudzej czei i cudzego spokoju. Gdyby ktoś wierzył na słowo artykułom dziennikarskim, pisany podczas wyborów do parlamentu w Paryżu, Rzymie, Wiedniu lub Berlinie, nabrałby o wybitnych osobistościach Francji, Włoch, Austrii i Niemiec bardzo ujemnego wyobrażenia. Prawie każdy z kandydatów, kimkolwiekby on był, kwalifikuje się w oświeceniu przeciwników do kryminału.

Prasa zaś informacyjna, najpoczytniejsza wszędzie, sprzedaje wszystko za pieniądze i schlebia prenumeratorom. Księgarz, aktor, śpiewak, bankier, przedsiębiorca, fabrykant, kupiec nie doczekają się wzmianki w tekście, jeżeli nie zapłacą dobrze. Kosztuje krytyka, pochwała, wiadomość o przyjeździe i odjeździe, kosztuje wszelka uprzejmość. Bezwzględna dla ministrów, jeżeli nie kupią jej łaski, prasa informacyjna kłania się prenumeratorom do samych stóp. Nie uczy ich, nie prowadzi, nie objaśnia sumiennie, lecz nasłuchuje pilnie z uniżonością kantorowicza, pytając o gusta szanownej publiczności. Chcesz materyalizmu? Służymy... Jesteś dziś w usposobieniu zachowawczem?... Wierzmy,

jak ty... Zachciewa ci się jutro radykalizmu? I my przekonaliśmy się lepiej... Obrzydł ci realizm, pragniesz mistycyzmu? Właśnie wirują znów stoliki i produkują się medya... Żądaj tylko wyraźnie, głośno, a znajdzie się w naszym sklepie każdy towar. Jesteśmy od tego, aby upodobać twoje zadowolnić...

Nasza prasa miała bardzo długo czyste ręce i czyste sumienie. Pomijając nieliczne wyjątki, wskazywane palcami, nie było między nami złej wiary, ani złej woli bez względu na cele stronicze. Jeżeli w chwilach gorętszej polemiki ten i ów przekroczył dozwolone granice rozprawy publicznej, potracając nieszlachetnie o tajemnice prywatne, żałował tego niezawodnie, gdy ochłonął. I dziś jeszcze nie płacą nam wydawcy, aktorzy i śpiewacy za recenzje, przedsiębiorcy i kupcy za reklamy: nie bierzemy kubanów. Jakiegokolwiek się na to powody złożyły, dość, iż prawdą jest, że prasa warszawska stoi pod względem etycznym daleko wyżej od paryskiej, wiedeńskiej i berlińskiej.

Dopiero od lat kilku, pięciu może, zaczyna się coś psuć i w naszym świecie dziennikarskim. Gromadka „najmłodszych,” wtargnąwszy do prasy, nie odczuwa już takich skrępułów, jak mystarsi, dla których przekonanie osobiste, takie lub inne, było prawem najwyższem. Wniósłszy do roboty publicznej apetyty zwykłego karyerowiczowstwa i tradycyje kupieckie, owi najmłodsi zaczynają naśladować informacyjną prasę Europy. O prenumeratorów im głównie idzie, nie o służbę obywatelską. Przeto nasłuchują uważnie, z której strony wiatr wieje, zawsze skłonni do uległości wobec przelotnych gustów „szanownej publiczności.”

Ale tych najmłodszych jest jeszcze niewiele między nami, a i oni, chociaż pieniądź stanowi ich jedyne dążenie i marzenie, udają szczerych publicystów z obawy przed sądem opinii, nie sprzyjającej u nas tego rodzaju przedsiębiorstwom.

Pieniądz i wszędzie pieniądz...

Jak w Grecyi po Tebach i Cheronei, w Rzymie za cesarów, w miastach włoskich książąt-kupców, jak we Francyi ostatnich Ludwików, rozsiadł się w drugiej połowie bieżącego stulecia Złoty Cielec w całej Europie, przygniatając ciężarem swoim: cnotę, zasługę i dobroć, burząc ostatecznie, czego bezreligijność, materializm teoretyczny i nadmierny egoizm nie zdołały zniszczyć. Łamiąc charakter. Powolny sługa najniższych instynktów, dostarczyciel rozkoszy zmysłowych, wróg umiarkowania i uczciwości, tyran ubogich i słabych, chępiący się, że kupi wszystko, sybaryta, sceptyk i cynik, zdemoralizował pieniądz do reszty współczesnego człowieka cywilizowanego, biorąc mu poczucie godności osobistej, na której ustalenie pracowały wieki.

A kobieta? Jakież stanowisko zajął ten najbarwniejszy kwiat żywego stworzenia w walce „niezawisłości z przesądami?“ Trzymał-że się on zdala od buntu rozumu i od pożądań zmysłów, bronił-że czystości ogniska domowego, co było we wszystkich epokach jasnym jego przednim obowiązkiem i główną chlubą?

Kobieta XIX-go stulecia przypomniała sobie, że „poniżała się“ przez długi szereg wieków jako „poddanka mężczyzny“ i spodziewała się od wszechmocnego rozumu pełnego równouprawnienia z płcią, zwaną brzydką. Usiłując przyspieszyć rozwój wypadków, wypowiedziała wojnę przeszłości, ograniczającej jej swobodę i domagała się głośno „pracy i nauki.“

Wprawdzie wyznaczyła natura kobiecie bardzo obszerne pole działalności, równie pożytecznej, jak zabiegi mężczyzny, ale nie o zajęciach: żony, matki, nauczycielki, gospodyni marzy emancypantka naszych czasów. Ją gniewa, iż obyczaj i prawo nie dopuszczały jej do posad: lekarzów, adwokatów, profesorów, inżynierów i t. d., i odebrały jej możność wpływania na bieg spraw publicznych. Więc

podniósłszy wielką wrzawę, szturmowała do zamkniętych dla niej bram wyższych zakładów naukowych, a kiedy zdobyła sobie kilka uniwersytetów, rzuciła się cheiwie do wiedzy

Przez jakiś czas tryumfowała płeć piękna, wygrażając brzydkiej: teraz wam pokażę! Ale zapal ten trwał tylko krótko.

Bo oto okazało się, że nauka nie przychodzi tak łatwo, jak się kobiecie zdawało. Zabiera ona młodość, zdrowie, urodę, żąda nocy bezsennych, lat całych wielkiego wysiłku, głodu nieraz, ponieważ i różnych innych ofiar. Stanowczo przyjemniej zostać „poddanką“ męża.

A kiedy wyzwoliła ucznia, jaśnie oświecona pani nauka obchodzi się z nim, jak macocha. Wypędza lekarza, prawnika, filozofa w świat daleki i każe mu szukać między niegościnnymi ludźmi własnego kąta, nie dając mu na drogę najuboższej wyprawy. Chleb gorzki jedzą często wychowawcy uniwersytetów, chleb robotników, płaconych od sztuki. Patent z ukończonych studyów, to jeszcze nie posada, a tem mniej dobrobyt. Stanowczo wygodniej znosić nierówny humor jednego męża, niż nieszlachetność wielu chlebobawców.

A w końcu... Nawet najgorliwsza emancypantka nie przestaje być kobietą. Gdy ją ominie pierwszy szal buntu, wówczas odzywa się w niej serce niewieście — serce kochanki, żony, matki. Daremny był jej bój z mądrością natury. Miłości nie zastąpi jej żadna umiejętność.

Z owych kilku tysięcy kobiet europejskich i amerykańskich, które zajęły w ostatnich latach dwudziestu ławy uniwersyteckie, wytrzymało do egzaminów zaledwie kilkaset (może nawet nie tyle). Z tych znów, co uzyskały patenty, zapomniały trzy czwarte przy ogniskach domowych rychło o marzeniach młodości. Z reszty zaś, z ilości tak szczupłej, że rozplynęła się prawie bez śladu w większości mężkiej, z kilkudziesięciu doktorów medycyny, prawa, filozofii,

żyjących ze swojego rzemiosła, ma dotąd nauka bardzo mało pociechy. Nic o tem nie wiemy, aby się jaka kobieta odznaczyła na jakimkolwiek polu wiedzy. Ruch emancypacyjny nie wydał ani jednego znakomitego filozofa, matematyka, chemika, botanika, prawnika, lekarza w spódnicy. I w polityce nie wyróżniła się żadna białogłowa, z taką bowiem śmieszną krzykaczką, jak Ludwika Michel, nie liczą się nawet jej radykalni przyjaciele.

Plon nieco obfitszy wydała działalność kobiet oświeconych w literaturze pięknej. Opanowawszy powieść i nowellę, zadrukowały one romansami kilka tysięcy ryz papieru. Głównie w Anglii i w Niemczech wyparły autorki autorów z felietonów czasopism. Ale i na tem polu nie przewyższyły talentów męzkich. Inicyatywy i reformy literackie nie od nich wyszły i wychodzą.

Niższość twórczości umysłowej nie przynosi kobiecie bynajmniej ujmy, głowa bowiem nie jest jej siłą przednią. Wzięła ona przy podziale darów, któremi Opatrzność wyposażała człowieka, część lepszą, bo serce — źródło szczęścia i dobroci. Przeznaczeniem jej: dopełnić męczyznę, utworzyć z nim razem całość doskonałą, dać mu to, czego jemu odmówiono... miękkość uczuć i wytworność obyczajów. Rzeczą męczyzny: zbudować dom i utrzymać go, kobiety zaś: zamienić go na ciepłe, przyjemne gniazdo. Mąż myśli i pracuje, żona kocha i oszczędza.

Ale nie tak wierzą emancypantki. Odurzone obietnicami nauki niezawisłej, usiłują poprawić naturę. Najzacieklejsze z nich udają nienawiść do płci mocnej i pogardę dla cnót i tęsknot niewieścich. Zabrały się one z taką namiętnością do „roboty przyszłości,“ iż zdawało się, że wywrócą na nice dotychczasowy porządek społeczeństw cywilizowanych.

Z wielkiej jednak góry urodziła się drobna mysz. Jak po oświeconych rzymiankach z czasów cesarów, nie zostanie

prawdopodobnie i po naszych emancypantkach w nauce i sztuce nic takiego, co potomni będą zmuszeni uwzględnić. W każdym razie nie zrównoważą owoce dodatnie zmywy kobiet XIX-go stulecia jej skutków ujemnych.

Któż-bo wróci spokój duszy i serca owym tysiącom, może krociom dziewcząt, którym położenie materyalne i wypadki nie pozwoliły się przetrwać w ogniu prawidłowej nauki? Religia nie, usunięcie bowiem tego „przesądu“ należało do pierwszych paragrafów programu postępowego; rodzina także nie, bo mężczyzna lęka się słusznie związku dozwolonego z pół-uczoną ateistką. Wykolejone, wyparte z granic naturalnego posłannictwa kobiety, oddane na łup pracy wyrobniczej, pomnażają one rosnący z dniem każdym zastęp starych panien, o tyle nieszczęśliwsze od dawniejszych, o ile posiadają więcej świadomości swojego położenia. Uboga samotność jest zawsze rzeczą przykrą, w wieku zaś późniejszym okrutną.

Któż nauczy obowiązków żony i matki owe mądre panie, zajmujące się przed zamążpójściem wszystkim, oprócz właśnie tem, czego ognisko domowe od nich żąda. Wnoszą one mężom jako posag niefortunny zniszczone zdrowie, zwiędłe serce i głowę, wypełnioną strzępami bezpożytecznej erudycji. Kobieta z lepszego towarzystwa, karmiąca swoje dziecko, należy dziś do wyjątków. Gospodarstwo męczy panie z inteligencji, trudne warunki niecierpliwiają je, nużą. Ale za to mnoży się typ dyletantki literackiej i naukowej, osmagany już przez Juwenalisa, z płodnością potomstwa abrahamowego. Nie wiadomo, gdzie się schronić przed sawantką salonową, której się zdaje, że ośniewa mężczyznę, gdy sypie na niego całe korce uczonej sieczki. Filozofia, historia, chemia, botanika, psychologia, literatura i t. d. leżą z takim szumem na głowę cierpliwego słuchacza, iż zostaje mu jako jedyna odpowiedź tylko uśmiech pobłażliwy.

Daremnieby zresztą przeczył lub objaśniał. Mądra dama wie wszystko najlepiej.

Nie sama tylko nieprzetrawiona nauka obrzydza płci słabej jej posłannictwo naturalne. Jak wytworną rzymiankę z pierwszych dwóch wieków po Chrystusie, psują i kobiety współczesną przedewszystkiem teatr i literatura nadszubska.

Bo na cóż patrzą czy niewieście w przybytkach Talli i Melpomeny od lat pięćdziesięciu mniej więcej? Zamiast niepospolitych charakterów, wielkich cierpień i szlacheśnych rozpaczy tragedyi i dramatu epok z programatem dodatnim, widzą one zmysłowość w jej przejawach najrozmaitszych. Cudzołóstwo, wiarołomstwo, miłość zakazana oświecona tragicznie i humorystycznie, jest stałym przedmiotem t. zw. sztuki mieszczańskiej. Autorowie bronią na scenie praw kobiety upadłej, tłómaczą kokotę, są gorliwymi rzecznikami rozwodu, a drwią z naiwnej uczciwości.

Dramat uczy płęć słabą buntu przeciw obowiązkom ogniska domowego, komedia przyzwyczajają jej ucho do podstępного flirtu, farsa drażni jej zmysły dwuznacznikami i sytuacyami lubieżnemi.

Teatr drugiej połowy bieżącego stulecia przypomina zupełnie scenę grecko-rzymską z epoki upadku. Jak wówczas, świecą i dziś sale pustkami, gdy sobie jakiś dyrektor przypomni, że sztuka nie powinna być pospolitą bawicielką. Dramat w stylu szlacheśnym może liczyć tylko wtedy na średnie powodzenie, gdy ukaże się w stroju błyskotliwej wystawy. Ale idyotyczna operetka lub tłusta krotochwila obiegają całą Europę, witane wszędzie rzeszami oklaskami. Słowo szlacheśne, podniosłe, gorące nudzi publiczność przeciętną, łaknącą wrażeń łatwych i ordynaryjnych. Utwór bez brudu moralnego albo bez grubego śmiechu zajmuje jedynie galeryę, wyrostków i „ubogich duchem.“

A powieść, nowella?

Powieść i nowella, pozazdrościwszy laurów nauce, szturmowały z bezwzględnością badacza do sere niewieścich, burząc w nich ołtarz, wystawiony wstydlivosti przez religię, poezję i obyczaj. Wszystko, co ludzkość uczyniła, aby przykryć nagość swoją i złagodzić brutalność instynktów, materializm artystyczny usunął świadomie na stronę.

Szukając t. zw. prawdy, odtworzyła powieść naturalistyczna całą nędzę moralną i fizyczną człowieka. Jej miłość nie była tęsknotą płciową, uszlachetnioną przez cywilizację, lecz pospolitą chucią zwierzęcia. Jej namiętności inne nie uznawały uad sobą żadnego prawa, oprócz pierwotnego egoizmu. Jej dyalog wydobywał rozmyślnie na wierzch cuchnący osad języka, brud gwary podłości i, zbrodni.

Samców tylko i samice widziała kobieta w powieści drugiej połowy bieżącego stulecia, rozkiełznaną aż do obłądzenia zmysłowość. Autorowie francuscy nie oszczędzali uszu i oczu swoich czytelniczek. Mówili im i pokazywali wszystko, najchętniej zaś takie „dokumenty ludzkie,” o których istnieniu kobieta uczeiwa dopiero się od nich dowiadywała.

Z jakiegokolwiek strony spojrzy obserwator na chwilę obecną, wszędzie dostrzega jego oko cechy znamienne rozkładu. Krytycyzm filozoficzny, połączywszy się z materializmem teoretycznym, spłodził bezreligijność. Z braku wiary w pozagrobowe istnienie człowieka wylągl się materializm praktyczny, którego potomstwem były po wszystkie czasy: głód używania i chciwość pieniędzy. Z materializmu wciolonego wyszło jego odbicie: brutalna sztuka i literatura. Teatr mieszczański i powieść naturalistyczna starły z serca niewieściego wstydlivosti, oswoiwszy je z występkiem.

Rysy powyższe, dopelniwszy się nawzajem, wytworzyły całość, nie przedstawiającą materiału do jasnego malowidła.

Gdy człowiekowi współczesnemu zabrano wszystko, co dawnym, „ciemnym“ pokoleniom przyświecało, co uczyło je znosić spokojnie nierówności życia i nie obawiać się grozy śmierci, co krępowało samolubstwo bogacza, a łagodziło żal ubogiego, wówczas zwrócił on całą uwagę swoją na uciechy tej ziemi. Chciwość złota, jako najskuteczniejszego pomocnika w pogoni za rozkoszami zmysłowemi, ogarnęła stopniowo wszystkie sfery, od ministra francuskiego począwszy, a skończywszy na naszym chłopie, który rzucał dla „dostatków brazylijskich“ ukochaną ziemię i dobytek pieszczony. Ubóstwo było w XIX stuleciu kalectwem, nieszczęściem, a bogactwo najwyższym marzeniem. Dla pieniędzy poświęcał przeciętny karyerowiec polityczny honor i przekonanie; dla nich dopuszczał się finansista pospolitego oszustwa, sprzedawał się panicz nienawidzonej żonie, sprzeniewierzał się urzędnik instytucji handlowej, kłamał dziennikarz, schlebiał niskim upodobaniom motłochu literat i artysta, gorszył nieświadomych wydawca, mordował proletaryusz, oświecony i nieoświecony, oddawała się kobieta w niewolę wstrętnego męża. Mocniejszy położeniem, środkami, sprytem, starał się wyzyskać słabszego. Pracą, chociaż ją ciągle zalecano, pomiatał wczoraj na podłóści dorobiony handlarz, uczciwość zaś zepchnięto do roli pocieszycielki głupich i głodnych. Powodzenie i złoto oddawano wyzyskiwaczom i dostarczycielom zabawy. Nie producentom klaszano, lecz pośrednikom. Owoce trudu rolnika i rzemieślnika zabiera dotąd kupiec, z potu autorów i kompozytorów korzystają głównie wydawcy i wirtuozi.

Rozumie się, że wszystkie czasy wydają pewien procent bezwzględnych samolubów, ale tylko w epokach rozkładu drwi egoizm ze szlachetnych zdobyczy cywilizacji, zowiąc się zuchwale jedynym rozumnym bodźcem postępowania ludzkiego. W Grecji Sofoklesa nie ośmieliłby się nikt posyłać osła przeciw murom obronnym miasta, objuczo-

nego złotem; w Rzymie, wychowanym przez matrony, kuślik Cyneas z daremnie kobietę materyami purpurowemi i kosztownemi świecidełkami; rycerz chrześcijański wojen krzyżowych składał życie bez namysłu na ołtarzu wiary i honoru. Jasne chwile dziejowe lekceważą zdrowie i mienie, korząc się bez szemrania przed obowiązkiem.

Przyszły historyk XIX stulecia, wpatrzywszy się w oblicze naszych czasów, w naukę i sztukę, w ich życie publiczne i prywatne, odnajdzie na tej smutnej twarzy wszystkie rysy charakterystyczne rozkładających się cywilizacji.

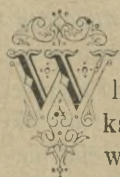
Bo kiedy siły ludzkie i ustrój społeczny nie dorównały pragnieniom rozkiełzanego egoizmu, wówczas rozległ się lament pesymizmu. Jak się oświecony rzymianin z epoki cesarów nudził wśród wytwornego otoczenia, tak czuje się i cywilizowany europejczyk schyłku XIX-go stulecia niešťczęśliwym mimo wygod, nieznanych jego przodkom... mimo świetnych miast, wykwiłtnie urządzonych domów, fabryk, kolei żelaznych, telegrafów, telefonów, teatrów, gazet i t. d.

Zniechęcenie do życia wykwiłtło z nadmiernej żądzy użycia. Dekadentyzm teoretyczny i praktyczny zamknął ostatecznie robotę krytyczną trzech wieków.

III.

Dekadentyzm w literaturze francuskiej.

Karol Baudelaire.



lipcu 1857-ym roku ukazał się na francuskim rynku księgarskim tom pœzyi, który zwrócił na siebie uwagę nietylko krytyki i publiczności, ale i prokuratorowi. Jak niegdyś Berangera, chociaŝ z powodów innych, pociągnięto i Karola Baudelaire'a do odpowiedzialności sądowej za jego „Kwiaty zła“ (*Les fleurs du mal*). Trybunał skazał autora i wydawców (Poulet-Malassis i de Broise) na karę pieniężną i na usunięcie sześciu utworów, pomieszczonych w książce pod numerami: 20, 30, 39, 80, 81 i 87, a uznanych za „bezwstydne i niemoralne.“

Poeta, broniąc się przeciw zarzutowi rozmyślnej niemoralności, powoływał się na prawa sztuki dla sztuki, „nie uznającej ani zła, ani dobra.“ Było to jednak tłumaczenie nieszczerze, czego dowodem jego list, napisany w dziewięć lat później (28 lutego 1866 r.) do notaryusza Ancelle'a, a zawierający między innymi zwrot następujący:

„Potrzeba-ŝ mówić i panu, który nie domyślałeś się tego tak samo, jak inni, ŝe w tę księgę gwałtowną włożyłem całą moją myśl, całe serce, całą religię, całą nienawiść? Prawdą jest, iż twierdziłem wówczas wręcz przeciwnie, zaklinając się na wszystko, ŝe „Kwiaty zła“ są dziełem czystej

sztuki, małpiarstwa, kuglarstwa artystycznego, ale klama-
 lem, jak szarlatan, wyrywający zęby.“

Więc nie zabawką sztukmistrza, jak Baudelaire chciał
 wmówić w swoich sędziów i krytyków były „Kwiaty zła,
 lecz wybuchem podmiotowym, odbiciem jego własnych po-
 glądów, przekonań i gustów.

A dziwne poglądy, przekonania i gusta wyzierały z
 po za tych „kwiatów boleściwych,“ ofiarowanych Teofilowi
 Gautier'owi. Już poemat naczelny, otwierający całą wią-
 zankę, nazwany przez Baudelaire'a „Przedmową“ (*Préface*;
 w późniejszych wydaniach *Au lecteur*), odsłania ponurą
 otchłań jakiejś okrutnej rozpacz.

Głupota — grzechy — błędy — lubieżność i chciwość
 Duch i ciało nam gryzą, niby ząb zatruty,
 A my karmim te nasze rozkoszne wyrzuty
 Tak jak żebracy karmią swych szat robaczywość.

*

Upór jest w naszych grzechach, strach jest w naszych żalach,
 Za skruchę i pokutę płacim sobie drogo —
 I wesoło znów kroczym naszą błotną drogą,
 Wierząc, że zmyjem winy, w łez mizerych falach

**

A na poduszce grzechu szatan Trismegista
 Nasz duch oczarowany kołysze powoli,
 I tak trawi bogaty kruszec naszej woli
 Trucizną swą ten stary, mądry alchemista.

*

Dyabeł to trzyma nici, co kierują nami!
 Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznym okiem,
 Co dzień do piekieł jednym zblizamy się krokiem
 Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plani.

*

Jak żebraczy rozpustnik, co, gryząc, przyciska
 Męczeńską pierś strudzonej starej nierządniczy,
 Kradniem rozkosz przejściową, w mrokach tajemnicy,
 Jak zeszlą pomarańczę, z której sok nie tryska.

*

Niby rój glist, co mrowiem gęstem się przewala,
 W mózgu nam tłum demonów huczy z dzikim śmiechem;
 A śmierć ku naszym płucom za każdym oddechem
 Spływa z głuchemi skargi, jak podziemna fala

*

Jeśli gwałt i trucizna, ognie i sztylety
 Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszyły
 Kanwy naszych przeznaczeń banalnej, niemiłej,
 To dlatego, że brak nam odwagi — niestety.

*

Ale pośród szakalów, śród pauter i smoków,
 Pośród małp i skorpionów, żmij i nietoperzy,
 Śród tworów, których stado wyje, pełza, bieży,
 W ohydnej meażeryi naszych grzesznych skoków —

*

Jest potwór — potworniejszy nad to bydląt plemię,
 Nuda, co, chociaż krzykiem nie utrudza gardła,
 Chętnieby całą ziemię na proch miękki starła,
 Aby jednym ziewnięciem połknąć całą ziemię.

*

Łza mimowolna błyska w oczu jej przymacie,
 Ona marzy szafoty, dymiąc swe haszysze,
 Ty znasz tego potwora, co jak sen kołysze —
 Hipokryto, słuchacz, mój bliźni, mój bracie.

W ten sposób przemówił Baudelaire do czytelników na wstępie swoich „Kwiatów zła.“

Pesymizm w poezji nie był obcym ludzkości cywilizowanej w początkach drugiej połowy XIX-go stulecia. Przyzwyczaili ją do niego: Byron, Leopardi, Musset i liczny zastęp płaczków niższego rzędu. Pominąwszy krótkotrwałą zapal młodą romantyzmu, powtarzali rymotwórcy na wszystkie tony: nicość nicości i nicości nicość.

Ale na dnie tych lamentów nie było nienawiści do człowieka, pogardy dla jego nędzy. Płynął z nich żal serdeczny, czasem gwałtowny, bluźnierczy, unoszący się w górę, do bram niebieskich, którym buntownicy wyrzucali niewy-

raźne przeznaczenie rodu prometeuszowego. Nie człowiek był winien temu, co się dzieje, lecz jego połowiczność.

Inaczej przedstawia się pesymizm w „Przedmowie“ Baudelaire'a. Tu zohydza człowieka człowiek, odmawiając mu wprost wszelkich lepszych popędów.

Jeśli gwałt i trucizna, ogień i sztylety
Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszły
Kanwy naszych przeznaczeń banalnej, niemiłej,
To dlatego, że brak nam odwagi — niestety!

Tylko naszemu tchórzostwu zawdzięczamy, że nie jesteśmy wszyscy, bez wyjątku, zbrodniarzami; tylko strach przed zemstą sprawiedliwości doczesnej powstrzymuje nas od: gwałtu i trucizny, od ognia i sztyletu.

A ów dziki pesymizm, „pragnący zetrzeć całą ziemię na miazgę prochu, aby ją jednym połknąć ziewnięciem,“ „marzący o szafotach,“ nie jest skutkiem chwilowego złego humoru, wraca bowiem ciągle u Baudelaire'a.

W „Podróży“ (*Voyage*) rozgląda się poeta po świecie i opowiada, co dostrzegł, przypatrując się życiu:

Ach, któż o najważniejszej rzeczy zapomina?
Bez szukania widzieliśmy wszędzie wokół,
Gdzie tylko się unosi fatalna drabina,
Nieśmiertelnego grzechu postać niewesołą.

*

Kobieta, niewolnica, nędzna, dumna, głupia,
Co wielbi się bez śmiechu i kocha bez wstrętu;
Mąż jej, tyran zwierz, który chciwie żer swój skupia,
Niewolnik niewolnicy, i zdrój ścieków mętu.

*

I ludzkość gadatliwa, geniuszem pijana,
A skazana na wieczne błędy i szaleństwa,
Wołając w agonii swej do Boga-Pana:
O, mój bliźni, mój panie, rzucam ci przekleństwo!

W którąkolwiek stronę zwróciło się oko Baudelaire'a, wszędzie dostrzegało ono tylko: podłość, zdradę, obłudę, brud, zgniliznę.

Dyabeł to trzyma nici, co kierują nami!
 Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznym okiem,
 Co dzień do piekieł jednym zbliżamy się krokiem
 Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plami

Kto twierdzi inaczej, ten kłamie, jest hipokrytą. Nie ma na ziemi ani cnoty, ani szlachetnej bolesti. Każde cierpienie człowieka wypływa z pobudek nikczemnych.

Jeszcze wyraźniej, niż w „Kwiatach zła“, ujawniła się nienawiść Baudelaire'a do ludzi w „Drobnych poematach prozą“ (*Petits poèmes en prose*), pomijanych zwykle przez krytykę. Jest tych poemacików czterdzieści dziewięć, a z każdego z nich tryska jad absolutnego pesymizmu.

Z tą niewiarą w wartość życia nie zgadzała się wcale zmysłowość, nie ukrywająca się ze swojemi chuciami. Publiczny oskarżyciel zwierzęcości ludzkiej, zanosił w „Kwiatach zła“ gorącą modlitwę (*La prière d'un païen*) do lubieżności: „O, nie ostudźaj płomieni — błagał — ogrzej me serce wystygłe... rozkoszy, torturo dusz! Boska, wysłuchaj mej prośby i bądź mi zawsze królową.“

Dla Baudelaire'a była kobieta tylko narzędziem do rozkoszy. O zalety jej serca, umysłu, charakteru nie pytał. Wystarczało mu, gdy wabiła pięknem ciałą. „Cóż mnie to może obchodzić, czy jesteś rozumna? — wołał — Bądź tylko urodziwa“ (*Mudrigal triste*).

Od piękności nie żądał czystości i dobroci. „Czy zstępujesz z nieba albo-li z piekła, czy szatan cię zesał lub Bóg, nie do mnie należy badać. Mnie dość, jeśli twoje oko, twój uśmiech, twoje stopy otworzą przedemną bramy Nieśkończoności, którą kocham, a której nigdy nie znałem“ (*Hymne à la beauté*).

Uczciwość jest, podług Beaudelaire'a, w miłości przeskodą. „Przeklęty niech będzie na zawsze niepotrzebny marzyciel — uczył — który usiłował połączyć miłość z uczciwością.“

Dla gorzkich łez niewieścich nie znalazł twórcą „Kwiatów zła“ ani jednego słowa serdecznego; przeciwnie, upajał się łkaniami, wstrząsającemi piersią zboląłą (*Madrigal triste*). Ale nad bezmyślnością kobiet upadłych umiał się litować: „O, dziewice, demony, potwory, męczennice, poszukiwaczki nieskończoności... biedne siostry... kocham was tyle, ile was żałuję“ (*Femmes damnées*).

Z pomiędzy pięciu zmysłów dawał pierwszeństwo powonieniu. Nie wzrok i dotyk budziły w nim żądze, lecz zawsze jakieś zapachy (*La chevelure*).

O, runo, spadające aż na kark i szyję!
Pukle! wonie sennością jakąś obciążone!
O, czary! dziś gdy zmierzeh mą alkwę okryje,
By ożywić tłum wspomnień, co w tych puklach żyje,
Niemi, jak wonną chustką w powietrzu powionę.

*

Cały świat, tęskna Azja i wrząca Afryka,
Daleki, prawie zgasły, w niepamięci toni,
O lesie, wonny, w twoich głębiach się zamyka!
A jako inne duchy kołysze muzyka,
Mój, o miłości moja, pływa na twej woni.

*

Pójdę, gdzie krzew i człowiek, pełni życia soków,
Przeciągle piją rozkosz pod słońcem, co żarzy;
Sploty, jak fala nieście mię w ten sen uroków.
Morze hebanów, w tobie sen świetnych widoków,
Sen barw płomieni, masztów, żagli i żeglarzy.

*

Włosy krucze, bandero rozpiętych ciemności,
W was mam tamtych nieb drugich okrąg lazurowy,
Na waszym kędzierzawym puchu — dla mnie gości

Upajający zapach zmieszanych wonności:
Piżma, smoły, oliwy wyziew kokosowej.

*

Długo, bez końca, dłoń ma po twej ciężkiej grzywie
Będzie siać perły, zdość szafirem, rubinem,
Byś zawsze głosu żądź mych słuchała życzliwie!
Czyś nie jest znów oazą, flaszą, z której cheiwie
Ciągnę balsamy, wspomnień upajam się winem?

Nieznane najśmielszym buntownikom romantycznym bezbożne bluźnierstwo, przypominające okrutne drwiny Lucyana, dopełniło w „Kwiatach zła“ ich nienawistnego pesymizmu i chorej lubieżności. Trzy poematy, objęte wspólnym tytułem: *Révolte (Le reniement de Saint Pierre; Abel et Cain i Les litanies de Satan)* przeraziły bezwzględnością nawet przyjaciół Baudelaire'a. Odezwała się w nich złość upadłego anioła, wroga wszelkiej dobroci. Poeta potomstwu Kaina kazał się wdrzeć do nieba, do szatana zaś modlił się, jako do opiekuna ludzkości:

— O, ty, najrozumniejszy i najpiękniejszy z aniołów, Boże, zdradzony przez los i pozbawiony chwały — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— O, księżę wygnania, którego skrzywdzono i który, zdradzony, podnosisz się zawsze coraz silniejszy — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Ty, który wiesz wszystko, wielki królu rzeczy, kryjących się w podziemiach, życzliwy uzdrowicielu trosk ludzkich — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Ty, który wpajasz nawet w trędowatych i w przeklętych paryasów miłość do raj — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą...

— Podporo wygnańców, lampo wynalazców, spowiedniku wisielców i spiskowców — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Przybrany ojciec tych, których w swym czarnym

gniewie wypędził z raju doczesnego Bóg Ojciec — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

Na taką „litanię“ nie odważył się nawet Byron, nie grzeszący zbytkiem pokory. Odżyły w niej echa bluźnierców konającego Rzymu i gasnącego średniowiecza.

Zatrute kwiaty pesymizmu, lubieżności i bezbożności przeplatały w „Kwiatach zła“ cuchnące chwasty szczególnych, jak na poetę, upodobań. Baudelaire opiewał błotnistą jesień (*Brumes et pluies*), trupów jedzonych przez robaki (*Le mort joyeux*), morderców (*Le vin de l'assassin*), halucynacje, spleen, brzydkie choroby i rozkładające się ciała (*Une charogne*).

A ponad tą całą wrzawą, złożoną z drwin, cynizmów, klątw, bluźnierstw i brudów, unosiła się jakaś szczególna, niezrozumiała dla ludzi żywych, tęsknota za martwością, za absolutnym spokojem, pozbawionym wszelkiego ruchu. Baudelaire podziwiał zewnętrzną obojętność sów (*Les hiboux*), które „uczą mędrca, iż powinien omijać ruch i wrzawę dnia białego.“ Piękność była dla niego „snem skamieniałym“ i nienawidził ruchu, co „mąci spokój linii“ (*La Beauté*).

O „wiecznym, niemym chłodzie ciszy“ marzył twórca „Kwiatów zła“ (*Rêve parisien*).

Nie eglądał wzrok człowieka,
Tak okropnych, dzikich scen,
Jakie dzisiaj mi zdaleka
W zachwyceniu jawił sen.

*

Czarodziejstwo w snach się roi!
Na mnie dziwny kaprys padł,
Żem z krainy wygnał swojej
Roślinności zmienny świat.

*

Malarz dumny swym talentem,
Odurzałem się też w bród,

Monotonnym elementem
Marmurów, kruszczów i wód.

*

Babel schodów, arkad krocie,
Nieskończony był to gmach,
W ciemnym lub matowem złocie,
Rój się kaskad iskrzył w łzach.

*

Katarakty tam ciężące,
Jak firanek szklanych zwój,
Na kruszczowych ścian tysiące
Płaszcz rzuciły lśniący swój.

*

Miast grup drzewnych — kolumnady
Otoczyły jezior zrab,
Gdzie olbrzymie się Najady,
Jak kobiety, patrzą w głąb.

*

Głaz różowy i zielony,
Okuł smugi sinych fal,
Które biegły przez miliony
Mil — ku krańcom świata — w dall

*

Głazy jakieś niestworzone,
Nurt magiczny; — były to
Wielkie lustra — rozświetlone
Tem, co ich odbiło tło!

*

Obojętne i milczące
Te Gangesy — ze swych czar
Lały skarby wód drzemiące
W brylantowych bezdni jar.

*

Swych czarodziejstw budowniczy —
Przez tunel z klejnotów zórz,
Przeganiałem niewolniczy,
Okiełznany odmęt mórz.

*

Wszystkie barwy ogniem grały,
Nawet kir miał swą tęż grę;

Żywiół płynny złał się cały
W kryształowy promień — skrę.

*

Nigdzie słońca, gwiazd, miesiąca,
Nawet tam, gdzie nieba skłon,
Świat mój cudny nie miał słońca,
Własnym ogniem gorzał on.

*

Nad tym światem cudów w ruchu
Zaległ — (nowy, straszny cud!
Wzrok panował. Nie dla słuchu).
Wieczny niemy ciszy chłód. *)

Rozumie się, że taka poezya musiała zadziwić współczesnych Baudelaire'a, nie bowiem podobnego nie czytano dotąd w Europie cywilizowanej. Żaden „wieszcz“ nie opiewał ścierwa, trupów, nierządnic, brzydkich chorób, żaden nie marzył o „wiecznym, niemym chłodzie ciszy“, żaden nie bluźnił tak straszliwie i nie złorzeczył ludziom tak bez liłości.

A te klątwy, szyderstwa i brudy wypłynęły z ust, powołanych do szerokiego, potężnego śpiewu. Prawdziwy, niepospolity talent wyrzucił z siebie „Kwiaty zła,“ znakomity rymotwórca, wielki majster formy, złożył te świetnie wyciosane zwrotki.

Sądy potępiły „Kwiaty zła,“ a publiczność rozchwylała je, jak zwykle w takich razach. Już w rok potem przysposabiał Baudelaire nowe wydanie. Uprzejmy dla młodych talentów Wiktor Hugo pisał do niego wkrótce po wyjściu książki: „Odebrałem szlachetny list pański i jego piękne dzieło. Sztuka jest jako lazury... polem bez końca,

*) Cytując Baudelaire'a w mowie wiązanej, korzystałem z przekładów Adama M—skiego i A. Langiego, wydanych w Warszawie (1894 r.) p. t. „Kwiaty grzechu“ Karola Baudelaire'a. (Przyp. aut.).

czego pan nowy dajesz dowód. Twoje „Kwiaty zła“ promieniają i oślniewają, jak gwiazdy. Pracuj dalej! Co do mnie, wołam z całych sił: brawo dzielnemu talentowi! Pozwól mi pan zakończyć tych kilka wierszy życzeniem. Odebrałeś jedno z owych rzadkich odznaczeń, jakie porządek obecny mógł panu udzielić. Jego t. zw. sprawiedliwość potępiła cię w imię jego t. zw. moralności. Jest to dla pana jeszcze jeden wieniec. Ściskam dłoń twoją, poeto...“

I bieżąca krytyka literacka powitała „Kwiaty zła“ z szacunkiem, należącym się rzeczywistemu talentowi. Baudelaire, wczoraj znany tylko kolegom i przyjaciołom, stał się dziś osobistością rozgłosną. Mówiono o nim przez dwa lata w całej Francji. Jego wydawca, Poulet-Malassis, pisał do niego w r. 1859-tym: „Wyprawiliśmy sobie wczoraj obiad w rodzaju biesiad barona Holbacha, a na tej stypie rozmawialiśmy tylko o papieżu, o Mirabeau i o tobie, sławny człowieku. Ściskam dłoń twoją, albowiem przyjaźń znakomych mężów jest darem bogów.“

Ale powodzenie twórcy „Kwiatów zła“ trwało krótko. Już po roku 1860-tym zapomniano o nim. Kiedy w kilka lat potem (w sierpniu 1867-go roku) umarł, strawiony przez ciężką niemoc, znalazła się przy jego trumnie tylko szczupła garstka najbliższych kolegów. Dopiero w czasach najnowszych zajmuje się znów świat literacki Baudelaire'm, stawiając go w pierwszym szeregu poetów XIX stulecia. Legion współczesnych dekadentów francuskich, belgijskich i angielskich nazywa go przodkiem swoim.

Karol Baudelaire jest rzeczywiście w poezji ojcem kierunku, nazwanego obecnie dekadentyzmem. Od niego uczyli się: Verlaine, Bourget, Mallarmé, Riechepin, Rollinat, jego smutną spuścizną podzielili się wszyscy młodzi rytmotwórcy schyłku XIX stulecia. W jego to przeto pismach należy szukać odpowiedzi na pytanie: czem jest dekadentyzm literacki?

Oprócz „Kwiatów zła“ i „Drobnych poematów prozą“, zostawił Baudelaire po sobie garść luźnych kartek, rzucanych bez celu i porządku do teki. Świstki te pozbierał i zachował jego wydawca, Malassis, a wydał po tegoż śmierci Eugeniusz Crépet *) razem z innymi fragmentami i szkicami, p. t. *Mon coeur mis à nu* i *Fusées*.

Chociaż uwagi te i spostrzeżenia, pisane w różnych czasach, pomieszane chaotycznie, nie tworzą całości organicznej, są one mimo to dla krytyka bardzo cenną wskazówką, odsłaniając bowiem najskrytsze tajniki psychologii poety. Dowiadujemy się z nich o poglądach Baudelaire'a na życie i ludzi, o jego sympatyach i antypatyach.

Już dzieckiem będąc, miał twórca „Kwiatów zła“ szczególne upodobania. Jako chłopczyk marzył o tem, aby zostać Papieżem, albo wojskowym, albo... komedyantem. W bardzo młodych latach czuł w sobie dwie siły, odpychające się nawzajem: wstręt do życia i namiętny pociąg do jego rozkoszy (Crépet, j. w. str. 114). Czuł się on wszędzie, wpośród rodziny, a najwięcej w licznych gronie kolegów samotnym (str. 96).

Dla ludzi pospolitych żywił pogardę i nienawiść. „Nie trzeba wierzyć — drwił — by dyabeł kusił tylko geniuszów. Gardzi on niezawodnie głupcami, ale nie lekceważy ich współdziałaniu. Przeciwnie. Na nich to buduje swoje wielkie nadzieje“ (str. 101). „Gdyby poeta zażądał od państwa prawa posiadania na stajni kilku mieszczuchów, zdziwionoby się bardzo, ale gdyby się jakiemu mieszczuchowi zachciało na obiad kawałka pieczonego „poety, uważaliby to za rzecz zupełnie naturalną“ (str. 83).

*) Eugene Crépet; „Charles Baudelaire, Oeuvres Oeosthumes et Correspondances inédites; Paryż, 1887 r.

Bourgeois wraca kilka razy w luźnych kartkach, a zawsze zohydżony, oplwany.

Podług Baudelaire'a zasługują na wdzięczność ludzkości tylko poeta, kapłan i żołnierz: „człowiek, który śpiewa, który błogosławi i który poświęca innych, poświęcając siebie. Reszta, to motłoch, istniejący dla bata“ (str. 107).

Demokratą Baudelaire nie był, postępek lekceważył.

„Jest rozkoszą arystokratyczną starać się zasłużyć na niechęć motłochu.“ „Dlaczego demokraci nie lubią kotów? Bo kot jest pięknym; objawia on idee zbytku, czystości, lubieżności“ (str. 85). „Cóż może być głupszego od postępu? Człowiek jest zawsze do siebie podobny, bo znajduje się wiecznie w stanie dzikości. Czemu są niebezpieczeństwa lasów i puszczy w porównaniu z codziennymi konfliktami cywilizacji? Czy człowiek obejmuje swoją ofiarę na bulwarach albo też ściga swoją zdobycz w lasach nieznanach, jest on zawsze tylko najdoskonalszym zwierzęciem zdobyczy“ (str. 86). „Istnieje tylko jedna rozumna i bezpieczna forma rządu, mianowicie arystokratyczna. Monarchia albo republika, oparta na demokracji, są równo słabe i niedorzeczne“ (str. 99).

Kupiectwa nie cierpiał. „Kupiectwo jest w istocie swojej rzeczą szatańską. Oddaj mi więcej, aniżeli odemnie wzięłeś! stanowi jego zasadę. Umysł każdego handlarza jest nawskroś występny. Kupiec zamienia nawet uczciwość na spekulację. Kupiectwo jest rzeczą szatańską, bo jest jedną z najniższych, najpodlejszych form egoizmu“ (str. 115).

Chępił się brakiem przekonań politycznych.

„Nie posiadam przekonań w rozumieniu chwili obecnej, bo nie mam ambicyi. Nie ma we mnie podstawy do przekonań. Ludzie uczciwi odznaczają się pewnem tehórzostwem, albo raczej pewną miękkością. Tylko bryganci bywają przekonani. O czym? Że powinni dojść do wytkniętego ce-

lu. I dochodzą. Dlaczego miałbym się ubiegać o powodzenie, skoro nie mam nawet ochoty próbować?" (str. 95 -96).

Człowiek pożyteczny wydawał się Baudelaire'owi zawsze „czemś bardzo wstrętnem“ (str. 95). Ideałem jego był tak zwany w owych czasach *dandy*, chłodny, obojętny na całe otoczenie światowiec.

„*Dandy* nie robi nic. Czy możecie go sobie wystawić przemawiającego do ludu? Chyba wtedy, gdy drwi z motłochu“ (str. 99).

Pracę zalecał, ale tylko dlatego, bo „jest ona mniej nudną od zabawy“ (str. 98).

Dziennikarstwem pogardzał. „W każdym numerze jakiegokolwiek gazety, bez względu na dzień, miesiąc, rok, w każdym jej wierszu, spotykamy ślady najstraszniejszej przewrotności ludzkiej obok zdumiewających przechwałek uczciwości, dobroci i miłosierdzia i najbezpieczniejszych zapewnień, odnoszących się do postępu i cywilizacji. Każdy dziennik, począwszy od pierwszego wiersza do ostatniego, jest stekiem zgrozy: Wojny, zbrodnie, kradzieże, tortury — zbrodnie książąt, narodów, osób prywatnych, szła powszechnego okrucieństwa... Ze wszystkiego na tym świecie sący zbrodnia: z gazety, z muru, z twarzy człowieka... Nie rozumiem, jak ręka czysta może dotknąć gazety bez wstrętu“ (str. 117 - 118).

W dobroć nie wierzył.

„Gdy się człowiek kładzie do łóżka, pragną prawie wszyscy przyjaciele potajemnie jego śmierci. Jedni dlatego, aby skonstatować, że posiadają zdrowie lepsze od niego, inni dlatego, aby badać bezinteresownie jego agonie“ (str. 74).

Wyszukiwał sobie przyjemności niezwykle.

„Człowiek zdolny, czyli ten, który się nigdy z nikim nie zgodzi, powinien się nauczyć lubieć rozmowę głupców i

treść złych książek. Wydobędzie on z nich rozkosze gorzkie, które opłacą sownie jego fatygę“ (str. 116).

Oświadczał zawsze każdemu, kto go chciał słuchać, że jest katolikiem i przyjacielem jezuitów.

„Krajom protestanckim brak dwóch pierwiastków, niezbędnych do szczęścia człowieka dobrze wychowanego: galanteryi i dewocyi (str. 84). „Nudzę się we Francyi, bo wszyscy są tu podobni do Woltera“ (str. 102).

Piękno pojmował Baudelaire po swojemu.

„Piękną nazywał głowę kobiety wtedy, kiedy pobudza do marzenia, „złożonego z rozkoszy i smutku...“ Typem piękności męskiej był dla niego szatan Milтона (str. 79—81). Rysami, tworzącymi piękno są, podług niego: wyraz zblazowany, zuudzony, bezczelny, chłodny, głęboki, dumny, zły, chory, koci, drwiący, złośliwy (str. 82).

Teatrowi nie odmawiał racyi bytu, ale żądał powrotu do koturnów i maski greckiej (str. 97).

Najczęściej wracała myśl Baudelaire'a w luźnych kartkach, znanych obecnie p. t. *Mon coeur mis à nu* i *Fusées*, do kobiety i miłości. Co poeta wypowiada w tym kierunku, rzuca jasne światło na lubieżność jego „Kwiatów zła.“

„Miłość do kobiet inteligentnych jest rozkoszą nienaturalną“ (str. 75). „Kobieta jest przeciwieństwem dandysa, więc powinna budzić wstręt. Kobieta jest obrzydliwa i popolita“ (str. 93). „Dziwiłem się zawsze, iż dopuszczono kobietę do kościoła. O czemże może ona rozmawiać z Bogiem? Wenus (kaprys, hysterya, fantazya) jest jedną z najlepszych pomocnic szatana“ (str. 107). „Kobieta nie umie rozłączyć duszy od ciała. Jest ona jednolitą, jak zwierzę“ (str. 107). „Zastanowić się nad koniecznością chłostania kobiet“ (str. 114).

A miłość Baudelaire'a?

Z niepospolitą siłą odtworzony obraz miłości zmysłowej, zakończył poeta temi słowy:

„Co do mnie, twierdę, iż jedyna i najwyższa rozkosz miłości polega na pewności wykonania zła. Mężczyzna i kobieta wiedzą od urodzenia, że rozkosz znajduje się w złem“ (str. 74). „Wzywanie Boga lub idealizmu jest pragnieniem podnoszenia się w górę; wzywanie szatana albo materjalizmu jest rozkoszą osuwania się na dół. Do kategorii drugiej należy miłość do kobiety“ (str. 98). „Czemże jest miłość? Potrzebą wyjścia z siebie. Człowiek jest zwierzęciem uwielbiającem, uwielbienie zaś znaczy to samo, co poświęcenie i prostytucya. Wynika z tego, że miłość jest prostytucją“ (str. 106).

Listy Baudelaire'a, dołączone do fragmentów pośmiertnych, do planów powieści, nowel i dramatów, do urywków, szkiców, scenariuszów, nie zawierają nic takiego, coby rzuciło nowe światło na psychologię poety. Należy tylko wymienić kilka tytułów romansów, pomyślanych, ale nie wykonanych. W spisie projektów znalazł Crépet następujące zapowiedzie: *Les enseignements d'un monstre*; *La maîtresse vierge*; *Le crime au collège*; *Les monstres*, *Les tribades*; *L'amour parricide*; *Une infâme adorée* i t. d.

Baudelaire nie był autorem płodnym. Oprócz „Kwiatów zła“, „Drobnych poematów prozą“ i pamiętniczka (*Mon coeur mis à nu* i *Fusées*) zostawił po sobie garść fragmentów bez wartości, kilka nowel, studyum o działaniu opium, haszyszu i wina p. t. *Les paradis artificiels*, dwa tomy rozprawek literacko-artystycznych i pięć tomików przekładów z Edgara Poë. Trzy pierwsze dzieła wystarczają do charakterystyki rozgłośnego obecnie autora „Kwiatów zła.“

W oświeceniu swoich własnych pism jest Baudelaire przede wszystkim zawiedzionym lubieżnikiem. Chciwa używania zmysłowość sączy z każdego wiersza, odnoszącego się do miłości. Chociaż gardzi on kobietą, dziwiąc się, jak

można ją było „dopuścić do kościoła,” mimo to pożąda jej ciągle, myśli o niej bezustannie. A nie pragnie jej jako towarzyski życia, jako przyjaciółki, rozumiejącej jego trudy, lecz jako narzędzia do rozkoszy. Pociąga go iniekkosć, słodycz i wytworność kobiety, nie zalety jej serca i charakteru. Niech się kochanka z szatana rodzi, byle drażniła zmysły pięknosćią cielesną.

Wiadomo, że Baudelaire żył tak, jak pisał. Odziedziczywszy po ojcu niewielki mająteczek (75,000 franków), załatwił się z nim bardzo prędko. Już w szkołach będąc, nie odmawiał sobie przyjemności dojrzałego wieku, a kiedy go pełnoletniość wyzwoliła z pod opieki ojczyrna (generała Aupick'a), wówczas robił wszystko, aby się pozbyć złudzeń młodości. Noce bezsenne przepędzał w gronie wesołych przyjaciół, od towarzysztw przyzwoitych stronil, dom matki omijał, wyniszczał się wyuzdanemi rozkoszami, obcował tylko z kobietami upadłemi, a wśród tych wybierał zawsze jakieś „nadzwyczajne”... olbrzymki, karlice, mulatki, japonki.

Skłonność do dziwactwa jest drugim rysem znamienym Baudelaire'a. Lubieżnik, marzący w latach dziecinnych o tem, aby zostać „papieżem wojskowym albo komeantyentem,” czujący się samotnym wśród najliczniejszego zebrania, wróg ludzi, czynów i wrażeń pospolitych, nie chciał używać, jak zwykły burżoa. Tylko rozkosze niezwykłe zadawałniały jego „gusta wykwiintne.”

Z lubieżności, uprawianej bez miary, wynikła wkrótce, jak inaczej być nie mogło, niemoc fizyczna. Baudelaire, stargawszy zdrowie, uciekał się do środków podbudzających; odurzał się haszyszem, opium, podniecał się sztucznie. Wiadomo, że zgasł w czterdziestym szóstym roku życia na wyniszczenie organizmu. Już na pięć lat przed śmiercią zaczął tracić panowanie nad zmysłami. „Chowałem moją histeryę z rozkoszą i zgrozą — pisał 23-go stycznnia 1862-go roku w *Mon coeur mis a nu* (Crépet; j. w. str. 119). — Dziś

doświadczyłem szczególnej przestrogi: uczulem, że przeszedł nademną powiew skrzydła idiotyzmu.“ Paraliż postępujący męczył go bardzo długo, zanim go powalił.

Wzmagające się z każdym rokiem dziwactwo, przejawiające się w formie upodobań chorobliwych, jest już tylko naturalnym skutkiem nadmiernej zmysłowości i skłonności do mizantropii. Chorego histeryka prześladują widziadła, halucynacye, odpychają go rozkosze zdrowe, a pociągają sztuczne podrażnienia.

Baudelaire myślał, czuł i robił wszystko na opak. Był arystokratą z upodobań, a nie umiał się litować nad nędzą i słabością ludzką i nie miał czei dla honoru. Przyznawał się do chrześcijaństwa, do katolicyzmu nawet, a pisał litanie i modlitwy do szatana. Tęsknił bezustannie za miłością, a opiewał tylko jej wybryki i brudy. Posiadał wysoko rozwinięte poczucie rytmu i harmonii, a wyrzucał z siebie zgrzyty i drgania konwulsyjne.

Dodawszy do zawiedzionej lubieżności, z której wypełzła histerya, do dziwactwa i przewrotności, sceptycyzm religijny i filozoficzny sfer, *) wpośród których Baudelaire wzrósł, rozumie się bardzo dobrze ponury pesymizm „Kwiatów zła.“

Nie tytan, rozżalony na niemoc swoją, na nieudany szturm do bram niebieskich, jak u romantyków, miota się w poezjach i nowelach Baudelaire'a, nie człowiek-dusza skarży się, iż mu skrzydła obcięto i skrupowano, lecz warczy, kąsa, przeklina i bluźni wyniszczony lubieżnik, tak zużyty, iż nie czuje w sobie już sił do buntu przeciw pętom, powstrzymującym jego pragnienia. Ztąd w jego pesy-

*) Baudelaire pochodził, jak wykazał Crépet, z ojca i z matki z rodziny chłopskiej, która zawdzięczała „wielkiej rewolucyi“ swoje wyniesienie. Jego ojciec, wychowaniec encyklopedystów, był z rodu pierwszego przodkiem ewilifzowanym.

zmie, zamiast dumnej, choć bolesnej rezygnacyi, ów szalony gniew, owa dzika złość, plwająca na wszystko, co osładza nieszczęście tej ziemi, ztąd owo rozmyślne obniżanie wartości życia przez odkrywanie jego strony plugawej. Kobieta?! — To samica, niepotrzebna w kościele, stworzona do chłosty. — Miłość?! — Występek, zło, wyuzdanie zmysłowe. — Przyjaźń?! — Kłamstwo, cychające na śmierć bliźniego. — Przekonanie osobiste? — Pomocnik łotrów, szukających kariery... Nie ma między ludźmi ani śladu cnoty, ani jednego dodatniego rysu. Wszyscy bez wyjątku są nikczemnikami, strojącymi przed zbrodnią tylko ze strachu, z tchórzowstwa. Wszyscy gonią jedynie za rozpustą zmysłową, lubieżni na wskroś, gorsi od zwierząt.

Baudelaire patrzył na świat i ludzi, jak każdy zresztą umysł oryginalny, przez pryzmat swoich własnych poglądów i upodobań. Przypatrzywszy się uważnie jego obliczu autorskiemu, odnajdujemy w niem wszystkie rysy, z których fantazya ludu spleta szatana, bo: lubieżność zwierzęcą, bezgraniczną pychę, bluźnierstwo, dziką złość, zupełny zanik dobroci i szlachetności. Nie ma w pismach Baudelaire'a ani jednego serdecznego tonu, ani jednego słowa przebaczenia.

Autor „Kwiatów zła“ był rzeczywiście upadłym aniołem... zrozpaczonym cywilizacyi nowoczesnej. Wypchnięty z raju religii, idealizmu, wiary w celowość człowieka, zawiedziony w pragnieniach zmysłowych, złamany fizycznie, męczony przez ciągłą troskę o byt powszedni, pozbawiony pieczyoty żony, dziecka — znajdował jedyną ulgę w wybuchach bezsilnego gniewu.

Zdawałoby się, że taki zupełny rozbiitek życia nie powinien już odczuwać żadnych tęsknot idealnych. Tymczasem odzywała się czasami w Baudelaire'ze dusza poety, przejęta zgrozą do brudu, w jakim się wałała:

Gdy świt białoróżowy w duszę rozpustnika
Wnika wraz z Ideału gryzącem widziadłem,

Działaniem tajemnicy mściwej — w tem upadłem
Odrętwiałem bydlęciu anioł się ocyka.

*

Niedostępnych nieb ducha błękitne przestworze
Przed upadłym, co jeszcze marzyć rwie się, rani,
Otwiera głęb ciągnącą jak paszeza otchłani —
Tak, o bóstwo me drogie, czysty, świetny tworze!

*

Ponad orgii bezmyślnych dymiącemi szczyty,
Twe rysy mi różowiej, jaśniej, cudniej świecą
I przed mą rozszerzoną wciąż krążą źrenicą.

*

Blask dnia przyćmił świec blaski, lecz obraz twój święty —
Wciąż zwyciężki, o duszo ty promieniejąca,
Lśni do nieśmiertelnego upodobnion słońca.

(L'aube spirituelle).

Albo ów „Wzlot“ (*Elevation*).

Ach, ponad stawy, ponad doliny,
Nad góry, lasy, chmury i morza,
Aż po za słońce, za eter siny,
Za sfer gwiazdzistych dalsze przestworza —

*

Bujasz, mój duchu, zwijasz się w koło,
Jak dobry pływak, gdy fale zoezy.
Bezmierną głębię bruździsz wesoło
Z niewysłowioną męzką rozkoszą.

*

Leć, niech cię wyższa sfera otoczy,
Oczyść w niej skrzydła, rzuć brudne męty,
I jasny ogień górnych przezroczy
Pij — jako nektar czysty i święty.

*

Ach, ponad nudy, ponad zgryzoty,
Które mi życie jak mgłą się zmaça,
Szczęsny, kto wzbil się śmiałości loty,
W pogodne kraje światła i słońca;



Kto jak skowronek myślą w lazury
Wylata rankiem pełen swobody;
Kto zdoła spojrzeć na życie z góry,
Pojąc szept kwiatu, mowę przyrody.

Upadły anioł przypominał sobie od czasu do czasu swoje boskie pochodzenie, ale działo się to rzadko. Zwykle wołał: „Trzeba być zawsze pijanym. Cała sztuka życia polega na tem, aby nie czuć straszliwego ciężaru Czasu, który wam ramiona łamie i ku ziemi was tłoczy; upajajcie się bezustannie. Ale czem? Winem, poezją, albo cnotą, czem chcecie, byleście się odurzali“ (*Pet. Poëm. en prose; „Enivrez-vous“*).

Baudelaire odurzał się pesymizmem krańcowym, bezsilnym gniewem, urąganiem nędzy ludzkiej, a czasami — bardzo rzadko — tęsknotą za czystem życiem. Ta zadziwiająca u niego tęsknota, nadchodząca zwykle po dokonaniem nadużyciu zmysłowem, jak wyrzut resztek niewypalonego cynizmem sumienia, dopełnia jego sylwetki psychologicznej.

Jako technik artystyczny był Baudelaire niepospolitym rymotwórcą i znakomitym stylistą, dbającym przede wszystkim o poprawność formy. Ale i na powłóce zewnętrznej jego talentu widać tu i owdzie ślady rozkładu. Sainte-Beuve nazwał jego poezye „kioskiem, albo raczej jurta dziwacznej architektury“ (*un kiosque ou plutôt une yourte d'une architecture bizarre*), a jego przyjaciel i obrońca, Teofil Gauthier, przyznał, że „język „Kwiatów zła“ jest już opleciony chwastami rozkładu i jakby cuchnący“ (*marbrée déjà des verdures de la décomposition et comme faisandée*).

Baudelaire, w połowie jasny, przezroczysty klasyczny, robi w drugiej połowie wrażenie autora zmanierowanego. Wyrzucał on z siebie dość często jakiś zwrot tak zawily lub sztuczny, iż można się jego znaczenia domyślić tylko z po-

przedników lub następników. Zwykle staranny w budowie wiersza i zdania, zapominał czasami rozmyślnie o rytmie i składni. Sumienny w wyborze określeń, posługiwał się słowami, omijanemi przez pisarzy wzorowych.

Teofil Gauthier bronił w przedmowie do zbiorowego wydania dzieł Baudelaire'a (w r. 1868) tej „manieri“ autora „Kwiatów zła“ i wypowiedział przy tej sposobności pierwszy określenie „dekadencya,“ powołując się na przykład epok dawniejszych.

„Posadzano Baudelaire'a często — mówi Gauthier — o dziwactwo, o oryginalność szukaną i wytworzoną rozmyślnie, przedewszystkiem zaś o manierę... Ale są ludzie zmanierowani naturalnie. Prostota byłaby u nich czystą afektacją i jakby rodzajem manieri odwrotnej. Chcąc być jasnymi, musieliby długo szukać i wiele pracować. Zwoje ich mózgu są ułożone w taki sposób, że się idee w nich skręcają w trąbkę, zamiast wychodzić prostą linią. Najłatwiej i najprędzej czepiają się ich myśli zwroty najwięcej skomplikowane i najsubtelniejsze. Widzą oni rzeczy pod szczególnym kątem, który zmienia ich wygląd i perspektywę. Ze wszystkich obrazów czepiają się ich głównie te, które są najdziwniejsze, najdalsze od danego przedmiotu. Baudelaire posiadał taki mózg i dlatego tam, gdzie krytyka chciała dostrzedz koniecznie robotę, wysiłek, zaciekłość i paroksyzm z góry powziętego zamiaru, był tylko naturalny wynik jego indywidualności.“

„Twórca „Kwiatów zła“ upodobał sobie ten rodzaj stylu, który nazywa się niewłaściwie stylem dekadencji, a który jest w istocie stylem genialnym, złożonym, uczonym, pełnym subtelności i odcieni — sztuką, doprowadzoną do najwyższego stopnia dojrzałości, przepalanej pochyłemi promieniami słońca starzejących się cywilizacyj. Styl ten, rozszerzając ciągle granice mowy, czerpie ze wszystkich słowników fachowych, bierze barwy ze wszystkich palet, nuty

ze wszystkich instrumentów muzycznych. Usiłuje on wcielić myśl nawet wtedy, gdy się ona niepochwytłą wydaje, odtworzyć najmglistsze i najniwyraźniejsze zarysy formy — oddać subtelne zwierzenia newrozy, wyznania podstarzałej namiętności, przeradzającej się w rozpustę i w dziwaczne halucynacje, blizkie obłądu. Ten styl dekadencji jest ostatnim wyrazem Słowa, zmuszonego wypowiedzieć wszystko, posuniętego aż do ostateczności.“

Stając w obronie Baudelaire'a, nie domyślał się prawdopodobnie Gauthier, że streścił znakomicie ujemne strony dekadentyzmu literackiego. „Są ludzie, których zwoje mózgowe są układają się w taki sposób, iż się idee w nich w trąbki skręcają, zamiast prostą wychodzić linią.“ — „Naprzędzej i najłatwiej czepiają się takich mózgów myśli najwięcej skomplikowane.“ — „Widzą one rzeczy pod szczególnym kątem, który zmienia ich wygląd i perspektywę.“ — „Mózgi takie chwytają głównie te obrazy, które są najdziwaczniejsze i najdalsze od danego przedmiotu.“ — „Styl dekadencji jest stylem starzejących się cywilizacyj.“ — „Oddaje on subtelne zwierzenia newrozy, wyznania przestarzałej namiętności, przeradzającej się w rozpustę i w dziwaczne halucynacje, blizkie obłądu.“

Nic innego nie twierdzą krytycy dekadentyzmu literackiego, gdy nazywają go podstarzałym rozpustnikiem, przeklinającym ograniczoną możność zmysłów, oszalałym z gniewu na niemoc człowieka.

Co Baudelaire zaznaczył, to rozwinęli jego następcy, których prowadzi obecnie Paweł Verlainé.

IV.

Paweł Verlaine. — Maurycy Rollinat. — Jan Richepin.

Paryzki księgarz, Leon Vanier, wydał p. t. „*Les hommes d'aujourd'hui*”, blisko trzysta krótkich biografij współczesnych znakomitości francuskich, zaopatrzone w karykaturami. W numerze 244-tym tego oryginalnego czasopisma, widzimy na pierwszej stronnicy zielonego dyabła w czerwonej kurtce, dotykającego pazurami prawej ręki strun lutni, w lewej zaś dłoni trzymającego serce, nadszkiełkowane na gęsie pióro. Na ciele szatana spoczywa duża, zupełnie łysa, podłużna, na samym wierzchu guzem zeszepecona głowa ludzka, robiąca wrażenie nieprzyjemne. Coś złośliwego, nieszlachetnego wygląda z oczu małych, ukrytych pod gęstymi brwiami; o zmysłowości świadczą niezwykle rozwinięte szczęki.

Tym zielonym dyablem w czerwonej kurtce, z głową starzejącego się fauna, jest Paweł Verlaine, uznany przez dekadentów i symbolistów francuskich za naczelnika.

Paweł Verlaine (ur. w Metz 1844 r.) liczy obecnie lat pięćdziesiąt. Zawód poety rozpoczął wczesnie, bo wydał już w roku 1865-tym wiązaną poezyj p. t. *Poèmes Saturniens*. W rok potem, wyszły znane powszechnie *Fêtes galantes*.

Jak wszyscy nowicyusze, ulegał i Verlaine zrazu wpływowi starszych mistrzów. Zapatrzony we wzory naczelników t. zw. parnaseizmu (Teofil Gauthier, Teodor de Banville i Leconte de Lisle), którzy oczyścili wiersz francuski, zaśmiecony przez miernych naśladowców gwiazd romantycznych, dbał i on przedewszystkiem o czystość formy, usuwając treść na plan drugi. Pomiędzy pierwiosnkami jego muzy znajdują się w istocie utwory znakomite pod względem technicznym (*La chanson des Ingénues; Il Baccio; César Borgia* i in.).

Ale to, co zwolennicy doktryny „sztuka dla sztuki“ nazywają bezwzględną przedmiotowością, było zawsze złudzeniem, człowiek bowiem żywy, myślący i czujący, nie umie się zdobyć na obiektywizm automatyczny. Daremnie udawali nawet parnasiści obojętnych, chłodnych (*impassible*) daremnie twierdzili, że chodzi im tylko o muzykę słowa.

Jeżeli nie oświecenie, to zdradzał wybór przedmiotów ich upodobania, ich indywidualność. I Baudelaire był poniekąd, jako technik artystyczny, parnasistą, bo i on włożył w formę swoich „Kwiatów zła“ dużo starania. A mimo to tryska z jego dzieł podmiotowość strumieniem gorącym.

Tak samo u Verlaine'a. Już w jego pierwszych utworach, pisanych instynktowo, bez świadomości dojrzałego talentu, rysuje się wyraźnie oblicze przedwcześnie zwiędłego lubieżnika.

W cyklu *Ariettes Oubliées* (VII) wiązanki p. t. *Romances sans paroles* skarży się Verlaine:

O, triste, triste était mon âme
A cause, a cause d'une femme.

*

Je ne me suis pas consolé
Bien que mon coeur s'en soit allé.

*

Bien que mon coeur, bien que mon âme
Eussent fui loin de cette femme, i t. d.

Miłość jest jedyną treścią wszystkich poezyj Verlaine'a z wyjątkiem *Sagesse*. Wraca ona ciągle, to spodziewając się, to zawodząc, wiecznie nienasycona. A w tej miłości nie ma nic duchowego. Z pod barwnych i wonnych splotów melodyjnego słowa wyziera pospolita zmysłowość, rozkoszująca się tylko ciałem kochanki. Nie o przyjaciółce życia myślał Verlaine, gdy modlił się w „Serenadzie“ (*Poèmes Saturniens*) do kobiety:

Comme la voix d'un mort qui chanterait
Du fond de sa fosse,
Maîtresse, entends monter vers ton retrait
Ma voix aigre et fausse.

*

Je chanterai tes yeux d'or et d'onix
Purs de toutes ombres,
Puis le Léthé de ton sein, puis le Styx
De tes cheveux sombres.

*

Puis je louerai beaucoup, comme il convient
Cette chair bénie
Dont le parfum opulent me revient
Les nuits d'insomnie.

Chair bénie i parfum opulent powtarzają się ciągle u Verlaine'a. Jak Baudelaire, jest i on bardzo wrażliwym na wszelkie zapachy.

Miłość zmysłowa zajmuje Verlaine'a bezustannie, niepokojąc go nawet wpośród snu. Dla niej tylko żyje, o niej tylko marzy, ale bez wiary młodości. Dwudziestoletni poeta doświadczył już zdrady niewieściej, bo mówi w *Lassitude* (*Poèmes Saturniens*):

Sois langoureuse, fais ta caresse endormante
Bien egaux tes soupirs et ton regard berceur.

Va, l'étrein te jalouse, et le spasme obsesseur
Ne valent pas un long baiser, „même qui mente.“

*

Mets ton front sur mon front et ta main dans ma main,
Et fais moi des serments que tu „rompras demain.“

Odbierał „pocałunki kłamliwe“ i „wiarołomne przysięgi“ i dlatego przestał ufać kobiecie. Ten sceptycyzm, podłożony ironią, jest drugim rysem znamiennym pierwszych utworów Verlaine'a.

Co poeta w „Poematkach saturnowych“ lekko zaznaczył, to wyrzeźbił starannie i pogłębił w *Fêtes galantes*.

W jakimś ogrodzie czy parku XVIII stulecia przechadzają się gruchające pary. Młodzi markizowie w pudrowanych perukach, elegancy *abbé*'owie w czarnych płaszczkach szepeją do drobnych uszek pięknych dam słodkie słówka (*A la promenade*).

Trompeurs exquis et coquettes charmantes,
Coeurs tendres, mais affranchis du serment.

Szepeją słodkie słówka, czule przysięgi, ciche zaklęcia z zamiarem niedotrzymania ich. Panie słuchają z przyjemnością, ale bez wiary:

L'implacable enfant
Preste et relevant
Ses jupes,
La rose au chapeau,
Conduit son troupeau
De dupes. (*Colombine*).

Bo dlaczego-ż miałyby ufać ładnemu chłopcu, kiedy miłość nie trwa dłużej od pragnienia?

W *Colloque sentimental* (*Fêtes galantes*) pyta „on“:

— Czy przypominasz sobie nasz dawny zachwyty?

A „ona“ mówi wymijająco:

— W jakim celu życzysz sobie, abym pamiętała?

On bada znów: Czy serce twoje bije jeszcze, gdy usłyszysz moje nazwisko? — Nie! — odpowiada kochanka krótko.

Po *Fêtes galantes* nastąpiła „Dobra Pieśń“, która zlagodziła nieco sceptyczną zmysłowość pierwszych utworów Verlaine'a. Zwiędłą erotykę zblazowanego młodzieńca odświeżyła w *La bonne chanson* (1870 r.) jakaś nowa, szlachetniejsza miłość:

C'en est fait à présent des funèstes pensées,
C'en est fait des mauvais rêves, ah! c'en est fait
Surtout de l'ironie et des lèvres pincées
Et des mots ou l'esprit sans l'âme triomphait.

Arrière aussi les poings crispés et la colère
A propos des méchants et de sots recontrés
Arrière la rancune abominable! arrière
L'oubli qu'on cherche en des breuvages execrés

wołał Verlaine na wstępie „Dobrej Pieśni“ (*La bonne chanson*; I). Zapomnieć postanowił o pesymizmach i cynizmach, o niewczesnych gniewach i zaciśniętych pięściach, uczuł potrzebę śpiewu czystego (*des airs ingénus*), któryby nikogo nie drażnił, nie gorszył; chciał być szczęśliwym, nie troszczyć się o głupstwo i złość ludzi.

N'est ce pas? En dépit des sots et des méchants
Qui ne manqueront pas d'envier notre joie
Nous serons fiers parfois et toujours indulgents.

N'est ce pas? Nous irons, gais et lents, dans la voie
Modeste que nous montre en souriant l'Espoir,
Peu soucieux qu'on nous ignore ou qu'on nous voie.

(L. b. ch. VI).

Jakieś wielkie szczęście rozjaśniło duszę poety, wydobywając ze strun jego lutni tony serdeczne. W owym czasie powstało kilka przepięknych perłek lirycznych, na

które dekadenci z dumą wskazują. W utworach, rozpoczynających się od słów: *Avant que tu ne t'enailles* (L. b. ch. II) i *La lune blanche* (L. b. ch. III) dowiódł Verlaine, że i słowo może być muzyką.

La lune blanche
Luit dans les bois;
De chaque branche
Part une voix
Sous la ramée...
O bien aimée.

*

L'étang reflète,
Profond miroir.
La silhouette
Du saul noir
Ou le vent pleure...
Rêvons: c'est l'heure.

*

Un vaste et tendre
Apaisement
Semble descendre
Du firmament
Que l'astre irise...
C'est l'heure exquise.

Tak melodyjnych i wonnych piosenek nie spodziewał się nikt od autora „Pœematów saturnowych.“

Ale ten optymizm, wywołany przez prawdziwą miłość, trwał niedługo. Już w „Romansach bez słów“ (*Romances sans paroles* 1874 r.) skarży się, znów poeta na zawód. Po szczęściu zostało mu tylko bolesne wspomnienie! — ciche łzy, przepelniające jego serce.

Il pleure dans mon coeur
Comme il pleut sur la ville,
Quelle est cette langueur
Qui pénètre mon coeur?

*

O bruit doux de la pluie
 Par terre et sur les toits!
 Pour un coeur qui s'ennuie
 O le chant de la pluie,

*

Il pleure sans raison
 Dans ce coeur qui s'écoeure.
 Quoi! nulle trahison?
 Ce deuil est sans raison.

*

C'est bien la pire peine
 De ne savoir pourquoi
 Sans amour et sans haine
 Mon coeur a tant de peine.

(Rom. s. par. III).

I ta rzewna skarga należy do najśpiwniejszych zwrotek poezyi francuskiej.

Po „Romansach bez słów“ stała się rzecz dziwna. Na-przód sceptyczny lubieżnik, potem optymista szczęśliwy, w końcu rozczarowany pesymista, a zawsze erotyk, nie troszczący się wcale o inne uczucia i tęsknoty człowieka, odezwał się Verlaine nagle jak mistyk średniowieczny.

Na czele wiązanki p. t. *La Sagesse* czytamy następujące wyznanie: Autor tej książki nie myślał zawsze tak, jak dziś. Błądził on długo w zepsuciu współczesnem, mając w niem udział grzechu i nieświadomości. Troski zanadto zasłużone nawróciły go od tego czasu i Bóg pozwolił mu w łasce Swojej zrozumieć znaczenie tego nawrócenia. Więc ukorzył się przed Ołtarzem, długo zapomnianym, i uwielbia Wszechdobroć i wzywa Wszechpotęgę — posłuszny syn Kościoła, ostatni pod względem zasług, ale pełen dobrej woli. Poczucie jego słabości i wspomnienie jego upadków były mu przewodnikami przy pracy nad tem dziełem, które jest jego pierwszym aktem publicznego wyznania wiary po długim milczeniu literackiem. Autor mniema, iż w tej książce nie znajduje się nic sprzeciwiającego się uczuciu mi-

łości, jakie on, odtąd chrześcjanin, winien grzesznikom, których nienawistne obyczaje kiedyś praktykował... Autor bardzo młodym będąc, temu lat dziesięć, dwanaście, ogłosił wiersze sceptyczne i smutno lekkomyślne (*des vers sceptiques et tristement légers*). Ośmiela się on żywić nadzieję, że w tej wiązance żaden złodźwięk nie będzie raził delikatnego ucha katolika: byłaby to jego najdroższa sława, jak jest najdumniejszą nadzieją.“

I w istocie... Czytelnik drugiej połowy XIX stulecia, odwykły zupełnie od poezji religijnej, od mistycznych wzlotów duszy, nie wie, co sądzić o „Mądrości“ (*La Sagesse*) Verlaine'a, znajduje w niej bowiem nietylko pokorę skruszonego grzesznika, błagającego Boga o zmiłowanie, nietylko chrześcjanina, czyniącego Stwórcy ofiarę ze swoich cierpień, lecz wprost najwierniejszego, najgorliwszego katolika.

O, mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour
Et la blessure est encore vibrante,
O, mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour

*

O, mon Dieu, votre crainte m'a frappé
Et la brûlure est encore là qui tonne,
O, mon Dieu, votre crainte m'a frappé.

*

O mon Dieu, j'ai connu que tout est vil
Et votre gloire en moi s'est installée,
O, mon Dieu, j'ai connu que tout est vil.

*

Noyez mon âme aux flots de votre Vin
Fondez ma vie au Pain de votre Table,
Noyez mon âme aux flots de votre Vin.

(Sag. II; I).

Albo:

Je ne veux plus aimer que ma mère Marie,
Tous les autres amours sont de commandement,
Nécessaires qu'ils sont, ma mère seulement,
Pourra les allumer aux coeurs qui l'out chérie.

*

C'est pour Elle qu'il faut chérir ses ennemis,
 C'est par elle que j'ai voué ce sacrifice,
 Et la douceur de coeur et le zèle de service,
 Comme je la priais, Elle les a permis.

*

Marie Immaculée, amour essentiel,
 Logique de la foi cordiale et vivace,
 En vous aimant qu'est il de bon que je ne fasse.
 En vous aimant du seul amour, Porte du Ciel?

Mystyk, oderwany zupełnie od ziemi, nie mógłby wierzyć i modlić się inaczej.

Po takim zwrocie ku niebu należało się spodziewać, że Verlaine porzuci na zawsze zmysłowość swoich lat wiośnnych. Tymczasem... nowa niespodzianka.

W kilka lat po *Sagesse* (w r. 1888) wydał poeta tomik p. t. *Parallèlement*, przewyższający lubieżnością wszystko, co napisał dawniej w owych „sceptycznych i smutno lekko-myślnych wierszach.“ Są w *Parallèlement* dwa utwory, które wywołują rumieniec nawet na czołach bezwstydných. Lubieżna erotyka, postarzawszy się, przedzierzgnęła się w chorobliwą erotomanję. Tylko zniedołężniały rozpustnik lubuje się z taką bezwzględnością wdziękami cielesnemi kobiety, jak to uczynił Verlaine w *Auburn* i w *Fille*.

Zestawiwszy te dwie pornografie z zachwytem dla „Niepokalanej Maryi,“ nie wiadomo zrazu, jak sobie tę szczególną ewolucję wytłómaczyć. Gdyby *Sagesse* była nastąpiła po *Parallèlement* jako wyznanie i modlitwa nawróconego grzesznika, możnaby uwierzyć w szczerłość mistycyzmu poety. Zdarza się dość często, że sybaryta, znużony brudem nadmiernego używania, zanurza się z przyjemnością w oczyszczającym zdroju religii. Ale *Sagesse* przed *Parallèlement* jest potwornością psychologiczną, należącą do historii obłądów ludzkich.

Verlaine usiłował sam tę łamigłówkę rozwiązać. Napisał on kilka sylwetek literackich pod dziwnym tytułem

„Przekłęci poeci“ (*Les poètes maudits*). Ostatnią z nich poświęcił sobie, nazwawszy się *Pauvre Lelian*.

Ten „biedny Lelian“ filozofuje między innymi w sposób następujący: *) „Wierzę i grzeszę myślą i czynem; wierzę i żałuję myślą, czekając na zwrot lepszy. Albo też: wierzę i jestem dobrym chrześcjaninem w tej chwili; wierzę i jestem złym chrześcjaninem zaraz potem. Przypomnienie, nadzieja, wzywianie grzechu zachwycają mnie z wyrzutami sumienia albo bez nich, częstokroć nawet pod postacią i ze wszystkimi skutkami grzechu... Ten zachwyt mnie, wam, jemu, pisarzom, podoba się przelać na papier i ogłosić gorzej albo lepiej wydany; wcielamy go w formę literacką, zapominając o wszystkich ideałach relogijnych lub uwzględniając wszystkie. Czy można nas potępiać z dobrą wiarą jako poetów? Bynajmniej! Czy sumienie katolickie rezonuje tak lub owak, obchodzi nas niewiele... A teraz, czy wiersze katolickie biednego Leliana zgadzają się z jego innymi utworami? Oczywiście, że tak. Ton nie zmienia się w obudwu wypadkach, tu poważny i prosty, tam kwiecisty, znużony, zdenerwowany i szyderski, ale wszędzie ten sam, jak człowiek mistyczny i zmysłowy zostaje zawsze człowiekiem intelektualnym w różnych przejawach tej samej myśli, która ma swe wyżyny i niziny.“

Znaczy to, przełożone na język zrozumiały: Bywam czasami religijnym, a czasami lubieżnym, co zależy od usposobienia danej chwili, i nie myślę się nigdy krępować. Gdy mi się zachce podrażnień zmysłowych, wówczas przypominam sobie grzech, rozkoszuję się nim, grzebię się w brudzie, odtwarzam pornograficzną stronę życia, zmęczony zaś rozpustą myślą i czynu, rzucam się na stopnie ołtarza - modlę się gorąco, bo mi wyrzuty sumienia sprawiają nową przyjemność.

*) Paweł Verlaine; „Les poètes maudits“; Paryż, 1888; str. 98—99.

Mistycyzm więc Verlaine'a jest prosto odmienną formą rozpusty, rodzajem sztucznego upojenia, rozkoszą chorą, znaną tylko czasom upadku moralno-umysłowego.

Ludzie zdrowi rozumują inaczej. Wierzę — mówią oni — wykonywam ściśle przepisy mojego wyznania, albo nie wierzę i robię, co mi się podoba. Ponieważ chrześcijaństwo potępia służbę ciała, przeto, jeżeli chcę być chrześcijaninem, powinienem się starać ujarzmić popędy zmysłowe, okiełznać zwierzę, stłumić jego potrzeby do *minimum*. Dążąc do takiego celu, byłbym niemądrym, gdybym się rozmyślnie drażnił, podbudzał, przypominając sobie powabną stronę grzechu. Jako człowiekowi uczciwemu, niewolno mi nadto gorszyć bliźnich obrazami lubieżnemi.

Karol Morice, broniąc *Parallèlement* przed zarzutem niemoralności, mówi *): „Niemoralnością istotną, nieprzebaczoną i jedyną jest smutek, zniechęcenie do życia. Tylko te książki są bezwstydne i niemoralne, które obrzydzą czytelnikowi chęć do wyzyskania władz umysłowych i fizycznych. Złem są: nędza, smutek, choroba i śmierć. Wszystko, co tchnie życiem, co pobudza w nas pragnienie życia, potrzebę rozszerzania się, jest zdrowe, więc moralne.“

Postępując dalej śladem argumentacji Morice'a, teoretyka dekadentów-symbolistów, doszłoby się do wniosków, którymby przyklasnęły wszystkie śmiecie ludzkości. Bo znaczna część kradzieży, zbrodni, podłości, zabójstw wypływa ze źródła życia, z walki o byt. I rozpustnik nie wyniszczałby się przedwcześnie, gdyby nie wierzył, że uciechy zmysłowe są naturalną potrzebą jego organizmu.

Ani kazuistyka Verlaine'a, ani obrona Morice'a nie wytrzymują krytyki zdrowego rozsądku. Wiernemu chrześcijaninowi niewolno napisać takiego *Parallèlement*, lubieżnik zaś, który między jedną pornografią a drugą składa na-

*) Karol Morice; „Verlaine“; Paryż, 1888, str. 86.

bożnie ręce, wznosi oczy w zachwycie mistycznym do nieba, modląc się do „Niepokalanej Panny,“ jest albo obłudnikiem, albo chorym newropatą. Połączenie mistycyzmu i zmysłowości było zawsze świadectwem rozkładania się jakiejś zużytej formy cywilizacji.

Parallèlement nie było owocem chwilowego obłędu, Verlaine bowiem zapowiedział przez usta „biednego Leliana,“ że wybryki zmysłowe pójdą u niego i w dalszym ciągu „równolegle“ z wybuchami mistycznymi. Co ręka prawa zbuduje, to rozerwie lewa...

Ponieważ o rozmyślną obłudę trudno posądzać poetę, który zdobywa się dość często na dźwięki szczere, natchnione, przeto należy zaliczyć Verlaine'a do umysłów chorych. Bardzo słusznie nazwał się on sam dekadentem. Jego dwulicowość jest skutkiem starganej przez newrozę woli, niezdolnej zapanować nad zachciankami zwierzęcia, niepokojącego każdego człowieka.

Podług Verlaine'a jest miłość zmysłowa taką potęgą, iż nie przemoże jej nawet wrodzona i wychowaniem wzmocniona cnota. W jednej z jego nowel, napisanych prozą, w *Louise Leclercq*, opuszcza dobra, uczciwa, rozumna, czysta dziewczyna bez namysłu ukochanych rodziców z chwilą, gdy się w niej drzemiący dotąd instynkt płciowy ocknął. Bez żalu, bez słowa pożegnania, bez najmniejszego wyrzutu, ucieka Ludwika z domu i oddaje się cała gołowąsemu młodzieniaszkowi, który ją oczarował urodą. Dopiero, kiedy zgasiła pragnienie rozkoszą, wówczas przypomniła sobie ojca i matkę, domyśliwszy się ich smutku po utracie jedy-naczki. Starego Leclercq'a zabił wstyd, a jego żonę złamała rozpacz. Ale to drobnostka! Jest przecież religia, która maże winy grzesznika.

Ludwika, wróciwszy z występnej podróży do Paryża, udała się nasamprzód do kościoła. Tu padła na twarz przed wizerunkiem Zbawiciela, a pomodliwszy się gorąco i wy-

spowiadawszy się szczerze, poszła do domu krokiem pewnym. Wiadomość o śmierci ojca przyjęła z chłodną rezygnacją, do konającej zaś matki przemówiła następnie: „Mamo! Wróciłam do domu na zawsze i uspokój się. Wszystko pójdzie jak najlepiej. Módlmy się za ojca i za twoje zdrowie. Bóg będzie dla nas dobry.“ Kiedy we dwa miesiące potem śmierć uwolniła panią Leclercq od cierpień moralnych i fizycznych, Ludwika wyszła natychmiast za swojego Leona. Czekala tylko na spadek i swobodę. A Verlaine kończy tę powiastkę pochwałą dla Ludwika: „Ona — mówi — jest dobrą chrześcianką, wyborną matką, kochającą żoną, dzielną kobietą, słowem, jedną na tysiąc.“

Więc dobrmi chrześciankami i wzorowemi niewiastami są niewdzięczne córki i aż do okrucieństwa zmysłowe samice? Więc namiętność usuwa wszystkie obowiązki i lepsze uczucia na stronę, tak silna, iż jej nie łamie nic oprócz zadowolenia. Więc wystarcza pomodlić się, wysłuchać nabożnie mszy i wyspowiadać się, aby żyć szczęśliwie bez wyrzutów sumienia na świeżym grobie rodziców i zasłużyć jeszcze na uznanie ludzi?

W żadnym utworze nie zarysowała się przewrotność Verlaine'a tak wyraźnie, jak w tej powiastce. Tylko człowiek chory, który stracił zupełnie poczucie tego, co godziwe a co niegodziwe, może w taki sposób rozumować. I umyśły zdrowe znają bardzo dobrze potęgę instynktów, ale starają się nimi ovladnąć, ukrócić ich pożądliwość. W epokach szczęśliwych panuje obowiązek nad zmysłowością.

Jak Baudelaire, wcielał i Verlaine praktycznie swoje apetyty. Jego biografowie potrącają dyskretnie o karę więzienia, na którą go sądy skazały za występki przeciw moralności. Sam poeta nie wstydzi się wcale tej sromotnej pokuty, mówi bowiem o niej w poemacie, poświęconym Edmundowi Lepelletier (*Ecrit en 1875; cykl Amour.*),

J'ai naguère habité le meilleur des châteaux
 Dans le plus fin pays d'eau vive i de coteaux:
 Quatre tours s'élevaient sur le front d'autant d'ailes,
 Et j'ai longtemps, longtemps habité l'une d'elles.

Jako technik artystyczny, kładzie Verlaine główny nacisk na melodyjność wiersza. W utworze, dedykowanym Karolowi Morice'owi p. t. *Art poétique* zaleca przede wszystkim muzykę.

De la musique avant toute chose
 Et pour cela préfère l'Impair
 Plus vague et plus soluble dans l'air,
 Sans rien en lui qui pèse ou qui pose.

Staraj się przedewszystkiem o muzykę słowa — uczy —
 choćby nawet kosztem rytmu i sensu. A dalej:

Il faut aussi que tu n'aïlles point
 Choisir tes mots sans quelque meprise:
 Rien de plus cher que la chanson grise
 Ou l'Indécis au Précis se joint.

*

C'est des beaux yeux derrière des voiles
 C'est le grand jour tremblant de midi
 C'est par un ciel d'automne attiédi,
 Le bleu fouillis des claires étoiles!

*

Car nous voulons la Nuance encor,
 Pas la couleur, rien que la nuance!
 Oh! la nuance seule fiancée
 Le rêve au rêve et la flûte au cor!

Omijaj barwy jaskrawe, silne, a szukaj zawsze półtonów; łagódź, o ile się da, wszelką wyrazistość. Piękne oczy są wtedy piękne, gdy patrzą przez woalkę; jasny dzień gorzej najwięcej w południe, kiedy jego blask tłumi morze drżącego światła; uroczy świecą gwiazdy na ciepłym niebie

jesiennem. Niech się kontury i barwy zlewają, bo tylko od-
cienie mają wartość dla poety.

De la musique encore et toujours!
powtarza Verlaine.

Recepcie tej zawdzięcza poezya francuska wistocie kil-
ka pieśni tak dźwięcznych, iż proszą się o wtór muzyczny.
*Chanson d'automne, Le Rossignol, Je devine à travers un
murmure... Il pleure dans mon coeur... Avant que tu ne t'en-
ailles... La lune blanche...* zostaną niespożytem świadec-
twem muzycznego ucha Verlaine'a.

Ale pogoń za dźwięcznością wprowadziła już Verlaine'a
tu i owdzie na manowce monotonii. Gdy poeta chce odtwo-
rzyć jednostajność ruchu, wówczas powtarza ten sam wyraz
kilka razy. Np. w *Chevaux de bois*:

Tournez, tournez, bons chevaux de bois
Tournez cent tours, tournez mille tour,
Tournez souvent et tournez toujours,
Tournez, tournez au son des hautbois.

Albo „*Pierrot gamins*“:

Ce n'est pas Pierrot en herbe,
Non plus que Pierrot en gerbe,
C'est Pierrot, Pierrot, Pierrot,
Pierrot gamin, Pierrot gosse,
Le cerneau hors de la cosse,
C'est Pierrot, Pierrot, Pierrot.

Nie o treść szło tu autorowi, lecz jedynie o zestawie-
nie równobrzmiących dźwięków, do czego skłonność objawił
już w pierwszych swoich utworach. *Soleils couchants* i *Cré-
puscule du soir mystique* Verlaine'a należą do cyklu „Poe-
zji saturnowych.“

Une aube affaiblie
Verse par les champs

La mélancolie
 Des soleils couchants
 La mélancolie
 Berce de doux chants
 Mon coeur qui s'oublie
 Aux soleils couchants.
 Et d'étranges rêves,
 Comme des soleils
 Couchants sur les grèves,
 Fantômes vermeils,
 Défilent sans trêves,
 Défilent, pareils
 A des grands soleils
 Couchant sur les grèves.

(*Soleils couchants*).

Powracające ciągle te same zgłoski: *chants, champs, lie, eils, êves*, mają wytwarzać wrażenie senności gasnącego dnia. Gdy się kaprys Verlaine'a rozwinął w zasadę, w formułkę techniczną, wówczas wydał takie dziwactwa jak Maeterlincka „Cieplarnię“ i Rimbaud'a teorię barwności słowa.

Dość często też lekceważy już Verlaine w prozie składnię i posługuje się sztucznymi zwrotami.

Płodnym i pracowitym Verlaine nie jest. Oprócz poezyj, które zmieściły się wszystkie w jednym tomie, wydał on w przeciągu lat dwudziestu dwie chude wiązanki nowel (*Louise Leclercq; Les mémoires dun veuf*), kilka odręcznie napisanych sylwetek literackich (*Les poètes maudits*), dwadzieścia króciutkich biografij (*Les hommes d'aujourd'hui*) i dwie bardzo słabe jednoaktówki (*Les uns et les autres; Madame Aubin*). Cały jego dorobek autorski nie przekracza ram dwóch zwykłych tomów Charpentier'a lub Lemerre'a. *)

*) Cytując poezye Verlaine'a, posługiwałem się najnowszym wydaniem Charpentier'a p. t. „Choix de poésies“; 1893 r. (Przyp. Aut.).

I umysłu rozległego nie posiada Verlaine. Wyrwał on z czarnych skrzydeł Baudelaire'a tylko dwa pióra, mianowicie: chorobliwą zmysłowość i równie niezdrowy mistycyzm, który rozwinął i pogłębił. Resztę spuścizny po „wielkim przodku“ (*magnus parens*), jak twórcę „Kwiatów zła“ Jarosław Wrchlicky nazwał, rozebrali inni współcześni poeci francuscy.

Maurycy Rollinat upodobał sobie najbrzydszy z pomiędzy cuchnących kwiatów Baudelaire'a. Zapełnił on prawie cały tom (stronnic 390) obrazami: halucynacyj, chorobliwych przywidzeń, nerwowych strachów, zbrodniczych zachcianek, suchot, szkieletów, gnijących trupów i t. p. przysmaków podniebień dekadencckich. Jego *Les Névroses*, wydane po raz pierwszy w r. 1883-cim, miały przez pewien czas takie samo powodzenie, jak Baudelaire'a *Les fleurs du mal*. Najjaskrawsze utwory tej wiązanki deklamowała Sara Bernhardt.

Już samo *motto*, położone na karcie tytułowej książki *), uprzedza czytelnika o jej zawartości. *Putredini dixi: Pater meus es; Mater mea et soror mea, vermibus* — powtórzył Rollinat za Jobem **). Nagłówek ten rozwinął w wierszu wstępnym p. t. „Pamiętaj, iż z prochu pochodzisz“ (*Memento quia pulvis es*).

— Udajesz mocarza i klócisz się z wiecznością, marny robaku! Jesteś niczem, żdźbłem przemijającym. Rozkosz twoja cierpi, skrzydło ducha twojego zwija się ciągle. Drobną trawką jesteś na brzegu przepaści — przed śmiercią.

A w chwili śmierci?

*) Maurycy Rollinat, „*Les Névroses*,” wydanie ostatnie Charpentier'a z r. 1892.

***) Job; rozdz. XVII; w. 14. „Do dołu rzekę: ojcem moim jesteś! Ado robaków: wy jesteście matką moją i siostrą moją.“

— Gdy umierasz, twoja ręka zimna i posiniąta skubie kołdrę bez możliwości obrony. Obejmują cię tajemnicze ramiona, których nie widzisz, a w sercu twojem syczy poprzez mroki konania wyrzut sumienia, jak gadzina żałobna.

Tak wyglądasz w chwili zgonu. A po śmierci?

— Kiedy cię włożyli do grobu, wówczas rzuca się na ciebie robactwo, które cię pożera. Jakiś czas będą cię ludzie wspominali, ale wkrótce rozpułniesz się w ciemnościach niepamięci.

Po tak „słodkiej“ przemowie, nie pominął Rollinat w dalszym ciągu ani jednej okropności nędzy ludzkiej. Jego *Les Névroses* rozpadają się na pięć części (*Les âmes — Les luxures — Les refuges — Les spectres — Les ténêbres*), z których każda usiłuje z innej strony obrzydzić człowiekowi życie.

Zaraz z pierwszego poematu cyklu p. t. *Les âmes*, z *Le fantôme du crime* dowiadujemy się, że „człowiek jest przewrotny albo niebo okrutne.“

L'homme est donc bien pervers, ou le ciel bien féroce!
Pourquoi l'instinct du mal est-il si fort en nous,
Que notre volonté subit son joug atroce
A l'heure ou la prière écorche nos genoux? ..

Człowiek jest przewrotny, albo niebo okrutne, bo poetę nachodzą od czasu do czasu szczególne zachcianki. Złe myśli niepokoją jego duszę wszędzie, o każdej porze, nawet wśród pracy. Daremnie broni się Rollinat przeciw ich podszeptom, przywołując na pomoc wszystko, co ludzie wymyślili w celu pokonania nieprawości... Czy chce, czy nie chce, słyszy on w sercu swoim nuty piekielne, poddawane przez szatana.

Mon crâne est un cachot plein d'horribles bouffées
Le fantôme du crime à travers ma raison,
Y rôde, pénétrant comme un regard de fées.

Faut-il que ma vertu s'abreuve de poison!
 Mon crâne est un cachot plein d'horribles bouffées.

W tym biednym mózgu poety, opętanym przez widmo zbrodni, przebiegają błyskawicą: morderstwo, gwałt, kradzież, ojcobójstwo.

Le meurtre, le viol, le vol, le parricide
 Passent dans mon esprit comme un farouche éclair,
 Et quoique pour le Bien toujours je me décide,
 Je frémis en voyant ramper dans mon enfer
 Le meurtre, le viol, le vol, le parricide.

Nie nie pomaga, że Rollinat nienawidzi brudu i zła, że czuje wstręt do wszelkiej podłości. Widmo zbrodni ściga go ciągle, zatruwa mu dzień, przeraża go nocą. Wróg zabójców, chciałby zabijać — surowy sędzia gwałtu, chciałby gwałcić, kraść, oszukiwać, krzywoprzysięgać i t. d.

Wygłaszając takie paradoksy, nie miał Rollinat na myśli urodzonego zbrodniarza, lecz człowieka wogóle. Każda nasza zachcianka jest podłością, każde słowo kłamstwem (*La Parole*).

Chore nerwy poety odezwały się najwyraźniej w dwóch ostatnich cyklach, w *Les spectres* i *Les Ténébres*. Widzi on o północy przy fortepianie kobietę nagą, chudą, umierającą, a obok niej trumnę otwartą (*L'amante macabre*), — opiewa wdzięki dziewczyny, podobnej do kościotrupa (*Mademoiselle Squelette*), — zachwyca się trupem zabalsamowanym (*La morte embaumée*), — gdy pracuje w bibliotece, zdaje się mu, że fotele wyciągają do niego ramiona (*La bibliothèque*), — kocha się w mieszkaniu ponurem, w którym „meble, obrazy, kwiaty nawet zieją piekłem i trucizną“ (*La chambre*), — lituje się szczerze nad pijaczką (*La Buveuse d'absinthe*). — opisuje pozorną śmierć i pogrzeb człowieka, znieczulonego przez letarg (*L'enterré vivif*), — odtwarza szczegółowo rozgłosną swojego czasu zbrodnię Troppmana (*Le soliloque de*

Troppmann), — uwielbia dzień deszczowy (*La pluie*), — widok brzytwy budzi w nim pragnienie krwi (*Le rasoir*), — zachciewa się mu romansu z manekinem woskowym (*La dame en cire*) i t. d. Niewytlómaczone niczem trwogi, niepokojące przeczucia, dziwaczne upodobania, niekzemne myśli i apetyty znalazły w Rollinat'cie cierpliwego obserwatora i utalentowanego malarza.

Nicość życia wraca u niego ciągle. Spłowiła już skarga na nędzę człowieka otwiera „Ciemności“ (*Les Ténèbres*).

L'homme est un forfadet qui tombe dans la mort
Grand puits toujours béant sans corde ni margelle
Et dont l'eau taciturne éternellement dort
Sous l'horreur qui la plombe et l'oubli qui la gèle.

*

L'Espoir? Dévision! L'Amour? In ésanit!
La gloire? Triste fleur morte en crevant la terre!
L'illusion se heurte à la réalité
Et notre certitude équivant au mystère.

*

Nous passons fugitifs comme un flot sur la mer
Nous sortons du néant pour y tomber encore,
Et l'infini nous lorgne avec un rire amer
En songeant au fini que sans cesse il dévore.

(*Le gouffre*).

I znów wraca Rollinat po tej ogranej zwrotce do: tru-pów, zgnilizny, pogrzebów, do halucynacyj i różnych innych zjawisk newrozy. Słowa: *bière, cerceuil, pourriture, putréfaction, mort, fosse, tombeau, ulcères chancreux, décomposition, cadavre, suaire, poison, assassinat, horrible, affreux* i t. p. powtarzają się u niego ciągle. Jest w *Les Ténèbres* kilka utworów, które działają, jak emetyk (*La putréfaction, La bière*).

Skrajny pesymista powinienby się odwrócić ze wstętem od rozkoszy zmysłowych. Tymczasem nie ustępuje Rollinat pod względem lubieżności bynajmniej Verlaine'owi.

Poświęcił on całą część drugą „Newrozy“ (*Les Luxures*) miłości wyuzdanej. Nawet szelest sukni niewieściej drażni go i roznamiętnia (*Les robes*). Jego: (*La belle fromagère, La chair, Vierge damnée, Les seins, La Bête* i in. należą do tej samej rodziny, co *Fille* i *Auburn Verlaine'a*.

Zkąd się po tych wszystkich „dreszczach,“ trwogach, halucynacyach, widmach zbrodni, zachwytach nad gnijącymi trupami i t. d. wziął wiersz, zamykający książkę — na to odpowiedzą chyba tylko psychiatrowie. Bo oto, jak Rollinat kończy swoją „Newrozę“:

Mon Dieu! dans ses rages infimes,
 Dans ses tourments, dans ses repos,
 Dans ses peurs, dans ses pantomimes,
 L'âme vout hèle à teut propos
 Du plus profond de ses abîmes!

*

Quant la souffrance avec ses limes
 Corrode mon coeur et mes os,
 Malgré moi, je crie a vos cimes:
 Mon Dieu.

*

Aux coupables trainant leurs crimes,
 Aux résignes pleurant leurs maux
 Arrivent toujours ces deux mots,
 Soupír parlé des deuils intimes,
 Vieux refrain des vieilles victimes:
 Mon Dieu!

De profundis! nazwał Rollinat ten niespodziewany epilog. Być może, iż i on pójdzie jeszcze kiedyś śladami Verlaine'a i nastroi lutnię do mistycznego hymnu. Wprawdzie modlił się raz w „Newrozie“ do szatana (*La dame en cire*), ale tylko o... damę z wosku. Błuznierstwo odziedziczył po Baudelairze inny śpiewak współczesnego parnasy francuskiego. Jan Richepin to postanowił zadziwić świat bezwzględny atezmem, przeraziwszy ludzi poprzednio brudem i podłością nędzy (*Chanson des gueux*).

Głupcami są, podług Richepin'a, (*Les Blaphèmes*; przedmowa), wierni i niewierni, nabożni i oświeceni, wyznawcy istniejących religij, deści, wolnomysliciele, pozytywiści, materialyści, sceptycy, szczerzy i obłudni, uczeni i ciemni.

Cóż skłoniło poetę do takiego pesymizmu? „Oto ma się znów jedno stulecie ku zachodowi, i znów zstępuje stary ród ludzki w dolinę, nie widząc kresu swojej drogi... dni wydają się mu długie, chociaż istnienie jego jest krótkie... Bo te dni są puste... Wiemy-ż, dokąd idziemy?“ (*Prologue*).

Powtórzywszy znane skargi na niemoc rozumu i nicosć wiedzy, zabrał się Richepin bardzo systematycznie do czytelnika. Zanim mu zozydził bogów, obrzydził mu nasamprzód życie (*La vie*). „Nie, nie mówcie mi o wiosnie, o życiu... mówcie mi raczej o zimie, o śmierci“ ..

Non, ne me parlez pas du printemps, de la vie
Qui sourd, jaillit, déborde, et vomit son orgueil!
Parlez-moi de l'hiver calme, qui vous convie
A rester immobile ainsi qu'en un cercueil.

Bo cóż to jest życie? Zawsze ten sam zachód i wschód słońca, te same pory roku, narodziny, śmierć i t. d. Jest ono pijaną ladacnicą, która wyje i toczy się w nieskończoność, nie wiedząc jak i dlaczego.“

La vie est une soûle
Qui dans l'infini hurle et roule
Sans savoir comment ni pourquoi.

Bredzicie o świętości rodziny, ogniska domowego! Śliczna mi świętość! Posłuchajcie, co mówię o tych ideałach ludzkości (*Tes père et mère* *).

*) Richepin'a nie można zawsze powtórzyć. Nie przebiera on ani w wyrażeniach, ani w obrazach. (Przyp. aut.).

Chwalcie lata dziecinne, młodzieńcze! Żadna epoka, w której zamęczają dziecko lekcjami i nudą (*Le bon temps*).

Zachwycacie się łzą, nazywając ją najslodszy z likierów, dyamentem serca i t. p. Drwijcie z tych obrazów poetyckich. Trochę wody, soli, fosfatu wapiennego... oto łza (*Analyse*).

Rozkoszujecie się t. zw. czystą miłością! Czysta miłość?! Śmiejecie się z tego (*Amours purs*).

Wskazujecie z dumą na wiedzę, spodziewając się od niej odpowiedzi na pytania, które was niepokoją. Kiedyż to nastąpi? Nie łudźcie się (*Savoir*).

Pniecie się coraz wyżej w górę! Na co? Daremnie szturmujemy do nieba. W miarę, jak się do niego zbliżamy, ucieka ono przed nami, a my spadamy zawsze na dół, zmęczeni, pokonani (*La tour de Babel*).

Przeszedłszy kolejno wszystkie rozkosze, złudzenia i ambicje człowieka w szeregu sonetów, które nazwał „gorzkiemi“ (*Sonnets amers*), Richopin zamknął swoją jeremiadę zapytaniem (*Alors?*) i pocieszającą odpowiedzią (*Reprise d'espoir*).

Si les doux souvenirs d'enfance, si les larmes
Exquises de l'amour, si l'orgueil du devoir,
Si le desir furtif de voler le savoir,
Si l'âpre volupté de la lutte et des armes i t. d.

jeżeli wszystko a wszystko zawodzi, nuży, jeżeli nawet nic nie potrafi nas pocieszyć, cóż w takim razie uczynić? Czy targnąć się na życie? (*Alors?*).

Non, non, cela n'est pas possible, je vous, dis!
Je ne me sens pas fait pour la plainte éternelle.
Car le soleil est bon, réjouit ma prune,
Sourit dans le matin, flambe dans les midis;

*

Car l'amour plane encor par les cieux attiédís;
Car la terre est joyeuse, et douce et maternelle;

Car je suis son enfant, j'ai foi, j'espère en eyle,
Je veux dans son giron trouver mon paradis.

Nie trzeba umierać, bo słońce, miłość, życie doczesne sprawiają przyjemność, są dobrem. To bogowie zatruli ludziom każdą rozkosz. Ich należy usunąć, zniszczyć raz na zawsze (*Reprise d'espoir*).

Po takim wstępie przystąpił Richepin do samego tematu, do bluźnierstwa, i prześcignął w istocie wszystko, co rozpacz ludzka wydała dotąd w tym kierunku. Nie ma tej zbrodni, którejby autor nie zarzucił bogom. Oni zawinili nędzę człowieka, jego cierpienia i podłości, oni stworzyli na ziemi piekło. Richepin grzmi przeciwko niebu z zuchwałstwem szalonego, a gdy mu się słowo silne zbyt słabem wydaje, wówczas posługuje się plugawymi dowcipami, zaczerpniętymi z humoru pijanych włóczęgów (patrz: *La réponse du cyclope; Bréviaire d'histoire sainte*).

Rozumie się, że i jego ideałem jest szatan, bluźniercy bowiem wszystkich czasów zwracali się zawsze z modlitwą do jakiegoś wcielenia złości. Na cześć dyabła napisał Richepin bardzo długą apologię (*L'apologie du diable*). *)

Zdawało się Richepin'owi, że oburzy przeciw sobie cały świat cywilizowany, że przerazi i zadziwi ludzkość swoją „odwagą.“ Wierzył, iż zamordował religię raz na zawsze, uniemożliwwszy wszelki powrót do Boga.

*) Jan Richepin, ur. w r. 1849 w Algeryi, w Medeot, należy do płodniejszych autorów francuskich chwili obecnej. Oprócz „La chanson des gueux“ i „Les Blasphèmes“ wydał jeszcze dwa tomy poezyi: „Les caresses“ i „La mer.“ Prozą napisał cały szereg powieści i nowel: „La Glu“; „Madame André“; „Les morts bizarres“; „Miarka la fille à l'ourse“; „Le pavé“; „Braves gens“; „Césarine“; „Le cadet“; „Truandailes“; „Cauchemars“; „La miseloque“; „L'aimé“ i in. I dla teatru napisał kilka dramatów i komedyj: „Par le glaive“; „La Glu“; „Nana-Sahib“; „Le flibustier“; „Le mage.“

Richepin zadziwił rzeczywiście inteligencją współczesną, ale nie w takim rozumieniu, jak się spodziewał. Nie reformę w pojęciach wywołał, lecz tylko niesmak. Od jego grubych, ordynaryjnych bluźnierstw, przypominających wybryki studenta, chełpiącego się wczoraj zdobytym ateizmem, odwrócili się nawet dekadenci. Paweł Verlaine nazwał jego dowcipy *de grosses cochonneries ou des inepties rancies* *).

I Baudelaire bluźnił, ale na dnię jego wybuchów ateistycznych drżała łąza rozbitka moralno-umysłowego, którego świadomość niecnoty ludzkiej doprowadziła do rozpacz. Nie dlatego bluźnił, aby bluźnić, lecz dlatego, że mu życie, na które patrzył, obrzydło. Gdyby się był urodził w innej, jaśniejszej epoce, nie byłby się walał w brudzie i pisał hymnów na cześć szatana.

Jest znaczna różnica między Baudelaire'm a jego potomkami po duchu. Autor „Kwiatów zła,” umysł szeroki, talent pierwszorzędny, ogarniał wszystkie stosunki ludzkie, zaglądał do wszystkich przepaści i ścieków życia. Materialista i sceptyk w dużym stylu, widział całą nędzę tej ziemi.

Znienawidziwszy człowieka, cisnął mu w twarz pełną garść obelg i brudów, z których sączy głęboki żal rozczarowania. Aureola poezji błyszczy nad jego tworem. Błyszczą fosforycznie, błękitnym blaskiem rozkładu, zgnilizny, ale świeci.

Inaczej u następców Baudelaire'a. Rozszarpali oni pesymizm mistrza na strzępy, podzielili się jego skrawkami i postanowili niemi ludzi straszyć. Ani w plugawych obrazach Rollinat'a, ani w bluźnierczych deklamacjach Richepin'a, nie czuć szczeroci. Dziwactwa te robią wrażenie

*) Paweł Verlaine; „Les hommes d'aujourd'hui”; sylwetka Richepin'a.

wpracowań, napisanych rozmyślnie na temat zadany. Nie wytrysnęły one z duszy autorów z siłą żywiołu, druzgoczącego wszelkie zapory. Nie kipiące natchnienie poety je wydało, lecz chłodny rozum rzemieślnika.

W pierwszej chwili przerażają wistocie potworności Rollinat'a i Richepin'a. Gdy się jednak myśl otrząśnie ze zdumienia, wówczas wywołują owe halucynacje neurastenika i bluźnierstwa brawującego ateusza skutek wręcz przeciwny temu, jaki twórcy ich zamierzali. Rollinat i Richepin nie oburzają, lecz bawią, wprawiają w usposobienie wesołe. Tylko komizmem należy nazwać to usiłowanie zwrócenia na siebie uwagi, „narobienia wrzawy,“ bez względu na środki. Richepin, grożący pięścią bogom, przypomina obłąkanego Kaligulę, który kazał swojej służbie „robić grzmot,“ aby przekonać niewiernych, że i on potrafi to samo, co Jowisz.

Jak wszyscy epigoni Baudelaire'a, jest i Richepin lubieżnikiem. Poświęcił on rozkoszom zmysłowym osobną wiązanekę poezji p. t. „*Les caresses.*“ W tomiku tym czytamy, między innymi, następujące określenie miłości:

L'amour que je sens, l'amour qui me cuit,
Ce n'est pas l'amour chaste et platonique,
Sorbet à la neige avec un biscuit;
C'est l'amour de chair, c'est un plat tonique.

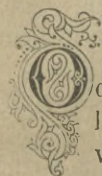
Albo:

Vos amours, ô bourgeois, sont des fromages mous;
Le nôtre, un océan d'alcool plein de remous.

I w tym kierunku usiłował Richepin... przerazić „ludzi poczciwych.“

V.

Dekadenci-symboliści francuscy.



Od lat kilku patrzy świat cywilizowany, zajmujący się literaturą francuską więcej, aniżeli to potrzebne, na widowisko szczególnego rodzaju. Oto uchodzi w pewnym kółku gromadka poetów i prozaików, których elukubracyj nikt nie rozumie, za znakomitych mistrzów, za proroków przyszłości.

Kiedy w r. 1891 wyszła wiązanek wierszyków Jana Moréas'a p. t. *Le Pèlerin Passioné*, wyprawili mu koledzy bankiet, na którym ogłosili go twórcą nowej szkoły literackiej, nowej sztuki pionierem. Publiczność zdziwiła się nasamprzód, a następnie uwierzyła prawdopodobnie w posłannictwo Moréas'a, poezye jego bowiem doczekały się w krótkim czasie drugiego wydania.

Zaraz pierwszy „poemat“ zbioru p. t. *Le Pèlerin Passioné* *), zaraz owa „Enona o jasnej twarzy“ (*Enone au clair visage*) zdumiewa... głębią bez dna.

— Skończyła już na noc bieżącą swoją drogę — Gwiazda, co radzi kochać. Niestety, słuchaj — Nie mów do mnie:

*) Posługiwałem się ostatniem wydaniem Leona Vanier'a p. t. „*Le Pèlerin Passioné*“ édition réfundue; 1893 r. (Przyp. aut.).

na co ta miłość szalona? Nigdy — Rozgrzewając mi powtórnie krew grzeszną żądzą — Łuk nie będzie naciągnięty, ani strzały wypuszczone.

— Gdy zgasło, widzisz światło gwiazdy — Zaiste, znaczy to, że trzecia część czasu przeminęła. — Nie, nie mów do mnie: dlaczego ta miłość szalona? — Młoda łodyga, podobna do owego szlachetnego palmowca — Który widział Ulysses pewnego razu w ponurem Delos.

— Pozwól, pozwól Cyprydzie zejść z horyzontu — Powietrze jest całe przesiąknięte pyłkami czułych kwiatów — Zamknij twe oczy kochane. — Ponieważ cień, który się wzmaga, ukrył je przedemną. — Apollo mnie kocha a syn Merkurego — Dobry Pan koźlorogi, miał staranie o moich latach młodych — W świętem Cylene, gdzie nimfy wód — Mnie karmiły, własną ręką ściałem dużo trzcin — Za pomocą sztuki przemyślnej umiem znakomicie udawać — Szczyt lasów, gdy go poranek budzi.

Powie kto może, iż przekład nie oddał myśli autora.
Dla kontroli niech służy tekst oryginału:

Elle a fini déjà, pour cette nuit, sa route,
L'étoile qui d'aimer conseille. Hélas! écoute,
Ne me dis pas: Pourquoi ce fol amour? Jamais,
Me renflamant le sang d'une coupable envie.
L'arc ne sera tendu, ni encochés les traits.
Si la lumière, vois, de l'étoile a baissé,
Certes, c'est que le tiers des heures a passé.
Non, non, ne me dis pas: Pourquoi ce fol amour?
Jeune tige, pareille à ce noble palmier
Que dans l'âpre Délos Ulysse vit un jour.

*

Laisse, laisse Cypris à l'horizon descendre,
L'air est tout imprégné du pollen des fleurs tendres;
Ferme tes yeux aimés,
Puisque l'ombre qui croît me les a dérobés,
Apollon me chérit, et le fils de Mercure,
Le bon Pan corne-bouc, de mon jenne âge eut cure.

Dans le sacré Cyllène ou les Nymphes des eaux
 M'ont nourri, de ma main j'ai coupé maints roseaux:
 D'un art industrieux j'y sais feindre à merveille
 La cime des forêts, quand le matin l'éveille.

W takim razie zadrwił sobie prawdopodobnie Mo-
 réas z naiwnych, trudno bowiem uwierzyć, aby człowiek
 przy zdrowych zmysłach mógł powyższą mieszaninę słów i
 obrazów, nie łączących się z sobą w całość rozumną, na-
 zwać dziełem sztuki. Jego „pieśń“ do Enony jest sztucz-
 ką, zabawką... Dalsze poezye mają niezawodnie jakiś sens...

Przewracamy kilka kartek i czytamy znów (str. 17).

— Zboża dojrzeją pod Rakiem płomiennym — I Ba-
 chus odrodzi się z grona wyciśniętego — Hyady przyjdą i
 przyjdą swoją drogą — Żłowrogie przymrozki, które sieje
 Boreasz. — Woda skrapla się z łagodnym szelestem, łąki
 olśniewają — Teraz są dni, zwiastujące wiosnę — Dyana
 nie prowadzi jeszcze dzikiej sfory — Filomela wdycha na
 wierzchołku lasów — Łuk giętki z Cypru wstrząsa swemi
 strzałami — Eter, źródło życia...

Les blés auront mûri sous le Cancer ardent
 Et Bacchus renaîtra de la grappe foulée,
 Les Hyades viendront, et viendront à leur tour
 Les funestes frimas qui sème le Borée.
 L'eau s'égoutte à doux bruit, les prés sont éclatants,
 A présent sont les jours messagers du printemps,
 Diane encor' ne guide une meute hardie
 Philomèle soupire au plus haut des forêts,
 L'arc flexible de Cypre ébranle de ses traits
 L'Ether, source de vie.

Przewracamy jeszcze kilka kartek i znajdujemy (str.
 25):

— Dumna wiosno zdobywco, coś mnie nadużyła — I
 jakim fałszywym pozorem serce mi złamałaś — Jaskółka
 obecnie uciekła na morze — Krzyk ptaka błotnego przypro-

wadza nam deszcz — Przewrotny rolnik, który myśli o swoich domkach — Siekierą ścina w smutnych lasach — Dąb, który rozpościera na ziemi swoje liście — Nieszczęśliwa jesieni, jak kocham twoje oblicze!

Fier printemps ravisseur, que tu m'as abusé,
 Et de quel faux semblant tu as mon coeur brisé!
 L'hirondelle à présent sur la mer s'est enfuie,
 Le cri de l'échassier nous ramène la pluie;
 Le prudent laboureur qui songe à ses guérets
 De la cognée abat dans les tristes forêts
 L'yeuse qui répand à terre son feuillage.
 Automne malheureux, que j'aime ton visage.

Miłość do jakiejś Enony odebrała Moréas'owi niewątpliwie rozum. Rozkochawszy się do szafu, stracił zdolność logicznej myśli i jasnego obrazu. Szukajmy więc dalej. Może na inny przeszedłszy temat, opamiętał się, oprzytomniał.

— Wdzięczne stado młodych kurtyzan — Igra i śmieje się w lesie mojej duszy — Milczący drwal i albo uderza swoją siekierą w lesie mojej duszy. — Czyli-ż nie kazałem śpiewać pod moimi palcami --- (drwalu, uderzaj!) skrzyconej lutni trzy razy? — (drwalu, uderzaj!) Nie jest-że moja dusza — Jak ktoś, co przynagla szybkie bieguny? (str. 96).

Un troupeau gracieux de jeunes courtisanes
 S'ébat et rit dans la forêt de mon âme.

*

Un bûcheron taciturne et ou frappe
 De sa cognée dans la forêt de mon âme.

*

Mais n'ai-je pas fait chanter sous mes doigts
 (Bûcheron, frappe!) la lyre torse trois fois!

*

(Bûcheron, frappe!) N'est-elle pas, mon âme,
 Comme un qui presse de rapides coursiers!

I tak ciągle przez cały tomik, przez 150 stronnic. Cudzoziemiec, nie przypuszczający, aby coś podobnego można

drukować pod banderą poezji, nie ufa zrazu swojej francuszczyźnie. Może nie znam dostatecznie języka — tłumaczy autora przed sobą — może nie odczuwam subtelności wytwornego słowa. I czyta po raz drugi, trzeci. Ale nie, to wyrazy francuskie, tu i owdzie zaczerpnięte ze słownika romańskiego schyłku wieków średnich, tu i owdzie jakieś nowe, nieznanne autorom klasycznym, lecz zawsze francuskie. Trzeba je więc złączyć z sobą i dotrzeć do ich treści. Ani sposób... Jedno zdanie odcina się od drugiego, jakby do niego nie należało, jeden wyraz znosi znaczenie poprzedniego. Chaotyczna to gadanina, przypominająca gawędy obłąkanych.

Może inny dekadent będzie zrozumialszym. Gustawa Kahn'a zaliczają koledzy do teoretyków szkoły, do szampionów. Był on naczelnym redaktorem czasopisma p. t. *La Vogue*. Jako polemista i doktryner powinien się być nauczyć jasnego wykładu. Wydał on książkę tak dużą, tak poważną pod względem typograficznym, iż wypełnił chyba jej wspaniałe ramy poezjami, obliczonymi na długie lata. *Les Palais Nomades* nazwał to dzieło. *)

Otwieramy owe *Palais Nomades* gdziekolwiek bądź, np. na stronie dwunastej i czytamy:

— Ku falowaniu przyszłych — Poprzez wysmukłe wyniosłości masztów — dmnie wicher przygód — Ku nader szybkim zniweczeniom — O, stare serce cierpiące, skręcone torturami! — W gęstości nocy, bez pieczyoty i księżycy — Pieśń majtka wysoko usadowionego w koszu — Kołysze długie smutki, które idą płakać do jednej. — Atlantydy, Tuleje — Het tam fale niebieskie — Wy je chowacie dla stad — Mew. Piękni jubilaci, oczekujący czystych obok mauzoleów. — Kołysze długi smutek, który krzyczy swojemu wy-

*) Gustaw Kahn; „Les Palais Nomades“; Paryż, 1887 r.

gładowi — Komecie z rozwianym łagodnie włosem — Do jej stóp, na fali, w zielonawych odcieniach. — Wygrzewać się jak dobra jaszczurka w rafinowanych rytmach sztuk; — Na miękkich kanapkach przypadków — Panować nad swoim marzeniem jak Cezar; — Skończyć daleko od portów w dziwnej łódce.

Vers l'ondoyance des futurs
A travers des sveltes mâtures,
Souffle le vent des aventures
Vers de très brefs déléateurs.
O vieux coeur souffrant tordu de tortures!

*

Dans l'épaisseur de nuit, sans caresse et sans Inne,
Chanson du matelot haut perché dans la hune
Berce les longs regrets qui vont pleurer vers une

*

Les Atlantides, les Thulés,
Par là-bas vague cérulees
Vous les gardez aux envolées
Des goëlands. Les beaux jubilés
Attendant les purs près des mausolées.

*

Berce le long regret qui erie à son allure
A la comète éparse en lente chevelure,
A ses pieds, sur la vague, en verdâtres moulures.

*

Se chauffer comme un bon lézard
Aux rythmes raffinés des arts;
Sur les doux divans des hasards,
Dominer son rêve en César;
Finir loin des ports en jongue bizarre.

Jeszcze jeden „poemat“ (str. 65).

— Park milczenia, nieprzejrzystość — Śmiertelna ślepota mojego ja — Ku buduarom wybitym jedwabiem — Podąża jego (czy jej?) szczerłość. — W tej chwili był bal rozbrzmiewający — Potem szeroka przestrzeń liliowych fal — I przytłumienie omdleń synowskich — I dyskretne szalone

wołania tryumfu — Parku milczenia, w którym wszystko jest zamknięte — Łagodny tryl wznosi się ku niebu — Zakochują się czyste substancje duszy: srebrne, dyskretne dzwoneczki rozbrzmiewają — Bieg somnambuliczny ku przepaściom.

Parc du silence, opacité
Mortelle cécité du soi,
Vers les boudoirs, tendus de soie
Volète sa sincérité.

*

Tout à l'heure, c'était sonorant le bal
Puis, large, la vague aux nappes filiales,
Et l'assourdissement de langes filiales,
Et les discrets appels du triomphal.

*

Parc du silence ou tout est clos,
Une trille lent volète aux cimes,
S'enamourent les purs azymes
De l'âme: argentins discrets tintent des grelots.
Course somnambulique aux abymes.

I tak dalej przez stron 171. Wszędzie ten sam szum niezrozumiałych dla przeciętnego śmiertelnika określeń i obrazów, wszędzie dziwaczne, dawno zapomniane słowa, których znaczenia trzeba szukać w specjalnych encyklopediach. Tu i owdzie mignie czasem słaby odblask jakiegoś sensu — można się czegoś domyślić, złączyć kilka zdań w całość logiczną — ale dzieje się to bardzo rzadko.

W sposób powyższy „śpiewa“ obecnie we Francji liczna drużyna młodych poetów, nazywanych przez krytykę rozmaicie (*hydropathes, déliquescents, incohérents, décadents, symbolistes, instrumentistes*). Oni sami przyznają się do tytułu „dekadentów“ lub „symbolistów“ albo najchętniej „dekadentów-symbolistów.“ Do grupy tej należą, oprócz Moréas'a i Kahn'a, Edmund Haraucourt, Wawrzyniec Tailhade, Karol Morice, Maurycy du Plessys, Juliusz Laforgue, Karol Vignier, Paweł Adam i in. Mianują się oni wszyscy prawowitymi wnukami Baudelaire'a, a synami Verlaine'a

Zdziwiłby się bardzo przeciętny śmiertelnik, gdyby wiedział, co o nim sądzą dekadenci-symboliści. On widzi w ich dziwacznych elukubracyach chore twory osłabionego mózgu, oni zaś gardzą filistrem, który „nie potrafi się wzniesć do wyżyn najwyższej formy sztuki.“ Bo te obłąkane gadaniny Moréas'ów, Kahn'ów *et consortes* nie są bynajmniej bezmyślną igraszka, jakby się na pierwsze spojrzenie zdawało. Są to dzieła artystyczne, pomyślane głęboko, oryginalnie, pisane rozmyślnie tak, żeby były przystępne tylko dla małego koła wybranych.“ Dekadenci rozumieją się pomiędzy sobą, o „motłoch“ zaś nie dbają. Ponieważ jednak mimo tej pogardy dla „tłumu,“ gniewają się, gdy się książki, oddane na użytek publiczny, nie rozchodzą, przeto wolno kupującemu zapytać o wartość zalecanego towaru.

Co sami dekadenci mówią o sobie, jest tak zawile, zagmatwane, jak ich utwory. Teorye: Morice'a, Kahn'a, Mallarmé'go i in. nie rzucają wcale światła na misterye nowej szkoły *). Łatwiej rozwiąże się zagadkę bez ich pomocy.

Wysłuchawszy się dobrze w poezję dekadentów, w brzmienie wyrazów, składanych przez nich bez troski o spójność logiczną, o sens, wyrażając się trywialnie, dostrzega się w tej bezładnej mieszaninie określeń i obrazów jakiś plan, jakąś robotę rozmyślną. Ci ludzie chcą czegoś, ale czego? Nie bez celu zestawiają oni obok siebie zdania, które nie tworzą jednolitej całości.

Profan, przywykły do wnikania myślą w dzieła ducha, nie umie sobie zdać sprawy z dążności najnowszej poezyi francuskiej. Bo nie dla mózgu piszą dekadenci swoje utwory, lecz przede wszystkim dla ucha. Trzeba ich czytać *uchem*, a wówczas rozumie się ich bez trudności.

*) Porównaj studyum p. t. „Na Schyłku Wieku,“ str. 130—145; 192. —203

(Przyp. aut.).

Ktoby chciał szukać rozumnej treści w wierszach Kahu'a:

Vers l'ondoyance des futurs
A travers des sveltes mâtures,
Souffle le vent des aventures
Vers de très brefs deléateurs.

O vieux coeur souffrant tordu de tortures —

wysilałby się niepotrzebnie. Ale komu wystarczy muzykalność słowa, przyjemne łaskotanie słuchu, ten będzie autorowi wdzięcznym za jego monotonne rymy (*ures*) i miękkie dźwięki (*sveltes, vent, vieux*).

Już Baudelaire, wyznawca doktryny „sztuka dla sztuki,” poświęcał tu i owdzie treść dla melodyjności wiersza. Tego samego grzechu dopuszcza się czasami i Verlaine, ale ani dziad, ani ojciec dekadentyzmu nie wynieśli kaprysu do stanowiska zasady. Wprawdzie powtarza Verlaine w swoim „*Art poétique*“ po kilka razy: *de la musique encore et toujours* i ma na sumieniu tak nieudolną „muzykę,” jak owe *Chevaux de bois (Tournez, tournez...), Pierrot gamin (Ce n'est pas Pierrot en herbe...)*, jednakże nawet tam, gdzie bawi się „wywoływaniem wrażenia,” nie zapomina o warunkach podstawowych dzieła myśli ludzkiej. Zwroty i zdania łączą się u niego prawie zawsze w całość zaokrągloną, zrozumiałą bez komentarza.

Co dla mistrzów miało wartość eksperymentu artystycznego, co było dla nich igraszką, stało się dla epigonów, jak zwykle, prawem najwyższym. Mali potomkowie „wielkiego przodka,” zbyt niedołążni, aby się mogli wznieść do siły duchowej Baudelaire'a, pochwytili z jego spuścizny drugorzędą wskazówkę techniczną i ukuli z niej doktrynę, teorię. Muzykalność słowa jest dla wielu z nich jedynym celem poezji. Dla niej to zestawiają obok siebie wyrazy, nie dopełniające się nawzajem, dla niej grzebią się w słownikach zapomnianych dyalektów, polując na równobrzmią-

ce zgłoski i rymy. Czy utworzony w ten sposób wiersz coś oznacza, lub też nie, czy następnik znosi wręcz poprzednik—nie wiele ich obchodzi. Nie o treść im idzie, lecz jedynie o dźwięczność. Wynika z tego, że utwory ich, przełożone na obcy język (na inne dźwięki), tracą wszelką wartość, co bowiem w oryginale jęczało, szumiało, płakało i t. d., może w tłumaczeniu syczeć, piszczeć, huczeć.

Dla dźwięczności powtarzają dekadenci te same słowa i te same wiersze kilka razy w jednej zwrotce. Dzieje się to głównie tam, gdzie chcą wywołać wrażenie jednostajności, tęsknoty, smutku, zachodzącego słońca.

Należy przyznać, iż owa muzykalność słowa wytwarza czasami wistocie wiersze tak melodyjne, że wydają się jakby utkane z tonów powiewnych. Ale i pieśni romantyków grają, chociaż liczą się ze składnią i zdrowym rozsądkiem.

Idąc dalej w kierunku dźwięczności wiersza, doszli dekadenci do t. zw. instrumentacji słowa (*L'instrumentation verbale*), której teorię wymyślił Rhené Ghil.

Rhené Ghil wydał w r. 1886-tym rozprawkę p. t. *Traité du Verbe*. Najnowsze wydanie tej dziwnej broszury wyszło w r. 1891-ym pod zmienionym tytułem *).

W dziełku Ghil'a jest wszystko „nadzwyczajne,“ począwszy od dedykacyi, a skończywszy na stronie typograficznej książki. Autor przemawia do żony swojej w sposób następujący:

„Attestant que ton nom de souffle, ô d'Epouse à laurer
 „de tes mains de repos mes songes, là instrument est!
 „perpétuel d'être mon souffle: comme porteuse au plus
 „futur d'heur et d'amour et de serment, va vers De-
 „main l'Oeuvre d'espoir.“

*) Rhené Ghil; „Oeuvre“; „En méthode à l'oeuvre; 1891 r.

Przetłómaczona dosłownie znaczy ta dedykacja mniej więcej: *) „Poświadczając, że twoje imię technienia, o małżonki do wieńczenia swemi rękami moich snów wypoczynku, tam nieustannie jest! Nieskończenie bytujące moje technienie: jako roznosicielka do najdalszych przyszłości szczęścia, miłości i przysięgi, idź w jutro „dzieło“ nadziei.“

I osobną interpunkcyę, jak poświęca dedykacja Ghil'a, wymyślili sobie dekadenci. Służy ona do jeszcze większego zaciemnienia ciemnej treści.

Już sama inwokacya, wystósowana do pani Ghil, może zniechęcić czytelnika do rozprawki jej małżonka. Kogo ona nie zraziła, ten straci niewątpliwie ochotę do badania doktryny „instrumentacyi słowa“ zaraz po dwóch pierwszych stronnicach traktatu.

Pomijając filozofię Ghil'a (*En méthode à l'oeuvre*), nad którą trzeba ślęczyć, jak nad majakami mistyka średniowiecznego, dowiadujemy się z części trzeciej jego *Oeuvre (Manière d'art)* nasamprzód tej nowiny, że brzmienia samogłosek i spółgłosek odpowiadają tonom pewnych instrumentów. I tak grają *f. l. s.*, jak długie, pierwotne, flety; — *p. r. s.*, jak niższy rejestr saksofonu; — *r, s*, jak wyższy rejestr saksofonu; — *l, r, s, z*, jak rogi, fagoty, oboe; *f, l, r, s, z*, jak trąbki, klarynety, piszczałki i małe flety; — *d, g, h, l, p, q, r, t, x*, jak skrzypce, gitary i harfy; — *u, r, s, v, z*, jak basy i wiole. Każda spółgłoska może brzmieć rozmaicie, co zależy od połączonej z nią samogłoski. Długie pierwotne flety naśladują *f. l. s.*, przyczepione do: *ou, ou, iou ouï (fou, liou, sou, fous)*; *l, r, s, z*, dodane do *eü, eu, ieu, ewi* przypominają róg, fagot lub oboje (*leu, lieu, sieu, reui*) i t. d.

*) Tłómacząc dekadentów-symbolistów nie można twierdzić nigdy na pewno, że się powiedziało to, co oni w danym wypadku myśleli, podkładają oni bowiem często wyrazom znaczenie dowolne.

A nietylko osobne dźwięki wydają z siebie samogłoski i spółgłoski. Można za ich pomocą wyrazić pewne uczucia i pojęcia. *A, o, m* uzmysławiają wielkość, pełnię czegoś — *é, i* wytworność, żalobę, — *o, r, s, x* potężne namiętności, gwałtowność, szorstkość, — *u, n* wątpliwość, rzeczy zakryte. Najgiętszem, nadającym się do najbogatszych odcieniów, jest *e*.

Niedość na tem. Spółgłoski i samogłoski posiadają, oprócz dźwięczności i znaczenia symbolicznego, także barwę. *Oû, ou, iou, oui* są czarne z odcieniem rudawym; *ô, o, io, oi* — czerwone; *â, a, ai* — purpurowe, *eû, eu, ieu, ewi* — różowe z odcieniem złotawym.

Ghil umieścił w swoim *Oeuvre* (str. 25—29) kilka tablic dźwięków, uczuć, pojęć i barw, wyrażonych przez spółgłoski i samogłoski.

Tego ukrytego znaczenia głosek nie zna oczywiście przeciętny śmiertelnik, „posługujący się mową bezmyślnie.“ Odczuwają je i rozumieją tylko „natury wybrane.“

Takiego rezultatu nie spodziewał się zapewne „nainwny, grubouchy czytelnik,“ który żąda, aby się słowa składały w zdania, zbudowane prawidłowo i wyrażały jakąś treść rozumną. To nie oni, dekadenci bredzą, jak obłąkani lub dzicy, to nie oni stracili poczucie jednolitości i całości, lecz on „motłoch,“ nie potrafi się wznieść do wyżyn ich wytwornej sztuki. Bo dopiero subtelna instrumentacja słowa — jak uczy Ghil — jest prawdziwym artyzmem. Obejmuje ona sobą język, muzykę i malarstwo, jako ostatni wyraz sztuki..

Więc to, co się na pierwsze spojrzenie wydawało przypadkowym zestawieniem niedopełniających się nawzajem wyrazów, jest kombinacją obmyślaną, wytworzoną rozmyślnie. W pocie czoła pracują nieraz dekadenci, aby zbudować poemat, z którego „niemądry motłoch“ drwi.. ciemny i niewtajemniczony.

Ileż to np. „artyzmu“ włożył Ghil w utwór, z którego żartują wszyscy krytycy, należący pojęciami i gustami do „plebejuszów.“

Ouïs! ouïs aux nues haut et nues ou
Tirent-ils d'aile immense qui vire...
et quand vide
et vers les grands pétales dans l'air plus aride —
(Et en le lourd venir grandi lent stridule, et
Titille qui n'alentisse d'air qui dure et!
Grandie, erratile et multiple d'éveils, stride
Mixte, plainte et splendeur! la plénitude aride),
et vers les grands pétales d'agitations
Lors évanouissait un vol ardent qui stride...
(des saltigrades doux n'iront plus vers les mers).

„Plebs umysłowy“ chce się doszukać trywialnego sensu w powyższym utworze, chce, aby on coś znaczył w rozumieniu pospolitem, aby przemawiał do rozumu... Rozum!? Któż zważa na upodobania tego ordynaryjnego mieszcza, któremu trzeba wszystko łopata do głowy włożyć... Nie o sens chodziło Ghil'owi... wytwornemu artyście... lecz o instrumentację słowa, o wrażenie. Rozum nazwie ten rodzaj sztuki zjawiskiem patologicznym, chorobą, ciemny bowiem episier nie wie, że co było dawniej patologią, jest obecnie normą, prawem powszechnem (*que le cas dit pathologique se multiplie normal*; Ghil; j. w. str. 27).

Co Ghil zamknął w ramach doktryny, to zastosował już przed nim praktycznie Artur Rimbaud, autor rozgłoszonego sonetu p. t. *Voyelles* *). Wprawdzie zadurzył sobie podobno Rimbaud z ludzi, jak twierdzi Morice, ale jego „Samogłoski“ obiegły mimo to cały świat cywilizowany i pobudziły do naśladownictwa wielu młodych dekadentów.

Więc Moréas, Kahn, Vignier, Ghil, Rimbaud i in. nie bredzą, gdy składają wiersze bez sensu, lecz pracują z pe-

*) Porównaj: „Na Schyłku Wieku“; str. 142—143.

na świadomością, trzeźwi i przytomni. Wytwarzają oni za pomocą „bardzo głęboko pomyślanej instrumentacji słowa“... *wrażenia, nastroje*, o czym powinien wiedzieć filister, biorący ich dzieła do ręki...

Zresztą i treść, sens odnajdzie w ich utworach każdy, kto nie żąda, aby autor ciągle za niego myślał. Trzeba tylko chcieć i umieć wniknąć w symbole. Tak zapewniają dekadenci.

Symbol?!... Symbolem można nazwać każdy typ artystyczny, wciela on bowiem całą grupę ludzi, cały szereg rysów, zebranych z różnych osobników. I porównanie, obraz, przenosi na symbolami.

Ale nie w takim — pospolitem — rozumieniu pojmują dekadenci symbol. Nie jest on dla nich środkiem pomocniczym, drugorzędnym, lecz główną, prawie jedyną formą wielonej myśli.

Pomiędzy „Kwiatami zła“ Baudelaire'a znajduje się poemat następujący:

Rubens — ogród lenistwa, rzeka zapomnienia,
Puch ciał świeżych, od których miłość stroni zdala,
Lecz gdzie życie wciąż kipi pełne ruchu, wrzenia,
Jak powietrze pod niebem, jako w morzu fala.

*

Da Vinci — duch jak głębia ciemnego zwierciadła,
W którym blade Anioły, z uśmiechy słodkimi,
Tajemnicą okryte wstają jak widziadła
W kraju zamkniętym lody i jodły smukłemi.

*

Rembrandt — pełen stłumionyci gwarów szpital smutny,
Gdzie tylko krzyż wyciąga ramiona olbrzymie,
Gdzie się z brudów modlitwa i płacz rwie pokutny,
I czarem zagnał przemknie błysk słaby, jak w zimie.

*

Buonarotti — otchłań, gdzie jawią się oku
Herkule i Chrystusy i sztywne jak struny,
Potężnych widm postacie powstające w mroku;
Które prostując palce, drą swoje całuny;

*

Wściekłości zapaśników. faunowe bezwstydy
 Tyś oddał z dumnym sercem, wyżółkły szkielecie,
 Wielki odkryweo piękna śród nędz i ohdy,
 Mocarzu galerników, tęskliwy Puget'eie!

*

Watteau — karnawał, kędy krocie sere szlacheŃnych
 Płomieniać się, unoszą motylemi loty,
 Tłum ozdób lekkich, świeżych, co przy ogniach świetnych
 Pająków — telną w balowy wir szału zawroty.

*

Gdy — z mora, — świat ciemny, gdzie więdmy trup dziecka
 Warzą podczas sabatów, gdzie u luster baby,
 A pończoszki dziew rzesza naga i zdradziecka
 Tak wdziewa, by szatanów skusiły powaby.

*

Delacroix -- przez piekiel opętany mary,
 Staw krwi pośród zielonych wiecznie sosen cienia,
 Kędy pod niebem chmurnem dziwaczne fanfary
 Płyną jakby Webera tłumione westchnienia.

*

Te przekleństwa, bluźnierstwa, te skargi, zachwyty,
 Te krzyki i ły rzewne i hymny weselne
 To przez sto labiryntów głos echem odbity,
 Opium boskie, co serea upaja śmiertelne;

*

To hasło, przekazane przez legiony straży,
 To rozkaz przez tysięczne tuby powtarzany,
 Majak, co się ze szczytu wież tysiąca żarzy.
 Sygnał w puszczy zbłąkanym myśliwcom podany.

*

Bo, zaprawdę, najlepsze godności swej, Panie,
 Świadeetwo, jakie ludzkość, składa Tobie, Bogu,
 Jest to wrzące przeciągłe z wieków w wieki łkanie,
 Co aż tam u wieczności Twej zamiera progul *)

Poemat ten, eksperyment niepospolitego majstra mo-
 wy wiązanej, jest źródłem symboliki współczesnych sym-

*) Les Phares; „Latarnie“; przekład M-skiego.

bolistów. Baudelaire nadużył w „Latarniach“ porównań, niemi się tylko rozmyślnie posługując. Ale mimo nagromadzenia samych symbolów, nie zapomniał o prawidłowej budowie wiersza i zwrotki, i o rozumnej treści. Kto widział płótna: Rubensa, da Vinci'ego, Rembrandt'a, Buonarotti'ego, Puget'a, Watteau'a, Goy'a i Delacroix'a, ten poznaje ich nie tylko odrazu, lecz podziwia nawet głębokość obserwacji Baudelaire'a i dar określenia kilku rysami subtelnych indywidualności arystycznych. To samo odnosi się prawie zawsze do utworów symbolistycznych Verlaine'a (*Il Bacio* i in.).

Aby się przekonać, co epigoni zrobili z kaprysu mistrza, wystarczy przypomnieć którykolwiek z przytoczonych wyżej utworów młodszych dekadentów. I Moreas posługuje się samymi symbolami, gdy mówi: „Dumna wiosna zdobywco, coś mnie nadużyła — I jakim fałszywym pozorem serce mi zламаłaś — Jaskółka obecnie uciekła na morze — Krzyk ptaka błotnego sprowadza nam deszcz — Przezorny rolnik, który myśli o swoich domkach — Siekierą ścina w smutnych lasach — Dąb, który rozpościera na ziemi swoje liście — Nieszczęśliwa jesieni, jak kocham twoje oblicze...“

Ta nieudolna paplanina dziecka, które nie umie jeszcze złożyć dwóch zdań w jedną całość i wyraża się za pomocą luźnych słów i wykrzykników, ma być symbolicznym obrazem jesieni. Jaskółka uciekła na morze — krzyk ptaków błotnych wróży deszcz — przezorny rolnik zabezpiecza chłate przeciw niedalekim mrozom... O! wszakże to jesień!

Albo wiosna Moreas'a.

— Zboża dojrzeją pod Rakiem płomiennym — I Bachus odrodzi się z grona wyciśniętego — Hyady przyjdą i przyjdą swoją drogą — Złowrogie przymrozki, które sieje Boreasz — Woda skrapla się z łagodnym szelestem, łąki olśniewają..!

Rozumie się, że to wiosna, odtworzona przepyszenie, z niepospolitym talentem... Któż śmiałyby wątpić?... Tylko nieuk, nie rozumiejący się na znaczeniu symbolów...

Dekadenci, przekonani o swojej niezbadanej głębi, nie domyślają się nawet, jak łatwo sięgnąć za ich wskazówką po laury wielkiego poety.

Potrzeba np. artyście obrazu symbolicznego wsi podczas żniw. Oto on:

I poczwórne fornalki spieszyły na pole — Trzy prosięta kąpały się w kałuży — Jastrząb krąży nad skrajem lasu — We dworze zamknięto drzwi i okna szczelnie {przed muchami — Kaśka palnęła przy snopkach Wojtka w kark — Ekonom, ocierając pot z czoła, kopnął psa — O, jak niecierpię gorąca lipca!...

Albo zima na wsi:

— Stangret klnie na koźle i dmucha w ręce — Dzie-dzie gra z gośćmi w winta — Chłop rąbie drzewo, tupiąc nogami — Dziewka leci przez podwórze, jak opętana — Kuropatwy, sieroty, zagrzebały się na polu w śniegu — Jastrząb siedzi osowiały na sośnie — W kuchni gotuje się bigos... O, jak zimno na dworze!...

Gdzie „głębia“ w tych drwinach? zapytają dekadenci, gdzie „przepaścistość“ Kahn'a, Ghil'a i in.? Zaraz będzie i... głębia tak głęboka, iż nawet symbolista nie dojrzy jej dna.

— Ku dalekim błękitom biegnie jego łza, w której — Przegląda się wieków i milionów pragnienie — Słowik siedzi na gałązce bzu i kwili — Dusza rozplywa się, jak woń róży stulistnej — Leżeć na miękkiej kanapie i patrzeć — Przez okno na księżyc, wyszedłszy z siebie — O, co za rozkosz nad rozkosze!

Cóż to takiego?! To marzenie, tęsknota, niedomyślny czytelniku.

Skoro tak łatwo o symbole, to zapewne trudniej o in-

strumentację słowa, o muzykę. Zastosowując receptę Ghil'a, można się bawić następującymi kombinacjami:

— Anno, oddano was Bogu, byście Panu Panów służyli, cna dziewo! Dość marzenia niemego, dość spazmowania, lamentu...

Nie tak... źle. Zachodzi zbyt często *u* i *n* (wątpliwość), *i* (żałoba, bolesć), *s* (gwałtowność), a miała być instrumentacja symbolu wspaniałości, przeto należało użyć częściej *a*, *o*, *m*. Więc:

— Anno, oddam wam Boga, mama domaga... plama duchowa — o, moja dziewo, modlitwa to rozkosz, cnota...

Gdy jakie słowo zawadza — opuszcza się je; gdy się zdanie nie klei — urywa się myśl i robi się jakiś dowolny znak pisarski; w razie potrzeby nie zważa się nawet na takie błahostki, jak przypadki, liczby. Byle słowa grały — zadanie poety spełnione.

E i *i* uzmysławiają bolesć, żalobę, a w połączeniu z *f*, *l*, *s*, wydają tony przeciągłe, tęskne. Naprzykład:

— Leniwie wlecze się wieczór jesienny; wtórują mu spojrzenia, mdlejące za welonem znudzenia; flety kwilą omłdlałem kwileniem, ciche, powiewne, senne, faliste...

Tak mniej więcej wygląda w karykaturze instrumentacja słowa.

Nie wszyscy dekadenci współcześni wiedzą prawdopodobnie, iż tajemnicę ich znali już grecy i rzymianie. Bo „instrumentował“ stary mistrz łaciński, gdy pisał: *Quadrupedante putrem sonitu quattit ungula campum*. Głównie czasy Antoninów, epoka dojrzałego rozkładu moralno-umysłowego, obfituje w podobne sztuczki techniczne.

A filozofia dekadentów, ich doktryna, tendencje?...

Przedewszystkiem mają się dekadenci za jedynych arystokratów ducha chwili obecnej, za najwytworniejszych. Wierzą oni, iż są najdoskonalszym typem człowieka cywilizowanego i patrzą z bezbrzeżną pogardą z wyżyn swoich

„wybrednych“ upodobań na przeciętnego śmiertelnika. Obecnie są cele i obowiązki gromad ludzkich, zwanych społeczeństwem. „Artyści wewnętrzni ducha,“ „wirtuozowie wytwornych wrażeń, rzadkich uczuć, cierpień i rozkoszy,“ drwią z przymiotów tak grubych, jak cnoty domowe i obywatelskie. Życie polityczne i społeczne nie obchodzi ich nic. Najwyższą radością „najdoskonalszego typu“ jest pokonanie literackich trudności technicznych, a jedynym celem wnikanie w pragnienia duszy rafinowanej. „Wygrzewać się jak dobra jaszczurka w rafinowanych rytmach sztuk“ — radzi Kahn. Morice skarży się na politykę, prasę, handel, przemysł, które „zagłuszyły piękno“ i gniewa się na służbę wojskową, odrywającą arystokratę ducha od wykończenia dwuwiersza. Podług Mallarmé'go istnieje świat tylko na to, aby mógł posłużyć do napisania ładnej książki.

Chore samolubstwo jest pierwszym rysem znamienym psychologii dekadenckiej. Niech ludzkość przepadnie, byleby jej program nie przeszkodził moim upodobaniom. Objętne mi są cierpienia i rozkosze milionów...

Z tego egotyzmu wypływa podkreślana ciągle w dziełach dekadencyjnych pogarda dla „tłumu,“ dla „motłochu.“ Plebejuszem nazywa się każdy, kogo nie zajmują: symbole, instrumentacja słowa, rytmy rafinowane.

Laissons le rustre, l'immonde
 Ignorant dénier à notre Apollon le prix
 Des larmes, pour ce qu'il est si bien appris
 A couvrir de beauté la misère du monde.
 Rions nous d'eux, mon Raymond, qu'un noble jeu
 Couronne de raemaux légers
 (Comme des ga. çons bocagers)

Nos coeurs pareils anx Cyclopes amis du feu -

pociesza Moréas Rajmonda de la Tailhède (*Le Pèlerin, Passioné*; str. 87). Nie zważaj na ordynaryjnego brudasa, który nie umie ocenić sztuki Apollina. „Mówiąc o sztuce,

nie można uwzględniać wielkich mas, one bowiem nie myślą samodzielnie i przedstawiają jedynie cyfrę“ — uczy Anatol Baju (*L'école décadente*; wyd. II; str. 9).

Z pogardy dla „motlochu“ wynika nieznamość dzieł dekadencjki. Kto nie pisze dla ludzi przeciętnych, ten niepotrzebuje się troszczyć o jasny wykład. Wtajemniczeni rozumieją się i bez kropki nad *i*, a nietylko rozumieją się lecz wolą nawet, gdy artysta potrąca za ledwo o symbol, zamiast go całkowicie odłonić, „nazwać bowiem przedmiot — oświadcza Mallarmé — znaczy to samo, co stłumić trzy czwarte przyjemności poematu, polegającej na szczęściu stopniowego domyślania się. Poddać przedmiot, oto marzenie.“

Dekadenci „poddają“ obrazy, idee, typy. Nie ich to nie obchodzi, że owo poddawanie naprowadza głowę zdrową rzadko na przedmiot właściwy.

Receptę tę wcielają nie sami tylko poeci. I ci z pomiędzy dekadentów, którzy posługują się także prozą (Kahn, Morice, Ghil) wyrażają się w taki sposób, że trzeba ich dopiero tłómaczyć na język rozumiały. Rhené Ghil np. rozpoczyna swoje „dzieło“ (*Oeuvre*) w sposób następujący: „Ale poezjom obcy, medytacya poety o Poezie, zakochanym w racjonalnym i milejącym marzycielu, jakim mi się być podobalo: od pierwszego zdarzenia w życiu umysłowem, moja nienawiść przypadku mówi tak. — W epokach naszej historyi rymotwórczej, z wrażliwości i uczucia jedynie, była, za przykładem innych metod sztuki, była metaforycznym notowaniem z wszechpotężnym uwzględnieniem chwili rozkoszy albo boleści intuicyjnych i egoistycznych osobistości poprostu genialnych. Poezya: a więcej, można-ż powiedzieć myśl, i nie są-ż naiwne, niezwykle i niebezpieczne wyobrażenie rozmyślnie, które w daremnej napuszonosci rozszerzały i troskę i pragnienie szczęścia kłamliwego i nieświadomego, zwyczajne widziadła nocy i rajów, w których nicości miały

miejsce i przechodziły światłość i zło teogonii miłości i przestrochu! i t. d.

Chyba to żarty! Bynajmniej, bo oto oryginał: „Mais aux Poésies étrange, méditation de poète du Poète épris de rationnel et du silent méditateur qu'il me plut être: dès la prime aventure en la vie d'esprit ma haine du hasard dit ainsi. — Aux Ages de notre histoire versifiante, de sensation et de sentiment uniquement, a été, à l'instar d'autres manières d'art, à été métaphoriques notations au gré omnipotent de l'heure de volupté ou de douleur d'intuitives et égoïstes personnalités nûment géniales! La Poésie: et plus haut, peut-on dire pensée, et ne sont-elles ingénues et extravagantes et dangereuses imaginations à propos, qui en l'emphase vaine propageaient et regret et désir d'un heur mensonger et ignorant, les ordinaires vision de nuits et de paradis en le néant desquels avaient lieu et passaient le lustre et le mal de théogonies d'amour et d'effroi!...

Niktby nie uwierzył, że ten barbarzyński żargon, ta gadanina obłąkanego, zachwyca umysły „wytworne,“ „typy doskonałe“ głębią i gienialną suggestyą, która sprawia im rozkosz niepospolitą. Bo na dnie tych szumnych słów, zestawionych bez łączników, złożonych dowolnie z rozmyślnem lekceważeniem składni, popstrzonych dziwaczną interpunkcyą, majaczy wistocie jakiś sens, jakaś teoria, ale tak zawiała i chora, iż nie warto jej nawet objaśniać. Niech „arystokraci ducha“ ślęczą nad takimi łamigłówkami. „Plebajusze“ obędą się doskonale bez mądrości dekadencckiej.

Nic zresztą ciekawego w tej filozofii „doskonalego typu.“ Odgrzewa ona stare, odwieczne halucynacje epok chorych — jest mistykiem w najgorszym gatunku.

Za przykładem Verlaine'a roztopiają się najmłodszy dekadenci w nabożności tak rozkochanej w kadzidłach, jarzących się świecach, w płaczu organów i w jęku dzwonek, iż czuć od niej zdaleka sztuczność. Ta robiona reli-

gijność (wiadomo, że i Baudelaire był wyznawcą katolicyzmu) nie chroni potomków „wielkiego przodka“ bynajmniej przed lubieżnością. Moréas „śpiewa“ między innymi: *)

N'ai-je pas promené ma main
Avec des luxures d'artiste
Sous des chemises de batiste
Embaumant l'ambre et le jasmin?

Sui generis nabożność dekadentów, powołująca się na zdanie Verlaine'a, który twierdzi, że „człowiek mistyczny i zmysłowy zostaje zawsze człowiekiem intelektualnym w różnych przejawach tej samej myśli, która ma swoje wyżyny i niziny“ (zrozum, kto może!), występuje najplastyczniej w powieści Huysmans'a *Là Bas*.

Kończąc charakterystykę współczesnego dekadentyzmu francuskiego, należy połączyć jego dziwactwa z Baudelaire'em, którego potomkiem się mianuje. Dopiero w takim oświeceniu nabierają jego „reformy“ znaczenia literackiego. Rozpatrywane jako szkoła sama w sobie, jako „wskazówki dla przyszłości,“ robią one wrażenie wybryku studenckiego.

Teofil Gauthier, jeden z pierwszych, który zrozumiał bardzo dobrze, dokąd zmierza zmęczony kilkowiekowym krytycyzmem duch cywilizowanej ludzkości, broniąc Baudelaire'a, mówił: „Literatura jest jak doba: ma ona swoje rano i południe, swój wieczór i swoją noc. Zamiast rozprawiać podaremnie o tem, co lepsze, czy jutrzeńka czy zmrok—trzeba malować tak, jak się tego domaga chwila obecna i posługiwać się paletą, zaopatrzoną barwami, tej chwili potrzebnymi. Czyż zachód nie może być równie pięknym, jak wschód? Nie przedstawiają-ż owe blaski miedzianoróżowe

*) Jan Moréas; „Les Syrtes“; wydanie nowe; 1892 r. str. 18.

i zielonozłotawe, owe tony turkusów, zlewające się z szafiranami — wszystkie te odcienia, palące się i rozkładające w ostatecznym wielkim pożarze, te obłoki dziwacznych i potwornych kształtów, przeniknięte błyskami świetlanemi, robiące wrażenie olbrzymiego zapadania się Babelu powietrznego — nie przedstawiają-ż one tyleż poezyi, ile różowopalca Aurora?*)

Zmrokiem wieczornym, zachodem słońca, nazwał Gauthier chwilę, która wydała „Kwiaty zła“ Baudelaire'a. Błaski młodej cywilizacji nie rzucały już na nią swoich łun różowych — poczynający się dzień nie owiewał jej wonnem tchnieniem świeżości. Jęki i przekleństwa długiego szeregu zawiedzionych pokoleń unosiły się nad nią, spoczynku wzywając.

Spadkobierca kilkuwiekowego krytycyzmu, wielkiej rewolucyi, łez romantyków i rozczarowań materyalistów, pozbawiony pociechy religii i szlachetnych wskazówek idealnego światopoglądu, Karol Baudelaire nie wierzył w dobroć ludzkości. Cnota i miłość, obowiązek i honor, rodzina i uczciwość, poczucie łączności ze społeczeństwem i służba obywatelska... nie mówiły już do niego nic, były dźwiękami pustemi. Gdy się urodzony sceptyk rozejrzał wokoło i porównał swoje marzenia z rzeczywistością, wówczas odwrócił się od niej ze wstrętem. Bo dokądkolwiek spojrzął, wszędzie dostrzegał tylko kłamstwo, niezgodę między zalecanemi hasłami a ich wcieleniem. Słyszał pospolitych samolubów, rozprawiających o ofierze, widział łotrów, strojących się w maskę prawości, zbrodniarzów, oburzających się na drobne przewinienia. Lubieżnicy udawali idealnych kochanków, wiarołomni mężowie kapłanów ogniska domo-

*) Karol Baudelaire; „Oeuvres Complètes“; ostatnie wydanie Lemerre'a; str. 19.

wego, rozwiążle żony czyste westalki. Kupiec oszukiwał odbiorcę, chlebodawca wyzyskiwał robotnika, mocny słabege, bogatszy uboższego. A cała ta gromada, mająca ciągle na ustach wielkie słowa i szlachetne cele, dążyła, spychając się, raniąc, mordując po drodze, do jednej mety... do pieniędzy i używania zmysłowego.

Rzucił się i Baudelaire w objęcia rozkoszy tej ziemi, ale i tu doznał zawodu. Brud i błoto znalazł sceptyk, szyderca, gdzie inni widzieli kwiaty, blaski i poezję. Człowiek zresztą nie może użyć tyle, ileby chciał, siły bowiem jego określają ściśle granice żądz. Kto przekroczy miarę dozwoloną, ten płaci za zuchwalstwo utratą zdrowia, ten cierpi.

Więc cóż warte życie, cóż człowiek? Nic! Cóż cywilizacya, która nie ulepszyła ani życia, ani człowieka? Również nic! Co Fatum, któremu się podobało stworzyć ludzkość? Znów nic!

Przeto należy oplwać człowieka, jego rozkosze, złudzenia i cele, — życie, jego nikczemność, — cywilizację, jej kłamstwo, Fatum — jego okrucieństwo.

Oto „Kwiaty zła“ Baudelaire'a.

„Zgrozą przepelnia mnie ta cała hałastrą nowoczesną — pisał Baudelaire do Ancelle'a *) — zgrozą wasi akademicy i liberałowie, — zgrozą cnota — zgrozą wasz styl i postęp...“ Podli jesteście wszyscy, głupi i obłudni, wszyscy kłamiecie, odurzając się hałastami, w które nie wierzycie.

Całą szlachetność i poezję życia oplwał ponury geniusz Baudelaire'a i zdarł z człowieka płaszcz purpurowy złudzeń, utkany przez pracę wieków. Nawet rozkosz zmysłową zozydził, gdy się przekonał, że i ona zawodzi.

Baudelaire wyśpiewał, wykrzyczał wszystko, co czuje

*) E. Crépet; j. w. str. LXXXV.

oszałały z bólu krytycyzm i zrozpaczone samolubstwo zmysłów, rozpętanych z więzów religii i obowiązku. Pesymizm na tle materializmu nie mógł już do „Kwiatów zła“ dorzucić ani jednego nowego listka. Rozległy geniusz Baudelaire'a ogarnął całą nędzę życia ludzkiego.

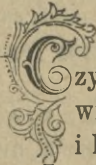
Ale wielcy mistrzowie nie przechodzą bezpotomnie.

Z posiewu ich wykwita zawsze pokolenie epigonów, rozbiegających pomiędzy siebie spuściznę początkodawcy kierunku. Verlaine wziął po Baudelaire sceptyczną zmysłowość i chorobliwy mistycyzm, Rollinat patologiczne upodobania i strachy neurastenika, Richepin bluźnierstwo. Żaden z nich nie osiągnął siłą i szczerością miary mistrza. Rozwałkowali oni tylko, rozwodnili poszczególne rysy jego indywidualności.

Gdy po Verlaine, Rollinacie i Richepinie przyszło nowe pokolenie poetów, wywodzące się z ducha Baudelaire'a, nie zostało już dla niego nic, oprócz właściwości technicznych „wielkiego przodka.“ I rzucili się najmłodszy dekadenci na „nastrojowość“ i „symbolizm,“ robiąc z nich to, co uczynili Verlaine z mistycyzmem, Rollinat z newrozą, a Richepin z bluźnierstwem — karykaturę. Jeżeli Baudelaire widzi z innych światów owoce swoich sztuczek artystycznych, to zacycka prawdopodobnie pięści z gniewu i mruczy: zgrozą przepelnia mnie ta śmieszna hałastra, która się do mnie przyznaje.

VI.

Maurycy Maeterlinck.

 Czytelnicy paryzkiego *Figara* dowiedzieli się któregoś wieczoru (w r. 1890) z artykułu znanego belletrysty i krytyka, Oktawiusza Mirbeau, że w Belgii narodził się i kwitnie geniusz, któremu należy się cześć całego świata cywilizowanego.

— Nie wiem nic o p. Maurycym Maeterlincku — pisał Mirbeau. — Nie wiem, z kąd on jest i jak się nazywa. Młody czy stary, bogaty czy ubogi, nie wiem. Wiem tylko to, że nie ma człowieka więcej odeń nieznanego. Wiem także, iż stworzył arcydzieło, — nie arcydzieło z góry jako takie etykietowane, podobne do tych, jakie codziennie wydają nam młodzi mistrzowie, wygrywający je na wszystkich tonach skomlącej liry, lub raczej skomlącego fleciku spółczesnego — lecz arcydzieło cudowne, czyste, wiekuiste... arcydzieło, wystarczające do unieśmiertelnienia twórcy i ubłogosławienia jego nazwiska przez wszystkich, spragnionych piękna i wielkości; arcydzieło, o którego napisaniu wielu artystów sumiennych i udręczonych marzyło niekiedy w chwilach entuzjazmu, a jakiego żaden dotąd nie napisał. Jednym słowem, p. Maurycy Maeterlinck dał nam najgenialniejsze dzieło epoki, dzieło zarazem najniezwyklesze i najnawniej-

sze, dające się porównać, a nawet — znajdziemy śmiałość to wyznać — wyższe co do piękności od wszystkich napięknieszszych rzeczy w Szekspirze. *)

Tem „arcydziełem cudownem, czystem, wiekuistem,“ tem „najgenialniejszym dziełem epoki“ ma być „Księżniczka Malena“ Maurycego Maeterlinck'a.

Rozumie się, że po tak bezprzykładnym w rocznikach krytyki hymnie pochwalnym, nieznany wczoraj autor stał się dziś rozgłośnym. Zaczęto się dopytywać o dzieła wielkiego belga, o jego przeszłość literacką i o życie prywatne.

Bogatej przeszłości literackiej nie miał za sobą twórca „Księżniczki Maleny.“ Znawczy współczesnej poezji francuskiej objaśnili publiczność, że Maurycy Maeterlinck pomieścił w „Parnasie młodej Belgii“ (*Parnasse de la Jeune Belgique*), wydanym w Paryżu w r. 1887-ym, dwanaście drobnych poematów (*Tentations, Oraison, Offrande obscure, Oraison nocturne, Reflets, Fauves las, Feuillage du coeur, Serre d'ennui, Visions, Lassitude, Ronde d'ennui, Desirs d'hiver*), do których dodał w dwa lata później dwadzieścia jeden innych, połączywszy je pod wspólnym tytułem *Serres chaudes* (1889 r.).

Zaraz pierwszy poemat owego cyklu, od którego reszta wzięła tytuł, zdumiewa przeciętnego śmiertelnika do tego stopnia, iż nie umie on sobie zdać sprawy z doznanego wrażenia. Mowa to człowieka zdrowego, albowi też majaczenie biedaka, któremu gorączka odebrała przytomność? A może to kaprys, żart poety?... Bo oto, jak Maeterlinck „śpiewa“ w „Cieplarni“ (*Serre chaude*):

*) Nie mając pod ręką oryginału, powtórzyłem ustęp z artykułu Mirbeau'a za Zenonem Przesmyckim, który dołączył do „Wyboru pism dramatycznych“ Maeterlinck'a (Warszawa, 1894 r.) obszerne studium o poezji belgijskiej. (Przyp. aut.).

O, cieplarni pośród lasów!
 I te drzwi twoje na zawsze zaparte!
 I wszystko to, co się znajduje pod twoją kopułą!
 I pod mą duszą w twoich analogiach!

*

Myśli głodnej królewny,
 Nuda żeglarza w pustyni,
 Muzyka instrumentów miedzianych pod oknami nieuleczal-
 [nych.

*

Idźcie ku kątom najbardziej wystygłym!
 Rzekłbyś kobieta zemdlona w dzień żniwa,
 Poeztylioni są na dziedzińcu gospody,
 W dali przechodzi łowca łosiów, który został dozorcą cho-
 [rych.

*

Przypatrzcie się przy świetle księżycal
 (Och, nie tam nie jest na swoim miejscu!)
 Rzekłbyś kobieta szalona przed sądem,
 Statek wojenny z rozwiniętymi żaglami na kanale,
 Ptaki nocne na liliach.
 Dzwon pogrzebowy w południowej porze,
 (Tam pod temi dzwonami szklannemi!)
 Postój chorych na łące,
 Zapach eteru w dzień słoneczny.
 Mój Boże, mój Boże, kiedyż będziemy mieli deszcz,
 I śnieg i wiatr w cieplarni.

To niezawodnie żart autora, pomyśli czytelnik, przywykły do poezji Sofoklesów, Horacyuszów, Tassów, Szekspirów, Goetych, Szyllerów, Byronów, Mussetów, Mickiewiczów, Słowackich i innych rymotwórców przeszłości. Maeterlinck chciał się zabawić kosztem naiwnych, uwielbiających wszystko, co drukowane, jak Rimbaud, gdy pisał swój sonet p. t. *Voyelles*. Ale nie żart to, żartu bowiem udanego nie powtarza się, „gieniałny“ zaś belg obrazuje w ten sposób jeszcze w kilku innych poematach (*Cloches de verre; Ame; Hôpital; Cloche à plongeur; Regards; Attouchements*).

„Szpital! szpital na brzegu kanału! — skarży się, płacze, śmieje (bo nie wiadomo co) Maeterlinck w „poemacie“ p. t. „Szpital“ (*Hôpital*).

Szpital w miesiącu lipcu!
 Zapalają ogień w sali!
 Podczas kiedy Transatlantyki gwizdzą na kanale!
 (O! nie zbliżajcie się do okien!)
 Emigranci przechodzą przez pałac!
 Widzę jacht podczas burzy!
 Widzę gromady na wszystkich okrętach!
 (Lepiej, aby okna były zamknięte,
 Jest się prawie ochronionym przed tem, co jest na zewnątrz).
 Ma się pojęcie cieplarni na śniegu,
 Zdaje się, że się obchodzi wywód w dzień burzy.
 Sposzrega się rośliny, rozrzucone na kołdrze wełnianej.
 Jest pożar w dniu słonecznym,
 A ja przechodzę przez las pełen rannych.
 O! oto nareszcie noc księżycowa!
 Strumień wody wznosi się pośrodku sali!
 Gromada małych dziewczątek odchyła drzwi!
 Dostrzegam jagniątko na wyspie z łąk!
 I piękne rośliny na lodowcu!
 I lilie w przedsionku marmurowym!
 Jest festyn w lesie dziewiczym!
 I wschodnia roślinność w grocie lodowej!
 Słuchajcie! Otwierają szluzę!
 A Transatlantyki poruszają wodę kanału!
 O! Ale siostra miłosierdzia, rozniecająca ogień!
 Wszystkie piękne zielone trzciny stromych brzegów płoną!
 Statek z rannymi kołysze się w świetle księżyca.
 Wszystkie królowne są w łódce wśród burzy!
 I księżniczki umarą na polu cykuty!
 O! nie odmykajcie okien!
 Słuchajcie! Transatlantyki gwizdzą jeszcze na horyzoncie!
 Otruwiają kogoś w ogrodzie!
 Obchodzą wielką uroczystość u przyjaciół!
 Są jelenie w mieście obłączonym!
 I menażerya wpośród lilii!
 Jest roślinność podzwrotnikowa w głębi kopalni węgla!

Gromada owiec przechodzi przez most żelazny!
 I jagnięta z łąk wkraczają smutne do sali!
 Teraz siostra miłosierdzia zapala lampy,
 Przynosi posiłek chorych,
 Zanknęła okna, wychodzące na kanał,
 I wszystkie drzwi na światło księżycyca.

Aby kto nie sądził, że przekład polski zaciera formę i fałszuje treść oryginału, należy jeszcze przytoczyć trzeci „poemat,” ale w języku francuzkim. Np. *Cloche à plongeur*.

O, plongeur à jamais sous sa cloche!
 Toute une mer de verre éternellement chaude!
 Toute une vie immobile aux lents pendules verts!
 Et tant d'êtres étranges à travers les parois!
 Et tout attouchement à jamais interdit!
 Lorsqu'il y a tant de vie en l'eau claire au dehors!
 Attention! l'ombre des grands voiliers passe sur
 les dahlias des forêts sousmarines;
 Et je suis un moment à l'ombre des baleines
 qui s'en vont vers le pôle!
 En ce moment, les autres déchargent sans
 doute, des vaisseaux pleins de neige dans le port!
 Il y avait encore un glacier au milieu des prairies des juillet!
 Ils entrent à midi en des grottes obscures!
 Et les brises du large éventent les terrasses!
 Attention! voici les langues en flamme du Gulf Stream!
 Ecarterez leurs baisers des parois de l'ennui!
 On n'a plus mis de neige sur le front des fiévreux;
 Les malades ont allumé un feu de joie
 Et jettent à pleines mains les lys verts dans les flammes!

I tam dalej... jeszcze przez wierszy czternaście majączy Maeterlinck w ten sam sposób.

Więc to nie żart, nie chwilowy kaprys, wybrzyk dobrego humoru, lecz metoda, składająca takie dziwactwa rozmyślnie i ze świadomością!...

Zenon Przesmycki, najlepszy u nas znawca dekadentów belgijskich i gorący wielbiciel Maeterlinck'a, zużył bar-

dzo dużo mądrych słów, usiłując wmówić w naiwnych, że „Cieplarnie“ są „książką niezwykłą, zdumiewającą głębią zawrotnymi.“ Bo „jak w puszczy dziewiczej, pod gęstemi splotami lian, głógów, cierni i pokrzyw, tak kryją się i w „Cieplarniach“ kwiaty olśniewającej piękności i przyjemnej woni, ale i w nich też, tak samo jak w puszczy dziewiczej tylko pionier, znający się dobrze z tą podzwrotnikową roślinnością symbolów, potrafi się obrócić. Zwykły czytelnik-wędrowiec cofnie się częstokroć z osłupieniem przed chaotyczną gęstwą analogii, nie czując się na siłach do przebycia jej bez przewodnika, umiającego według oznak charakterystycznych odszukać tropy myśli.“ *)

Być może, iż oprócz Przesmyckiego, znajduje się i w naszym kraju jeszcze kilku, kilkunastu „arystokratów ducha“ wyjątkowo utalentowanych, którym rozwiązywanie takich niesmacznych łamigłówek sprawia „rozkosz rafinowaną, niezwykłą“; znakomita jednak większość tak naszej, jak inteligencji innych społeczeństw cywilizowanych, nie ma wcale ochoty i potrzeby doszukiwać się, wyczuwać w obłąkanej gadaninie pierwszego z brzegu historyka owych „kwiatów olśniewającej piękności i przejmującej woni,“ które mają się ukrywać pod „gęstemi splotami lian, głógów, cierni i pokrzyw.“

Ta znakomita większość, ci „zwykli czytelnicy-wędrowcy,“ czyli „plebejusze,“ „mctłoch,“ „tłum,“ wyrażając się terminem dekadentów, nie „cofają się bynajmniej z osłupieniem przed chaotyczną gęstwą analogii, nie czując się na siłach do przebycia jej bez przewodnika,“ lecz bawią się zrazu doskonale „głębią“ Maeterlinck'a, jak czems bardzo

*) Maurycy Maeterlinck; „Wybór pism dramatycznych.“ Warszawa 1894 r.; „Wstęp“; str. XL.

śmieszem, a następnie odsuwają książkę, aby do niej więcej nie wrócić.

Co Przesmycki mówi o symbolistyce francusko-belgijskiej, warto powtórzyć, objaśnienia bowiem jego rzucają sforyczne światło na chaos pojęć estetycznych chwili bieżącej.

— Dzięki długiej tradycji i nawyknieniu do myślenia abstrakcyjnego — mówi Przesmycki — to ostatnie wydaje się nam pierwotnym, właściwym sposobem odbierania i oddawania wrażeń. Tak wszakże nie jest. Wrażenia nasze są natury konkretnej — w pierwszych stadyach rozwoju intelektualnego ludzie oddawali je również konkretnie, obrazowo. W miarę formowania się i rozwijania pojęć abstrakcyjnych, świeżość bezpośrednich, obrazowych wrażeń słabła, obumierała, odcienia ich zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne zacierały się, poczęto machinalnie każdą, za pośrednictwem któregośkolwiek ze zmysłów mózgowi podaną żywą impresję przetwarzać na martwe pojęcia abstrakcyjne, podciągać pod jedną z kategorii oderwanego myślenia — i dziś przetworzenie myśli w obraz i zachowanie samego obrazu z odrzuceniem abstrakcyjnych wiązań wydaje się czemś nienaturalnem, niezwykłym, sztucznym, późniejszym, gdy tymczasem jest ono właściwie nawrotem do pierwotnego sposobu odbierania wrażeń, do — poprzedzającego oderwane — konkretnego, obrazowego myślenia. Nawrót ten jest rzeczą naturalną u każdego poety. — Poezya — jako wytwór wyobraźni przedewszystkiem — na obrazach wyłącznie się opiera i nie znosi abstrakcyi. Dlatego nie ma — rzec można — poezyi bez symbolu; każdy poeta jest mniej lub więcej symbolistą (j. w.; str. XLII).

Zdawało się prawdopodobnie Przesmyckiemu, iż, wygłaszając spostrzeżenia powyższe, wypowiedział coś niezwykle nowego. Tymczasem o tem, że tworzenie konkretne poprzedziło abstrakcyjne i że wszelka poezya jest po-

niekąd symboliczną, wie oddawna każdy podręcznik estetyczny. Nikomu z ludzi przeciętnie wykształconych nie „wydaje się“ wcale, iż „myślenie abstrakcyjne jest pierwotnym, właściwym sposobem odbierania i oddawania wrażeń,“ nauczono go bowiem już w szkołach prawdy wręcz przeciwnej. Człowiek zaczyna rozpoznawać otaczający go świat nie za pomocą abstrakcyi, lecz za pośrednictwem obrazu. Ludzie nieucywiliżowani lub pozbawieni krytycyzmu — dzieci, chłopci, dzicy, obłąkani — nie wychodzą nigdy z ciasnego kółka wrażeń konkretnych. Jeżeli Zulusi, Kafrowie i inni synowie dziewiczych lasów Afryki posiadają jaką poezję, to jest to niezawodnie „sztuka symboliczna“ w rodzaju eksperymentów ostatnich mistrzów francusko-belgijskich.

— Wyobraźnia Maeterlinck'a — mówi dalej Przesmycki — jest szczególna, nie dzisiejsza, wolna — zda się — zupełnie od tyle wrogiego poezyi, a tak rozpowszechnionego obecnie pasorzyta abstrakcyjności. Na podobieństwo natur pierwotnych, spostrzega ona nasamprzód obraz i — rzecz można — wyłącznie obraz tylko. Malowidła, jakimi są jego poematy, przedstawiają żywą notację odbieranych przezeń — w plastycznym, zmysłowym kształcie — wrażeń. Nawet pojęcia czysto oderwane przywdziewają u niego szaty malowniczych, podległych zmysłom wizyj. Po za temi ostatnimi dopiero — niekiedy jemu samemu, niekiedy może czytelnikowi zaledwie — otwierają się niezmierzone perspektywy myślowe, sięgające najdalszych, zmysłom niedostępnych, umysłowi niepojętych sfer bytu... Maeterlinck każe patrzeć i odczuwać... Maeterlinck jest malarzem-wizyonistą, obrazy jego nie wrażają nam żadnej wyraźnie zarysowującej się idei, lecz otwierają myślom naszym niezmierzone horyzonty; poematy jego, to wielka wizya świata i życia, która dopiero w duszy stających nagle przed nią czytelników wrzenie potężne wrażeń, uczuć, przecuć i — wreszcie — myśli rozbudza (j. w. str. XLIV i XLV)... Wszystkie pra-

wie nierymowane ustępy i wiele „Cieplarni“ rymowanych, są zdumiewającemi zawrotną głębią — o ile się w nie wczytać — notatami z olbrzymiego widowiska przejawów nieskończoności, jakie roztoczyło się przed bystrem i żądnem okiem poety (str. LIII). Wszystkie myśli poety grawitują wizjonistycznie ku absolutowi, ku nieskończoności, ku wiekuistej, nieziennej, lecz też najgłębiej ukrytej, na powierzchni dostrzedz się nie dającej, zmysłom nieznaney i niedostępnej treści istnienia. Świat przedstawia się mu jako byt jeden całkowity, nierozzerwalny, powszechny, w którym wszystkie pozornie dywergujące i nieprzebytymi granicami od siebie oddzielone sfery, części i dziedziny są odwiecznie i na wieki powiązane z sobą, w nieustannej znajdują się korespondencyi, nieustannie wpływają na się i w każdym najdrobniejszym wypadku wzajemnie się odczuwają. Związek ten i harmonię utrzymuje między nimi wspólny wszystkim bez wyjątku, rzeczywistą wszystkich istotę stanowiący i wszystkie do jednej sprowadzający całości — pierwiastek Nieskończoności (str. XLVIII).

Słowa, słowa, słowa! możnaby zawołać z Hamletem, a słowa miejscami tak „zawrotne głębią zawrotną,“ tak ociężałe i z takim wysiłkiem sklecone, iż zaciemniają jeszcze więcej zamiast rozjaśniać tajemnicę twórczości Maeterlinck'a. Zawodzi się wogóle, kto się od samych dekadentów-symbolistów lub ich wielbicielew chce dowiedzieć, dokąd panowie ci dążą, czego chcą, o czym marzą.

„Cieplarnie“ Maeterlinck'a mają być „książką niezwykłą, zdumiewającą głębią zawrotną i nowością środków, użytych do oddania tych głębin“... Czy tak?

Więc gdy ktoś mówi:

O, cieplarni pośród lasów!
I te drzwi twoje na zawsze zaparte!
I wszystko to, co się znajduje pod twoją kopułą!
I pod mą duszą w twoich analogiach!

*

Myśli głodnej królowej,
 Nuda żeglarza w pustyni,
 Muzyka instrumentów miedzianych pod oknami neuleczal-
 [nych.

*

Idźcie ku kątom najbardziej wystygłym!
 Rzekłbyś, kobieta zemdlona w dzień żniwa,
 Poczytylii są na dziedzińcu gospody,
 W dali przechodzi łowca łośiów, który został dozorcą cho-
 [rych i t. d. —

wówczas „zdumiewa notatami z olbrzymiego widowiska przejawów nieskończoności“... „grawituje wizyonistycznie ku absolutowi, ku nieskończoności, ku wiekuistej, niezmiennej, zmysłom nieznanej i niedostępnej treści istnienia,“ i odrzuciwszy „abstrakcyjne wiązadelka“ wraca jako artysta do „pierwotnego sposobu odbierania i wyrażania swoich wrażeń?“

Pod względem formy przypominają „Cieplarnie“ Maeterlinck'a wistocie nie tylko pierwotny, ale wprost najpierwotniejszy sposób odbierania i wyrażania wrażeń, — owe czasy, w których człowiek mieszkał w jaskini i różnił się bardzo mało od otaczających go zwierząt. Tylko ludzie, znajdujący się na najniższym stopniu cywilizacji, zestawiają wyraz obok wyrazu, następnie zdanie obok zdania, nie umiając ich połączyć żadnymi „wiązadelkami abstrakcyjnymi“ i przetkać nicią logiczną. Tylko dzicy, posługują się urwanymi obrazami i wykrzyknikami, i wierzą, że tworzą poematy, gdy wprawiają szereg słów bez znaczenia w jakis zaledwie pochwytny rytm muzyczny.

Ale treścią — o ile się w nią można wczytać, wmysłec — odbiegł Maeterlinck bez porównania dalej od poezji pierwotnej, naiwnej, aniżeli najwięcej abstrakcyjni poeci narodów cywilizowanych. Bo nawet Dante, Wiktor Hugo,

Krasiński nie sięgali po obrazy i analogię do mętnego źródła halucynacyi.

Maeterlinck wystawia sobie cieplarnię pośród lasów! — Dlaczego pośród lasów, kiedy cieplarnie bywają zwykle przy ogrodach... A w tej cieplarni są drzwi na zawsze zamknięte. — Dlaczego na zawsze zamknięte?... Widok cieplarni z zamkniętymi drzwiami budzi w nim: myśli głodnej królowej, uczucia żeglarza znajdującego się, w pustyni, wrażenie muzyki dętych instrumentów pod oknami nieuleczalnych, — pokazuje mu kobietę, zemdloną w dzień żniwa, pocztylionów na dziedzińcu gospody, niewiastę szaloną przed sądem, ptaki nocne na liliach... i mnóstwo podobnych widziadeł.

Dlaczego Maeterlinck doznaje wrażeń, uczuć i dostrzega obrazy, których żaden człowiek zdrowy nie doznaje, nie dostrzega? Komuż-bo przyjdzie na widok cieplarni na myśl: kobieta szalona przed sądem, rozpacz głodnej królowej, muzyka dętych instrumentów pod oknami nieuleczalnych, ptaki nocne na liliach i t. d. Nawet wino nie działa w taki sposób na wyobraźnię.

Dlaczego, zkąd te wszystkie dziwactwa?... Bo Maeterlinck jest albo wistocie chorym albo też sztucznie robionym historykiem, — albo ulega znanym halucynacyom newrozy lub też naśladuje rozmyślnie jej straszliwe nieraz, a zawsze dziwaczne majaki. Już Baudelaire odtwarzał strachy i przywidzenia neurasteników. To samo czynił Rollinat. Ale pierwszy umiał nawet tak niewdzięczny materiał przepić na prawdziwą poezję, na obrazy, wykończone artystycznie, drugi zaś, chociaż nie dorósł mistrzowi, jest zawsze zrozumiałym, wypukłym — daje wrażenie.

Maeterlinck ułatwił sobie robotę: wskazówki sztuki rymotwórczej pominął, z logiki zadrwił, zdrowym rozsądkiem wzgardził. Zestawił on poprostu szereg obrazów, uczuć i myśli, nie pozostających ze sobą w żadnym związku — tak, jak mu przyszły do głowy — nie trudząc się

ich „powiązaniem abstrakcyjnym,“ czyli gramatyką i składnią.

Gramatyka, składnia, rytm, rym, sens, całość, zaokrąglona artystycznie — to rzeczy tak błahe, tak sztuczne, iż nie warto ich uwzględniać. „Pierwotny sposób odbierania i wyrażania wrażeń nie był abstrakcyjny,“ czyli dobrze obmyślany, staranny pod względem formy i treści.

Niezawodnie... Ale nawet „sposób“ najpierwotniejszy nie wystawiał sobie „wschodniej roślinności w grocie lodowej,“ a „roślinności podzwrotnikowej w głębi kopalni węgla,“ — nie widział „pięknych roślin na lodowcu,“ „menażeryi pośród lilij,“ „błądzącego szalu cielesnego na jadowitych błoniach zdarzeń,“ „księżycy, który był cały zielony od żmij,“ „żółtych psów grzechów,“ — nie odczuwał „pragnień chorych z głodu“ — nie kazał „sercu wysiewać mydlanych baniek snów liliowych,“ a duszy „wątlami, woskowymi rękami polewać znużonego światła księżycy“ i t. d.

Do tak „zawrotnych głębią“ obrazów nie wznosił się „sposób pierwotny“ ani razu, czego dowodem poezya ludowa wszystkich plemion.

Więc nie prostą, naiwną jest fantazya Maeterlinck'a, lecz — przeciwnie — sztuczniejszą od najsztuczniejszej, najwybredniejszej wyobraźni poetów cywilizacyi. Lubuje się ona w przenośniach i porównaniach „niezwykłych,“ „dziwnych,“ „zdumiewających,“ grzebie się w mule mistycznym, zanurza się w fantastycznych mgłach ciemnej nocy, widząc rzeczy, których oko zdrowe w dzień jasny nie dostrzega.

Ta właśnie dziwaczność obrazowania Maeterlinck'a jest ową „zawrotną głębią,“ dostępną tylko dla „arystokratów ducha.“ Dlatego, że obłąkanej gadaniny autora „Cieplarni“ nikt nie rozumie — ma ona być bezdennem morzem uądrości.

Nawet „wybrani,⁶ smakosze rafinowanych rozkoszy, nie umieją sobie zdać sprawy z zamiarów Maeterlinck'a.

— Symbolistyka w „Cieplarniach“ — mówi Przesmycki (j. w., str. XLV) — jest jeszcze przeważnie *nader chaotyczna i ciemna*. Analogie zbyt wązkie, zbyt szczegółowe, a skutkiem tego zbyt liczne, niekiedy utrudniają, niekiedy zaś *uniemożliwiają poprostu zorientowanie się w obrazie ogólnym*. *Obrazu tego, właściwie mówiąc, nie ma tu nawet jeszcze, jest tylko moc szkiców i studyów do jakiejś wielkiej kompozycji*. Sama kompozycja daje się wprawdzie przewidywać; zbadawszy uważnie składające „Cieplarnie“ utwory, możemy z całą pewnością prawie wnioskować, jaką była idea, czy wizya, absorbująca ducha poety, *ale konkretnego, ogarniającego całość odbicia tej wizyi jeszcze nie mamy*; szczegóły tylko, partye oddzielne, oświetlenia rozmaite, plany pojedyncze, części najzwyczajsze lub też najbardziej w cieniu pograżone, materyały — jednym słowem — do przyszłej budowy. Niektórych jest zbyt wiele, niektórych za mało, ale ze sposobu ich zbierania widzieć można, iż jakkolwiek artysta nie jest jeszcze *w stanie objąć w wykonanie całości*, w wyobraźni wszakże rysują mu się już ogólne, *choć jeszcze zamglone zarysy przyszłego dzieła*.

Symbolika w „Cieplarniach“ jest przeważnie chaotyczna i ciemna; analogie uniemożliwiają zorientowanie się w obrazie ogólnym; obrazów, właściwie mówiąc, nie ma w nich jeszcze, nie ma konkretnego, ogarniającego całość odbicia, autor nie jest jeszcze w stanie objąć w wykonaniu całości, bo rysują mu się dopiero zamglone zarysy przyszłego dzieła... Mimo tych wszystkich wad, których się najmłodszemu nie przebacza nowicyuszowi, mają „Cieplarnie“ być dziełem „zdmiewającym głębią zawrotną, pełnem kwiatów olśniewającej piękności i przejmującej woni“... Jakże pogodzić te dwa sądy, stojące tuż obok siebie? Chyba tylko za pomocą starego spostrzeżenia, które uczy,

że gdy ktoś chce w kieliszku brudnej wody dostrzedz koniecznie morze fal błękitnych, to widzi ostatecznie, czego pragnie. Czasy dekadencji grecko-rzymskiej znają sofistów i retorów jeszcze „głębszych“ od Maeterlinck'a. Tak samo epoka mistycyzmu średniowiecznego.

Co wielbiciele „mistrza“ belgijskiego nazywają „zawrotnością“, jest poprostu przewrotnością i niedołęztwem głowy chorej, bałamutnej, albo też sztuczką kuglarza literackiego, który, zmiarkowawszy, co się obecnie „wytwnorisiom“ estetycznym podoba, doprowadził eksperymenty dekadentów francuskich do *absurdum*.

Zdaje się, że pierwsze przypuszczenie będzie prawdziwe, oprócz bowiem „poematów“ w rodzaju „Cieplarnia“, „Dusza“, „Szpital“ i t. p. pomieścił Maeterlinck w swoich *Serres chaudes* kilkanaście drobniejszych utworów, z których snują się gęstemi kłębami wyziewy niezdrowego mistycyzmu.

Oto, jak się Maeterlinck modli (*Oraison nocturne*):

Śród modlitw, co znikają senne
W miękkiej widziadeł omdłości,
Słyszę bijące namiętności
I wracającą żądz Gehennę.
*

Widzę miesiąca blask bolesny
Śród zniechęcenia nocnych marzeń;
Na jadowitych błoniach zdarzeń
Widzę błądzący szal cielesny.
*

Czuję, jak pełnią moje szpiki
Żądzą zielonych widnokręgów;
Śród wiecznie chmurnych nieba kregów,
Głód straszny cierpię, głód gwiazd dziki.
*

Czuję, jak w duszy mej potoku
Źródło tkliwości grzesznych tryska;
Widzę zwodnicze trzęsawiska
Na widnokręgu w zaćmieni mroku!
*

i mrę pod gniewu Twego mocą;
Litości, Panie! mań za wiele.
Ukaż choremu leków ziele,
Widziane raz miesięczną nocą.

*

Czas, Panie, czas już, dni nastały...
I wyciąć trzeba szalej, chwasty!
Widzę przez żądź mych gąszez kolezasty,
Księżyce od żmij zielony cały.

*

Ból snów napływa wciąż surowiej
Z grzechami swemi w oczy moje;
Słucham, jak biją modre zdroje
Ku Absolutu księżycowi.

Albo (*Feuillage du coeur*):

Pod kryształowym modrym dzwonem
Mej melancholii i znużenia,
Drzemią niejasne me cierpienia,
Śpią w sereu mem znieruchomionem.

*

Symbolów samych to roślinność,
Rozkoszy smętne nenufary,
Palmy, żądz moich blade mary,
Mehów chłód, omdlała lian bezczynność.

*

I tylko lilia wznosi w górę,
Błada, surowa, wątła, cicha,
Nieruchomego kształt kielicha
Ponad rośliny te ponure.

*

A w blaskach, które wokół sieje
Jak miesiąc pełny, — ku kryształom
Błękitnym, marą lekką, białą,
Mistyczna jej modlitwa wieje. *)

I jeszcze jedna modlitwa w języku oryginalnym, przekład bowiem polski, chociażby tak dobry, jak Zenona Prze-

*) Przekład Z Przesmyckiego.

smyckiego, nie jest w stanie oddać kolorytu Maeterlinck'a. Np. drugi z rzędu utwór, pomieszczony w nowem wydaniu, „Cieplarni,“ *Oraison*. **)

Ayez pitié de mon absence
 Au seuil de mes intentions!
 Mon âme est pâle d'impuissance
 Et de blanches inactions.

*

Mon âme aux oeuvres délaissées,
 Mon âme pâle de sanglots
 Regarde en vain ses mains lassées
 Trembler à fleurs de l'inéelos.

*

Et tandis que mon coeur expire
 Les bulles des songes lilas,
 Mon âme, aux frêles mains de cire,
 Arrose un clair de lune las;

*

Un clair de lune où transparaisent
 Les lys jaunis des lendemains;
 Un clair de lune où seules naissent
 Les ombres tristes de ses mains

„Nieobecność na progu chęci“ — „dusza blada z białych bezczynności“ — „blada od łkań i spoglądająca napróżno na swe dłonie znużone, drżące nad kwieciem nierozkwitłym“ — „polewająca wążkami, woskowemi rękami znużone światło księżycy, w którym rodzą się jedynie smutne cienie rąk“ — „serce wyziewające mydlane bańki snów liliowych“ i t. p. „głęboko pojęte,“ „zawrotnie“ pomyślane obrazy zachwyca może jakiego mistyka lub zblazowanego dekadenta w rodzaju księcia des Esseintes Huysmans'a (*A rebours*),

**) Mauryey Maeterlinck; „Serres chaudes“; nouvelle édition; Bruksella, 1890.

przeciętnego jednak śmiertelnika pobudzą nie do kontemplacji, lecz do pustego śmiechu.

Jeden z dekadentów, Remy de Gourmont, drwi gdzieś z tych, „co nie chcą rozumieć.“ Można-ż rozumieć albo nie rozumieć takie potworności, jak „duszę, polewającą wątlami, woskowymi rękami znużone światło księżyca,“ albo „serce, wyziewające mydlane bańki snów liliowych“?... Bawić się tylko można sztucznym mistycyzmem Maeterlinck'a, albo litować nad jego chorym mózgiem. Bo takie obrazy trzeba zrobić, gdy się nie postradało zmysłów doszczętnie. Najbujniejsza wyobraźnia, dopóki chce sobie zdawać krytycznie sprawę z doznanych wrażeń, nie zdobędzie się na podobne dziwa.

A wcale nie tak trudno wymyślić „głębię“ Maeterlinck'a, jak się jego przyjaciółom zdaje. Wystarczy przyjąć kwiat do kożucha, przyłożyć pięść do nosa, wsadzić but na głowę, kapelusz na nogi, pluć na biurko, kąpać się w rynsztoku, nazwać matkę ciotką, ojca pradziadkiem, gołębia kurą, słowem, czynić i wyrażać się inaczej, jak wszyscy ludzie.

„Spojrz na żółtą duszę moją, o Panie — I na serce, które jęczy w splotach miedzianych żmij — I ulituj się nad czarnymi łzami, — Bo czarne łzy bołą, o Panie.

— Spójrz na ręce moje, o Panie, — Na ręce, krzyczące w niebogłoso, o Panie, — Na ręce, umierające z głodu znużonych gwiazd — O, Panie, płaczących jagniątek rozkoszy.

— Serce moje, zdeptane na progu niedołęztwa, — Dusza moja, stoczona przez mrówki żółtych grzechów, — Ciało moje, wyniszczone w boju ze słodkimi kwiatami rozpusy — Wyciąga do ciebie schwacone nogi, o Panie.

— Dusza moja, niebieska od łkań, zielona od konwulsyj, — Zmęczona polewaniem znużonego światła księżyca, —

dusza moja, pijana wyziewami grzesznych tklivosti, — Rozpada się na cuchnące strzępy, o Panie...“

Cóż to takiego?... To bardzo „głęboka“ modlitwa, ułożona podług recepty Maeterlinck'a.

Wielbicie „genialnego“ belga widzą w nim proroka przyszłości. Nie-wielbicie dostrzegają w nim tylko karykaturę francuskiego dekadentyzmu. Jego „Cieplarnie“ są ostatnim wyrazem rozkładu formy i treści. *)

*) Na t. zw. reformatorskie idee na polu dramatycznym zwróciłem uwagę w poprzednim studyum mojem p. t. „Na Schyłku Wieku“ (od str. 204—212).
(Przyp. aut.).

VII.

Dekadentyzm w powieści francuskiej.

Dekadentyzm w ścisłym rozumieniu eksperymentuje dotąd głównie na polu poezji i dramatu. Więcej do życia zbliżona powieść nie nadaje się do jego sztuczek technicznych, stanowiących znaczniejszą część jego „reformy.“

Jorris Karol Huysmans nie przestał być prawie jedynym przedstawicielem dekadentyzmu w powieści francuskiej, chociaż od jego *A rebours* **) upłynęło lat dziesięć.

Po *A rebours* napisał Huysmans powieść p. t. *Là-Bas*, która ilustruje dostatecznie zamęt pojęć estetycznych i moralnych dekadentyzmu.

Z pierwszych stronnic *Là-Bas* dowiaduje się czytelnik od Huysmans'a, że hasła, które ożywiały literaturę piękną drugiej połowy bieżącego stulecia, przebrzmiały, okazawszy swoją niemoc.

Dwóch przyjaciół, literat Durtal i lekarz des Hermies, rozmawiają o naturalizmie, a chociaż pierwszy broni „uczonych artystów,“ czyni to tylko dla podtrzymania dysputy, i on bowiem wierzy w upadek doktryn naturalistycznych.

**) Porównaj studjum p. t. „Na Schyłku Wieku“ od str. 145-149

Nie jaskrawość tematów, nie jego zmysłowość zarzuca des Hermies naturalizmowi, lecz głównie popolitość, brud idei.

Bo trzeba być bardzo ciasną i płaską głową — twierdzi des Hermies — aby zagrzeznąć w ciele, odrzuciwszy wszelki pierwiastek duchowy, i nie rozumieć, że właściwa sztuka zaczyna się dopiero tam, gdzie się zmysły kończą. Naturalizm był ordynaryjnym mieszcuchem, który uwielbia amerykańskie, episierskie pojęcia i obyczaje naszych czasów, uznaje tylko prawa brutalnej siły i walki o byt i ubóstwa jedynie kasę ogniotrwałą. Sługa motłochu, niewolnik zwierzęcych instynktów człowieka, wykluczył on z literatury całą szlachetność i podniosłość życia, jego dumne cele i tęsknoty do ideału. Przedstawiciel idei mieszczańskich wyrażał się, czuł, marzył, pragnął, jak plebejusz. W jego dziełach nie ma ani jednej myśli, odnoszącej się do życia, do duszy, ani jednego słowa gorętszego. Nie mając ludziom nic do powiedzenia, zarzucał ich plugawemi powieściami, obrazami rozpusty, zbrodni, nizezemności, pobudzającemi zwierzęce apetyty człowieka.

Tego samego mniej więcej zdania jest główny bohater *Là-Bas*, literat Durtal, i on bowiem czuje, że doktryny, które go dotąd prowadziły, przeżyły się i zwiędły. Marzy on o nowej formie literackiej, o „naturalizmie spirytualistycznym,” któryby połączył obserwację z intuicją i wyobraźnią.

Po takim wstępie należałoby się spodziewać dzieła, oczyszczonego z brudów naturalizmu, jakiejś mieszaniny Flaubert'a i Feuillet'a — zdrowych ludzi, jasnych obrazów, podniosłych i głębokich myśli.

Postacie, występujące w *Là-Bas*, nie mają na sobie rzeczywiście ran, wrzodów, nie są kalekami, pijakami, zbrodniarzami z urodzenia, nie kradną, nie walają się w rynsztokach, nie zabijają, ale mimo to nie zaszkodziłaby im nic kuracja hydropatyczna. Albo zmęczeni ludźmi i życiem, jak

Durtal i des Hermies, albo dziwacy, jak dzwonnik kościoła Sain-Sulpice, Carhaix, lub w końcu choroby nerwowo, histeryczni, jak pani Chantelouve, nie odznaczają się wcale zdrowiem duchowem.

Durtal, wychowaniec pozytywizmu w nauce i w literaturze, nie wierzy w świat nadprzyrodzony, a mimo to uznaje wpływy, istniejące po za granicami obserwacyj zmysłowych.

„Bo jakże przeczyć tajemniczości, — filozofuje za niego autor — która przejawia się wszędzie, wokoło nas, przy każdej sposobności?“

Nawet w sile tak na wskroś doczesnej, jak w pieniądzech, dostrzega Durtal widoczną, choć dla śmiertelnika niezrozumiałą logikę postępowania. Pieniądze nie są bezwolnem, martwem narzędziem w ręku człowieka. Rozdziela je ktoś świadomie, przywiązawszy do nich prawidła niezienne.

— Pieniądze — mówi Huysmans *) — przyciągają się nawzajem, gromadzą się zwykle w tych samych miejscach, idą najchętniej do zbrodniarzów lub miernot. A gdy się zdarzy, że znajdują się wypadkiem w ręku bogacza, którego dusza nie jest ani występna, ani nikiemna, wówczas bywają bezpłodne, niezdolne do czynu rozumnego. Można by powiedzieć, że mszczą się w ten sposób za to, iż dostały się do rąk niewłaściwych, że obezwładniają się własnowolnie, gdy nie należą do przebiegłych lub brutalnych.

— Jeszcze dziwniejsze stają się pieniądze, gdy zabłądzą do domu ubogiego. Wówczas płamą natychmiast uczciwego, budzą w najczystszy mędzarzu chucie zmysłowe, działając równocześnie na ciało i duszę, zaszczipiają we właścicielu niskie samolubstwo i nikiemną pychę, uczą go wydawania pieniędzy tylko w celach osobistych, zamieniają naj-

*) J. K. Huysmans: „Là-Bas“; wydanie II; 1891 r., str. 17—19.

skromniejszego w bezczelnego fagasa, najwspaniałomyślniejszego w brudnego skąpca. W jednej sekundzie wywracają pieniądze na nice wszystkie nawyki, pojęcia, namiętności.“

„Potwornemi stają się pieniądze, gdy pokrywając blask swój czarnym welonem jednego słowa, nazwą się kapitałem. Wówczas nie ogranicza się ich działalność na podrażnieniach indywidualnych, na zachętach do kradzieży i zbrodni, lecz rozciąga się na całą ludzkość. Jednym słowem, kapitał narzuca monopole, buduje banki, gromadzi substancje, rozporządza życiem, może, jeśli taka jego wola, kazać umrzeć z głodu tysiącom istot. On sam karmi się tymczasem obficie, tyje, zapładnia się, a obie półkule ziemskie uwielbiają go, konają przed nim z pożądania, jak przed Bogiem.“

„Albo są pieniądze — kończy Huysmans — które panują w ten sposób nad duszami, — dziełem szatana, albo trudno zrozumieć ich przeznaczenie.“

Po takiej wycieczce przeciw pieniądзом, raczej materializmowi, co w tym razie na jedno wychodzi, wolno żądać od autora typów szlacheckich i bajki jasnej. Tymczasem zanurza się Durtal z rozkoszą w brudach historii średniowiecznej, które nie ustępują wcale plugastwom nowoczesnego naturalizmu.

Zraziwszy się do chwili obecnej, cofnął się Durtal o kilka wieków wstecz. I kogoż upodobał sobie w epoce zamków, żywej wiary i wojen za Grób Chrystusowy? Może Parsiwala epopei rycerskiej, lub jakiego natchnionego kapłana?

Durtal ukochał słynnego w wieku XV-ym opętańca, znanego z dziejów okultyzmu marszałka Gilles'a de Rais, przyjaciela Karola VII i towarzysza Joanny d'Arc.

Margrabia Gilles de Rais, jeden z najbogatszych panów Francji, w dwudziestym piątym roku życia marszałek

armii Karola VII, waleczny żołnierz, hojny magnat, mecenas literatury, sam wykształcony humanistycznie, czytany w autorach klasycznych, należy do najciekawszych typów rozkładającego się średniowiecza.

Pozbawiony wiary żywej, niepokojony zagadką początku i końca wszechrzeczy, zawiązał on liczne stosunki z alchemikami i okultystami swojego czasu. Wszyscy zbuntowani, wyklęci, wiarołomni księża pierwszej połowy XV-go stulecia, wszyscy, których wiedza urzędowa ściagała jako czarnoksiężników, ciągnęli na zamek Tiffauges, gdzie ich Gilles de Rais gościnnie podejmował i wpływami swojemi przeciw wyrokom władzy świeckiej i kościelnej zastawiał.

Otoczywszy się alchemikami i okultystami, magnat francuski zasmakował w ich badaniach i sztukach i stał się sam „czarnoksiężnikiem.“ Szukał on razem z nimi „kamienia filozoficznego,“ warzył złoto w tyglach, wywoływał duchy, szatana, — stukał do zagadki wszechrzeczy za pomocą środków owego czasu, chciał koniecznie wiedzieć i móż wszystko.

Światlejszy, wytworniejszy od swojego otoczenia, nie zadawał się Gilles de Rais tem, co mu jego epoka dawała. „Wówczas, kiedy inni parowie Francyi — mówi Huysmans — byli pospolitemi bydlętami, *on pragnął rafinowanych rozkoszy artystycznych, marzył o literaturze przyszłości, pisał traktat o wywoływaniu duchów, uwielbiał muzykę kościelną, otaczał się tylko sprzętami rzadkimi, trudnemi do nabycia.*“

To pragnienie „rafinowanych rozkoszy artystycznych“ i „otaczanie się sprzętami rzadkimi, trudnemi do nabycia“ zwróciło prawdopodobnie uwagę autora *A rebours* na Gilles'a de Rais. I jego książkę des Esseintes (*A rebours*) nie znosi wszelkiej „pospolitości.“ Huysmans nazywa też Gilles'a des Esseintes'em wieków średnich.

Gilles de Rais nie tylko pożądał, szukał, ale stwarzał

sobie w istocie „wrażenia i wzruszenia niezwykle, wytworne.“ Ale wieki średnie nie były dla histeryków tak pobłażliwe, jak czasy nowsze, nie posiadały bowiem sądów przysięgłych, liczących się z wynikami antropologii kryminalnej. Coby mędracy współcześni nazwali chorobą, w tem dopatrzyli się prawnicy XV-go stulecia po prostu zbrodni i posłali rafinowanego dekadenta na szafot.

Smutna biografia Gilles'a de Rais jest właściwą „intrygą“ *Là-Bas*. Durtal, wybrawszy ją sobie za przedmiot do dzieła literackiego, wraca do niej ciągle, powtarza ją ze wszystkimi szczegółami, znanymi z kronik owego czasu. Stanowi ona nić czerwoną powieści, przeładowanej mądrością okultystów.

Gdyby nie romans Durtal'a z panią Chantelouve, nie możnaby *Là-Bas* zaliczyć do belletrystyki. Bez erotyki byłaby ta powieść raczej studjum naukowem.

Jeszcze jawniej, aniżeli w lubowaniu się „rafinowanymi zachciankami“ Gillesa de Rais występują upodobania dekadentyzmu w romansie Durtal'a i pani Chantelouve.

Pani Chantelouve, histeryczka, a jak się później okazuje, satanistka, odwiedzająca „czarne msze,“ narzuca się Durtal'owi sama za pośrednictwem listów, a gdy oświadczyły piśmienne nie poskutkowały, osobiście. Kocha ona w Durtal'u nie człowieka żywego, lecz jego obraz, który sobie utworzyła z jego dzieł i z którym od dłuższego czasu obcuje. Sztuki tej nauczyła się od okultystów i bluźnierców. Szukając towarzystwa wybrańca swojej chorej wyobraźni (nie serca), marzy o rozkoszach nadzwyczajnych, zrozumiałych tylko dla dekadentów.

Chociaż Huysmans oskarża przez usta dr. des Hermies naturalizm o brutalność i drażnienie zmysłów, nie oszczędza mimo to czytelnikowi całej strony fizjologicznej owej „miłości nadzwyczajnej,“ cuchnącej zgnilizną rozkładu. Nawet nowelle Boccaccia i „Pamiętniki“ Casanovy nie po-

budzają tak silnie apetytów erotycznych, jak sceny miłosne *Là-Bas*. Bucha z nich zmysłowość, różniąca się tylko tem od pornografii, że szaleje w nich nie zdrowe, brutalne zwierzę, lecz chora histeryczka.

Jak wszyscy historycy, przerzucają się kochankowie Huysmans'a z jednej ostateczności w drugą. Przesyciwszy się zmysłowo, marzą o miłości przeidealnej, utkanej ze snów, przeczuć i daremnych pożądań.

„Dowiedzieć się we dwa, trzy lata potem — mający Durtal — wówczas, kiedy kobieta stała się niedostępną, uczciwą lub zamężną, po za Paryżem, po za Francją, daleko; wówczas, kiedy może już umarła; — dowiedzieć się, że kochała cię wtedy, kiedy nie byłbyś śmiał o tem pomyśleć, gdy się obok ciebie znajdowała... oto marzenie. Tylko miłości istotne a niedościgłe, miłości, splecione z oddalonych tęsknot i zgryzot, warte są zachodu. Bo nie ma w takich miłościach ciała, nie ma zarodku brudu.“

„Kochać się zdaleka i bez nadziei, nie należeć nigdy do siebie, marzyć czysto o białych wdziękach, o niemożliwych pocałunkach, o pieszczotach, zgasłych na zapomnianych skroniach umarłych, ach! to coś jakby rozkoszne i bezpowrotne odurzenie. Wszystko inne jest brzydkie... i puste.“ *)

I w Baudelairze, gdy się dobrze w błocie wytarzał, po nocy bezsennej, spędzonej w towarzystwie nierządu, alkoholu i haszyszu, „budził się anioł,“ tęskniący za ideałem. I Verlaine, nadrwiwszy się, jak stary satyr, składa ręce i modli się do Matki Bożej z sentymentalizmem mistyka średniowiecznego. Ze wszelkiego przesytu wypełzła reakcja wręcz przeciwna, marząca przez czas krótki o czemś, czego rozpusta zmysłowa nie daje. Przez czas krótki, gdy bo-

*) S. K. Huysmans; j. w., str. 273, 274.

wiem wypoczynek wróci zmęczonemu nerwowi sprężystość, wówczas ustępują powiewne widziadła nowym pożądaniam.

I Durtal Huysmans'a, pozbywszy się wstępu do historycznego wyuzdania pani Chantelouve, zapomni niezawodnie o swojej miłości, utkanej z westchnień i pieszczot, „zgasłych na zapomnianych skroniach umarłych.“ Te dziwne zresztą pieszczoty przypominają zanadto halucynacje Baudelaire'a i Rollinat'a i sztuczne, wytworne, rafinowane rozkosze wszystkich dekadentów, aby mogły być świadectwem zwrotu do zdrowego idealizmu.

Za pośrednictwem pani Chantelouve zbliżył się Durtal do satanistów paryzkich i przypatrzył się zblizka „czarnej mszy“, o której czytał tyle w księgach okultystów średnio-wiecznych. Huysmans odtworzył ten smutny obrządek z dokładnością naocznego świadka. Wiadomo, że w stolicy nad Sekwaną odżyły w czasach najnowszych wszystkie zabobony i bluźnierstwa ubiegłych wieków.

Późnym wieczorem zastukał Durtal z panią Chantelouve do furty opuszczonego klasztoru, a kiedy mu otworzono, wszedł do kaplicy, napełnionej tak odurzającymi wyziewami, że upłynął czas dłuższy, nim jego płuca przywykły do zaduchu.

W kaplicy zastał prawie same kobiety, stare i młode, a wszystkie ponure, milczące, nie robiące wcale wrażenia szczęśliwych.

W głębi dostrzegł zwyczajny ołtarz kościołów chrześcijańskich, z tą tylko różnicą, że płonęły na nim świece z czarnego wosku. *)

Jeszcze rozglądał się uważnie wokoło, kiedy się do ołtarza zbliżył „kapłan“ szatana, były kanonik Docre, wyklu-

*) Przy opisie „mszy czarnej“ opuszczam szczegóły, obrażające ucho chrześcijanina.
(Przyp, autora).

czony przez Kościół za różne przestępstwa. Miał on na sobie zwykły ornat barwy ciemnoczerwonej, a na głowie szkarłatną czapkę, zaopatrzoną w dwa rogi. Na środku ornata czernił się kozioł.

„Kapłan“ szatana stanął na stopniach ołtarza, a oddawszy mu ukłon głęboki, rozpoczął mszę zwyczajną. Jak w kościołach regularnych, odpowiadali i jemu ministranci.

W pierwszej chwili nie zauważył Durtal nic szczególnego w „czarnej mszy.“ Ale w połowie obrzędu, przed ofiarą, odwrócił się „kapłan“ do „wiernych“ i rozpoczął odezwę do szatana, przypominającą znaną „Litanię“ Baudelaire'a. Braknie jej tylko siły i artyzmu poezyi, które zastępuje wysławianie dyabła za jego pobłażliwość dla występnych. Z odezwą tą łączy się bluźnierstwo, zwrócone przeciw Bogu, wykrzywane przez byłego kanonika z pianą złości na ustach.

Nawymyślawszy pierwiastkowi dobra, jak rozgniewany dorożkarz, zrobił kapłan nad wiernymi krzyż lewą ręką i rozpoczął ofiarę szatana.

Nastąpiła teraz scena, którą tylko francuzom wolno odtwarzać. Gdyby się autor polski ośmielił odmalować w dziele sztuki podobny brud, odwróciłoby się od niego całe społeczeństwo. Ale belletrystom francuskim przebacza się wszystko, jak gdyby obcy język łagodził jaskrawe tony plugawego obrazu.

Bezpośrednio po ohydnych świętokradztwie powiała nad zebraniem „aura wielkiej histeryi“ (Huysmans). Kobiety zaczęły się wić, krzyczeć, miotać, wyrzucając z siebie straszne bluźnierstwa. Z kadzielnic snuły się wyziewy jakichś ziół narkotycznych, działających jak opium i haszysz.

Durtal'owi zdawało się, że dostał się między pijanych, waryatów i epileptyków. Nikczemność, wyuzdanie zmysłowe, o jakim nie miał wyobrażenia, wykręcone członki i

twarze widział na około siebie, a słyszał dzikie krzyki i charczenia.

Niedość było Huysmans'owi „mszy czarnej.“ Dołączył on do niej pornografię, która zniechęciła Durtala do pani Chantelouve.

Tak wygląda powieść autora, który wyrzekł się publicznie naturalizmu i marzy o nowych drogach dla belletrystyki. Ordynaryjną brutalność Zoli zastępuje w niej chorobliwa brutalność historyka.

W *Là-Bas* Huysmans'a odnajdujemy wszystkie cechy znamienne dekadentyzmu. Odszczepienie naturalizmu jest zmysłowy, jak mistrz jego młodości, kocha się w wypadkach i charakterach „nadzwyczajnych,“ grzęźnie w mistycyzmie, poluje na wrażenie i wzruszenia niezwykle, sztuczne, które zowie wytwornemi, rafinowanemi. I on nie ma ludzkości nie takiego do powiedzenia, coby podnosiło jej duszę i rozgrzewało serce, coby człowieka oczyszczało, uszlachetniało, chociaż zarzuca naturalizmowi mieszczańską płaskość myśli i zwierzęcość uczuć.

Pod względem technicznym nie zadawała powieść dekadencek najskromniejszych wymagań.

Już naturalizm rozprzął budowę i zaniedbał bajkę, wysunąwszy tło, szczegóły, stronę w ogóle opisową na plan pierwszy. Dekadentyzm posunął zaniedbanie formy jeszcze dalej. U Huysmans'a nie ma zupełnie czynności powieściowej w rozumieniu zwykłym. Nic się u niego nie dzieje; ubogie wypadki nie wynikają jedne z drugich; rozwijająca się prawidłowo akcja nie łączy poszczególnych części w całość zaokrągloną. Autor *Là-Bas* popisuje się erudycją okultystyczną w dyalogach bez końca, lub zestawia obok siebie luźne sceny. Ludzie wchodzą u niego i wychodzą, jak w domu zajezdnym.

Przezroczyista, swobodna proza frauczka zmieniała się w rękę dekadentów w ociężały, zagmatwany żargon, popstrzony wyszukanemi zwrotami i wyrazami.

VIII.

Dekadentyzm w literaturze niemieckiej.

Fryderyk Nietzsche.

Charakterystyka dekadentyzmu francuzkiego składa się na pełny obraz obecnego rozkładu zasad estetycznych i moralnych w literaturze europejskiej. Co w tym kierunku wydają inne narody, jest tylko echem eksperymentów „mistrzów“ paryzkich i belgijskich.

Z pomiędzy dekadentów niemieckich zwrócił na siebie uwagę całej Europy jedynie Fryderyk Nietzsche, który usiłował majaki poezji wtłoczyć w zwarte formy systematu filozoficznego.

Fryderyk Nietzsche (ur. w r. 1844), pochodzący, jak sam o sobie opowiada, z rodziny polskiej Nieckich czy Nęcich, był przez kilka lat (od r. 1869—1878) profesorem uniwersytetu w Bazylei, gdzie wykładał filologię klasyczną. Działalność autorską rozpoczął w r. 1872, a skończył ją w r. 1889, zapadłszy w tym czasie na nieuleczalną chorobę umysłową. Napisał on cały szereg dzieł *), które są rodzajem wstępu do głównego, do głośnego „Tak rzekł Zarathustra.“

*) Die Geburt der Tragödie — Unzeitgemässe Betrachtungen — Menschliches, Allzumenschliches — Morgenröthe — Die fröhliche Wissenschaft — Jenseits von Gut und Böse — Zur Genealogie der Moral — Der Fall Wagner — Götzendämmerung.

Zanim się w umyśle Nietzschego ideał „nadezłowieka,” stanowiący treść jego doktryny, ostatecznie skryształizował, kołatał filozof, jak wszyscy młodzi pisarze, do różnych istniejących już teoryj, szukając w nich nici, o którąby mógł własną przędzę zaczepić. Zrazu odpowiadał mu najwięcej Artur Schopenhauer; wkrótce jednak, przekonawszy się, iż żaden z dawniejszych myślicieli nie może mu służyć za przewodnika, zerwał z całą przeszłością i poszedł własną drogą. Tego zwrotu owocem jest jego słynny „Zarathustra,” w którego wcielił siebie samego, swoje sympatyje i antypatyje, swoje poglądy i proroctwa. Wszystkie inne dzieła są tylko przygotowaniem, komentarzem do tej „biblii dla ludzi wyjątkowych,” jak wielbiciele Nietzschego „Zarathustrę” nazywają.

„Tak rzekł Zarathustra“ (*Also sprach Zarathustra*), „książka dla wszystkich i dla nikogo“ (*ein Buch für Alle und Keinen*), rozpada się na cztery części, z których każda obejmuje mnóstwo poszczególnych rozdziałów (pierwsza 23, druga 22, trzecia 16, czwarta 20); każdy z tych rozdziałów zawiera kilka lub kilkanaście podrozdziałów, każdy zaś podrozdział jest wiązką luźnych aforyzmów, tworzących razem całość nie zawsze spoiłą. Każdy rozdział zaopatrzyl Nietzsche osobnym tytułem.

Zarathustra, młody mędrzec (jego narodowości nie podaje Nietzsche), obrzydziwszy sobie w trzydziestym roku życia ludzi, porzucił miejsce rodzinne i udał się w góry, aby tylko z sobą obcować. Całem jego towarzystwem w samotności był wąż, najmądrzejsze, i orzeł, najdumniejsze z pomiędzy zwierząt.

„Nasyciwszy się duchem swoim“ przez lat dziesięć, uczuł Zarathustra, że się jego „serce zmieniło.“ Podniósłszy się pewnego dnia razem z jutrzeńką, stanął przed słońcem i rzekł do niego:

— Ty wielka gwiazdo! Czem byłoby twoje szczęście,

gdyby nie istnieli tacy, którym świecisz!... I mnie sprzykrzyła się moja mądrość, nie służąca nikomu. Jestem jako pszczoła, która zebrała zawiele miodu. Potrzeba mi rąk, coby się po ten miód wyciągnęły.

Tak rzekłszy, pożegnał Zarathustra samotnię i udał się między ludzi, aby im mądrości swojej udzielić.

Zatrzymawszy się w najbliższem mieście, które spotkał na drodze, zastał właśnie na rynku mnóstwo ludzi, czekających na sztuki jakiegoś linoskoka. Więc stanął przed narodem i w te do niego przemówił słowa:

— *Uczę was nadczłowieka (Uebersensch). Człowiek jest czemś, co trzeba pokonać. Coście uczynili, aby go pokonać? — Wszelkie istoty stwarzały dotąd coś wyższego od siebie, a wy chcecie być odpływem owej fali i wolicie cofnąć się do zwierzęcia zamiast pokonać człowieka? — Czem jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem albo wstydem bolesnym. A tem samem ma być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem albo wstydem bolesnym. — Przebyliście drogę od robaka do człowieka, ale zostało w was jeszcze dużo robaka. Niegdyś byliście małpami, a i dziś jeszcze jest człowiek więcej małpą od każdej małpy. — Najmądrsi z pomiędzy was są mieszaniną rośliny i upiora. Ale każę-ż wam zostać upiorami lub roślinami? — Patrzcie, oto nauczam was nadczłowieka. — Nadczłowiek jest treścią ziemi. Niechajże wola wasza powie: nadczłowiek niech będzie treścią ziemi. — Zaklinam was, bracia moi, zostańcie wierni ziemi i nie wierzcie tym, którzy wam mówią o rzeczach nadziemskich. Są to truciele, czy o tem wiedzą lub też nie wiedzą. — Są to potwarcy życia, dogorywający i sami zatruci, których sobie ziemia sprzykrzyła. Przeto niech odejdą! — Niegdyś był występki przeciw bogom występkiem największym, ale bogowie umarli, a z ich śmiercią umarli występki przeciw nim. Grzech przeciw ziemi jest obecnie grzechem najstraszliwszym i przywiązywanie większej wagi do badania*

wnętrznosci Niezbadanego aniżeli do treści ziemi. — Niedługo spoglądała dusza z pogardą na ciało i wówczas była ta pogarda cnotą najwyższą. Chciała ona widzieć ciało chudem, strasznem, wynędzniałem z głodu, chcąc w ten sposób uciec przed niem i przed ziemią. — O, ta dusza była jeszcze sama chuda, straszna i wynędzniała, i okrucieństwo było tej duszy rozkoszą. — Ale i wy, bracia moi, mówicie do mnie: co mówi ciało o duszy? Nie jestże wasza dusza ubóstwem i brudem i nędzną przyjemnością? — Zaprawdę, brudnym strumieniem jest człowiek. Trzeba być morzem, aby mózdz wchłonąć w siebie brudny strumień i nie zbrudzić się. — Patrzcie, *oto nauczam was nadcześniaka*. On jest owym morzem, w którym wasza wzgarda może utonąć. — Co jest największego, czego doznać możecie? Jest to godzina wielkiej pogardy. Godzina, w której wam wasze szczęście, wasz rozum i wasza cnota obrzydła. — Godzina, w której powiecie: *coż zależy na moim rozumie?* Pożądaż on wiedzy, jak lew pokarmu? Wiedza jest ubóstwem i brudem i nędzną przyjemnością? — Godziną, w której powiecie: *Coż zależy na mojej cnocie?* Jeszczem dla niej nie oszalał. Jakże zmęczyły mnie dobre i złe uczynki! Wszystko to jest ubóstwem, brudem i nędzną przyjemnością? — Godzina, w której powiecie: *Coż zależy na mojej sprawiedliwości?* Nie widzę, abym był żarem i węglem. — Godzina, w której powiecie: *Coż zależy na mojem miłosierdziu?* Nie jestże miłosierdzie krzyżem, do którego przybijają tego, który ludzi kocha? Ale moje miłosierdzie nie jest ukrzyżowaniem. — Czy mówiliście już, wołaliście już tak? Ach, żebym was tak wołających słyszał. — *Nie wasz grzech — wasze umiarkowanie krzyczy w niebogłoty; wasze skąpstwo w waszym grzechu krzyczy w niebogłoty.* — Gdzie jest błyskawica, która by was językiem swoim polizała? Gdzie jest szaleństwo, które trzeba w was zaszepecić? — Patrzcie, oto

nauczam was nadczołwieka: ten jest ową błyskawicą, owem szaleństwem. *)

Przemówiwszy w ten sposób do motłochu, Zarathustra zamilkł i czekał na skutek swojej nauki. Naiwnemu mędr-cowi, odwykłemu wśród gór i lasów od zwykłej mowy ludzkiej, zdawało się, że naród powita jego słowa „głębokie“ szumem podziwu i okrzykami radości. Ale naród śmiał się głupekowato, a jeden z tłumu zawołał: Słyszeliśmy już dosyć o owym linoskoku; teraz chcemy go oglądać...

Wiadomo, że Nietzsche szukał bardzo długo formy, odpowiadającej najlepiej rodzajowi jego umysłu. Wypełniwszy kilka tomów aforyzmami i wykrzyknikami, wybrał sobie w końcu obrazowy styl przypowieści, nadającej się do podniosłego tonu proroctwa. Zapomniał tylko, że główną siłę i wdzięk przypowieści stanowi prostota, nie mająca nic wspólnego z napuszoną frazeologią „głębokiego“ filozofa.

Jakże chciał Zarathustra, aby lud, który przybył na rynek w celu zabawienia się sztukami linoskoka, zasmakował w jego zagmatwanej gadaninie? Nawet słuchacze, nie należący do „motłochu,“ muszą się dobrze namyślić, zanim zgłębią głębię jego pierwszego kazania, nazwanego przez Nietzschego „przedmową“ (*Zarathustra's Vorrede*).

W pierwszej chwili sprawia owo słowo wstępne wrażenie szumu, spływa mnóstwo wyrazów głośnych, snujących się bez ładu z mózgu chorego. Dopiero po powtórnem odczytaniu widzi się, że „przedmowa“ zawiera bardzo dużo treści, bo zarys całej „nauki“ Nietzschego.

„Nadczołwiek jest treścią ziemi,“ — „Człowiek jest czemś, co trzeba pokonać,“ — „Zostańcie ziemi wierni i nie wiercie tym, którzy wam o rzeczach nadziemskich mó-

*) Fryderyk Nietzsche: „Also sprach Zarathustra“; wydanie III. Lipsk; 1884 r., str. 9—11.

wią,“ — „Bogowie umarli,“ — „Cóż zależy na moim rozumie?“ — „Co na cnocie?“ — „Co na sprawiedliwości?“ — „Co na miłosierdziu?“ — „Są one ubóstwem, brudem i nędzną przyjemnością,“ — „Nie wasz grzech, lecz wasze umiarkowanie krzyczy w niebogłosy...“

Zestawiwszy powyższe wykrzykniki obok siebie i przetłumaczywszy na język zrozumiały, powstanie następujący łańcuch przesłańek i wniosków: Oto powiadam wam, że bogowie, przed którymi się dotąd korzyliście, umarli, a z nimi razem ich cnoty i grzechy. Nie gardźcie ziemią, ciałem, rozkoszami tego świata, cieszcie się życiem, albowiem kłamią, którzy mówią o jakichś światach nadziemskich. Zamiast się umartwiać, męczyć niepotrzebnie, majacząc o karze i nagrodzie pozagrobowej, starajcie się raczej wzmocnić w sobie, spotęgować środki używania doczesnego, abyście mogli wychylić do dna kielich szczęścia, przeznaczonego człowiekowi przez naturę. Gdy mówię: człowieka należy pokonać! nie mam bynajmniej na myśli suchotnicznych wskazówek nauki chrześcijańskiej. Nie człowieka, nie jego namiętności radzę zdeptać, zwyciężyć, lecz tylko tego człowieka, który obecnie istnieje, a którego straszą ciągle groźby i napomnienia religii i etyki chrześcijańskiej. Ten człowiek, widzący w umiarkowaniu cnotę, musi ustąpić nadezłowiowi, którego nie będą krępowały żadne przesady.

Tak mniej więcej wygląda w zarysie doktryna Nietzschego, zrywająca stanowczo z całą tradycją cywilizacji aryjskiej. Zarathustra poszedł znacznie dalej od nowoczesnych materyalistów i pesymistów z Schopenhauem na czele, jeszcze bowiem w lamentach „samotnika frankfurckiego“ skarży się dusza chrześcijańska, chociaż się on tego zapiera.

W dalszym ciągu rozwija Nietzsche, pogłębia i uzasadnia wskazówki, zawarte w „Przedmowie Zarathustry.“

Do bogów umarłych wraca kilkakrotnie, drwiąc z tych, którzy w nich wierzą.

„Bóg jest przypuszczeniem — mówi w rozdziale p. t. „Na szczęśliwych wyspach“ (*Auf den glückseligen Inseln*) — a ja chcę, żeby wasza domyślność sięgała tylko tak daleko, jak wasza twórcza wola. Czy możecie stworzyć Boga? Nie mówcież mi o bogach. Bóg jest przypuszczeniem, a ja chcę, aby waszą domyślność ograniczała myśl. Czy możecie Boga pomyśleć? O tem pamiętajcie, żebyście wszystko, co myślicie, widzicie, czujecie, myśleli, widzieli i czuli po ludzku. I co nazywacie światem, to powinniście sobie dopiero sami stworzyć... *Gdyby bogowie istnieli, jakżebym wytrzymał, nie będąc sam bogiem?* Więc nie ma bogów... Bóg jest przypuszczeniem, ale któż zdołałby wypić mękę tego przypuszczenia, nie pragnąc śmierci. Któż chciałby odebrać twórcy jego wiarę w siebie, a orłowi jego lot w przestrzeniach orlich? — Bóg jest myślą, która skrzywia wszystko proste i wprawia w ruch wszystko, co stoi. — Sama myśl o tem jest wirem i szumem dla człowieka a dla jego żołądka wymiotami: zaprawdę, chorobą wirującą nazywam takie przypuszczenie“ (j. w. str. 119, 120).

Zarathustra, nieznoszący bogów głównie dla tego, że „gdyby istnieli, nie wytrzymałby, nie będąc sam mieszkańcem niebios,“ nienawidzi oczywiście także wszelkiego duchowieństwa.

„Jako trupy postanowili żyć — mówi w rozdziale p. t. „O kapłanach“ (*Von den Priestern*) — i czarno ubrali swego trupa; nawet w ich mowach czują jeszcze brzydkie zapach trupiarni. — A kto w ich pobliżu żyje, ten żyje nad brzegiem czarnych stawów, w których żaby swoją słodkoponurą pieśń zawodzą“ (j. w. str. 129).

I uczonych nie cierpi Zarathustra.

„Wyprowadziłem się z domu uczonych, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. — Zbyt długo siedziała moja dusza głodna

przy ich stole, nie wytresowano jej bowiem do poznawania jak do łupania orzechów. — Lubię swobodę i powietrze nad świeżą ziemią. Wolę spać na skórze byczej, aniżeli na ich godnościach i zaszczytach“ (j. w. 179).

A nietylko uczonych z zawodu lekceważy Zarathustra, lecz w ogóle wszelkich ludzi oświeconych, wykształconych.

„Znalazłszy się w kraju oświeconych (*Vom Lande der Bildung*), roześmiałem się głośno, jeszcze bowiem nigdy nie widziałem tyle pstrokacizny. I śmiałem się i śmiałem, wołając: oto jestem na ziemi wszystkich garnków z farbami. — Z pięćdziesięciu, wymalowanymi na twarzy i ciele plamami, siedzieliście, o moi współcześni. — A naokoło was było pięćdziesiąt zwierciadeł, które schlebiali waszym malowaniem i odbijały je. — Zaprawdę, lepszej maski nie potrzebujecie, o moi współcześni. Najlepszą maską jest twarz wasza. Któżby was poznał? — Pokryci od góry do dołu znakami przeszłości, macie na tych znakach jeszcze inne, nowe: tak omalowani ukryliście się przed wszystkimi odgadawaczami. — Wszystkie czasy i narody wyzierają z waszych opon, wszystkie obyczaje i wiary przemawiają z waszych ruchów,.. Jesteście chodzącymi przeciwieństwami wiary samej i wszelkich myśli kołowacizną.. Wszystkie czasy kłócą się w waszych umysłach, a nawet wszystkich czasów majaki i gadaniny były jeszcze prawdziwsze od waszej trzeźwości.. Jesteście otwartymi bramami, przed którymi czekają grabarze i oto wasza jedyna rzeczywistość, o moi współcześni, oświeceni: wszystko, co jest, powinno przepaść..“ (j. w. str. 170—172).

Nietylko religie, zwyczaje, obyczaje i wiedza chwili obecnej przepelniają duszę Zarathustry wstrętem, lecz obrażają ją także urządzenia społeczne.

Więc niema nic w chwili obecnej, coby się ostało przed morderczą krytyką Zarathustry, nic, coby zasługiwało na jego uznanie. Religie, wiedza, zwyczaje, obyczaje, urzą-

dzenia społeczne, cały, słowem, człowiek współczesny powinien ustąpić innemu, nowemu. Z karty przeszłości stał Nietzsche wszystkie „znaki,“ wszystkie „wartości,“ nie zatrzymawszy dla przyszłych pokoleń ani jednej. *Tabula rasa...* „Jesteście otwartymi bramami, przed którymi czekają grabarze, i oto wasza jedyna rzeczywistość, o moi współcześnie. Wszystko, co jest, powinno przepaść...”

Ale Zarathustra nie jest tylko krytykiem. Zamiotłszy porządnie, do czysta, zaśmieconą posadzkę naszego czasu, wymalował na niej nowe esy i floresy, nowe „wartości.”

Przedewszystkiem sączy z jego wskazówek jad niewiści do chrześcijaństwa, do jego poglądów na życie doczesne, do jego cnót i tęsknot pozagrobowych. „Niepraktyczność“ nauki Chrystusowej niepokoi go ciągle. Wraca on do niej przy każdej sposobności.

„Nowej dumy nauczyła mnie moja jaźń; tej dumy uczyć ludzi. Nie zanurzajcie głowy w piasku rzeczy niebieskich, lecz nieście ją wysoko, swobodnie, głowę ziemską nieście, która odtwarza treść ziemi. — I nowej woli uczyć człowieka: chcecie postępować tą drogą, którą szedł człowiek na oślep i nie zbaczajcie z niej, do chorych podobni i umierających. — Chorzy to i umierający wzgardzili ciałem i wynaleźli rzeczy niebieskie i zbawcze krople krwi... Uciec chcieli przed swoją nędzą a gwiazdy były zbyt daleko od nich. Wówczas westchnęli: „O gdyby istniały drogi niebieskie, abyśmy się mogli zakraść do innego bytu i do innego szczęścia.“ I wtedy wynaleźli różne podstępny i krwawe napoje“ (j. w. str. 39, 40; *Von den Hinterweltlern*).

Obrzydliwością są dla Zarathustry wszyscy asceci, gardziciele ciała i jego rozkoszy, obrzydliwością wszyscy, którzy mówią o duszy i jej tęsknotach.

„Ale przebudzony, świadomy mówi: ciałem jestem na wskroś i niezem oprócz ciałem, dusza zaś jest tylko słowem, która oznacza coś w ciele. Ciało jest wielkim rozumem...”

Narzędziem twojego ciała jest także twój mały rozumek, który nazywasz duchem — małym narzędziem, zabawką twojego wielkiego rozumu“ (j. w. str. 42; *Von den Verächtern des Leibes*).

Mówisz o duszy, o jej szlachetniejszym pochodzeniu, o jej przeczuciach i pragnieniach, śmieszny człowieku! Łudzisz się i okłamujesz... Jedyne źródłem i bodźcem twojego postępowania jest egoizm.

„Po za twemi myślami i uczuciami, bracie, stoi potężny rozkazodawca, ukryty, nieznanym mędrzec. Imię jego „Ja.“ Mieszka on w twoim ciele, jest twoim ciałem. — Jest więcej rozumu w twoim ciele, aniżeli w twojej najlepszej mądrości... Twój egoizm drwi z twojego „ja“ i z jego dumnych skoków. Czemże są owe skoki i wzloty myśli? — mówi — Manowcem, wiodącym ostatecznie do mojego celu“ (j. w. str. 43).

Gdyby Zarathustra Nietzschego tylko bronił ciała i jego praw, byłby znanym echem materializmu wszystkich czasów. Cały szereg mędrców i poetów bieżącego stulecia wygłosił te same zasady, chociaż w innej formie. Nie pierwszy Zarathustra szturmuje do ideałów chrześcijaństwa.

Ale Nietzsche nie tylko występuje w obronie ciała i jego instynktów, lecz zaleca wprost, bez ogródki, posłuszeństwo jego pożądaniam. Co ludzkość, wychowana przez cywilizację chrześcijańską, ukrywała starannie — swoje samolubne zachcianki i czyny — co nazywała nieszlachetnością, słabością, grzechem, co nawet krańcowi doktrynerowie materialistyczni i pesymistyczni usiłowali złagodzić i przyzodzić za pomocą draperyi, utkanej z argumentów sofistycznych, to podnosi nowy prorok do godności cnoty. I na tem polega jego smutna oryginalność.

„Mówili wam dawniej — uczy Zarathustra — że namiętności należy trzymać na łańcuchu woli, jak złe, szkodli-

we bestye. Nie wiercie temu kłamstwu. Ono szkodzi życiu.

— Niegdyś miałeś namiętności i nazywałeś je ziemi. Ale teraz masz tylko enoty, które wyrosły z twoich namiętności. Najwyższe cele swoje połączyłeś z temi namiętnościami, a wówczas stały się one enotami i przyjaciółkami“ (j. w. str. 46; *Von den Freuden-und Leidenschaften*).

Prawili ci o t. zw. miłości bliźniego, o pobłażliwości silnych dla słabych, możnych dla ubogich, zdrowych dla chorych, o poświęceniu, ofierze i t. p. przesądach. Nie słuchaj tych fałszywych proroków, albowiem oni nie mają wyobrażenia o potrzebach życia.

„Radzę-ż wam miłość bliźniego? Raczej radzę wam ucieczkę przed bliźnim... Nie możecie z sobą wytrzymać i nie kochacie się do statecznie i dla tego chcecie bliźniego zwieść miłością i siebie jego złudzeniem ozłocić... Nie bliźniego was nauczam, lecz przyjaciela. Przyjaciół niech wam będzie świętem ziemi i przeczuciem nadezłowieka“ (j. w. str. 84, 85; *Von der Nächstenliebe*).

Uczyli was litości, miłosierdzia, obiecywali nagrodę niebieską tym, którzy ocierają łzy cierpiących... Uczyli was źle, bo człowieka silnego obraża i męczy widok niemocy. Nie szukać należy niedołącznych i chorych, lecz schodzić im z drogi, aby obraz ich nędzy nie zatruwał waszego szczęścia. I tak używa człowiek za mało szczęścia na ziemi.

„Od czasu, jak człowiek istnieje na ziemi, radował się za mało: to, bracia mili, jest naszym jedynym grzechem pierworodnym... Żebraków należy zupełnie znieść! Zaprawdę, gniewamy się, gdy im dajemy, i gniewamy się, gdy im dać nie możemy“ (j. w. str. 124: *Von den Mitleidigen*).

Współczucie, miłosierdzie, litość i t. p. wytwory słabości ludziej, narobiły więcej złego aniżeli dobrego. Rzeczy wielkich nie stworzyła nigdy łagodność i miękkość, lecz zawsze tylko siła.

„Natury twórcze są twarde, nieubłagane“ (j. w. str. 126).

Największą krzywdę wyrządzili ludzkości, podług Nietzschego, moralisci cywilizacyi chrześcijańskiej, którzy sfalszowali pojęcia o dobrem i złem. Dobrem nie jest bynajmniej — uczy Zarathustra — dobroć w rozumieniu dziś powszechnie przyjętem. Dobroć dzisiejsza, to dobroć niewolników, którzy zbuntowali się przeciw dobroci panów.

Dobremi nazywano pierwotnie i jedynie słusznie tylko te przymioty, które służyły rasie rozkazującej, rządzącej czyli panom, więc: odwagę, męztwo, dumę, pogardę, kłamstwa, pochlebstwa, uniżoności, gwałtowność, bezwzględność, zdrowie, bogactwo, znaczenie i t. d.; złemi zaś były, nikczemnymi: pokora, cierpliwość, obłuda, przebiegłość, ubóstwo, choroba i t. p. wady i klęski służby, niewolników.

Przemiana wartości moralnych, zwycięztwo „moralności niewolników“ nad „moralnością panów“ jest dziełem chrześcijaństwa, i dla tego nienawidzi go Zarathustra.

Bo ten Nietzsche-Zarathustra jest, czy chce być „panem“, materiałem na nadezłowieka.

Pierwotnie ludzi się, że jego naukę zrozumie i unika cała ludzkość. Więc stanął na rynku i przemawiał do ludu. Zmiarkowawszy jednak rychło, że motłoch przynosi sztuki linoskoka nad jego „głębokie“ słowa, otrząsnął kurz ulicy z sandałów i przemawiał odtąd tylko do „wybranych“, nie szczędząc „hołocie“ przy każdej sposobności drwin i pogardy. Określenia, jak: mali ludzie, zbyt czni, niepotrzebni, małe myśli, małe uczucia, małe cele, głupcy, hałastra, bydło i t. d., powtarzają się co kilka stronnic w „Tak rzekł Zarathustra.“

„Życie jest źródłem rozkoszy — mówi Zarathustra — ale tam, gdzie hołota także pije, są wszystkie studnie zatrute. — Kocham wszelką czystość, ale patrzeć nie mogę na śmiejące się mordy (*Miuler*) i na pragnienie nieczystych. —

Rzucili oczy swoje do studni: i oto widzę w studni ich wstrętny śmiech. — Świętą wodę zatruli swoją lubieżnością; a gdy nazwali swoje brudne marzenia rozkoszą, zatruli nawet słowa. — Wspina się płomień z gniewu, gdy oni swoje wilgotne serce do ognia przykładają; sam nawet duch kipi i dymi, gdy hołota stanie przy ogniu. — Przesłodkim i przedojrzalym staje się w ich rękach wszelki owoc; spojrzenie ich odbiera moc i soczystość każdemu drzewu. — I niejeden, który się od życia odwrócił, odwrócił się tylko od hołoty; nie chciał dzielić studni, ognia i owoców z hołotą. — I niejeden, który udał się na pustynię i łaknął i pragnął z dzikimi zwierzętami, nie chciał tylko spoczywać z hołotą przy tej samej cysternie. — I niejeden, który przyszedł jako burzyciel i spadł na pola, jak grad, chciał tylko hołocie włożyć nogę w paszczę i w ten sposób ją zapchać“ (j. w. str. 136, 137; *Vom Gesindel*).

Cała nienawiść dekadentyzmu do pospolitości i powszedniości życia występuje z gwałtownością długo tamowanego potoku, ilekroć Zarathustra mówi o „hołocie,“ o „motłochu.“ Nie ma dość silnych określeń w słowniku obelg i zniewag do wyrażenia jego gniewu.

I ta nienawiść do pospolitości i powszedniości życia jest właściwym źródłem „pańskiej“ doktryny Nietzschego. Z niej wytrysła jego nowa „moralność,“ która ma wrócić naturom niezwykłym, utalentowanym świadomość ich siły i posłannictwa.

Nie do ludzkości w ogóle przemawia ostatecznie Zarathustra, lecz tylko do „tworzących“ (*Die Schaffenden*), do tych, których życie wchodzi do historii, jest historią rodu człowieka. Reszta, wielkie masy szarego tłumu, miliony, to „trzoda,“ o której nie warto nawet myśleć, bo przeznaczeniem jej: byt niesławny, roślinny i śmierć listka, wędnącego na drzewie.

Nie człowiek, jako taki, jego uszlachetnienie i uszczę-

śliwienie, jest celem życia, lecz tylko człowiek niezwykły, wyjątkowy, — „nadczołowiek.“ Praca całej ludzkości powinna się na to składać, aby wytworzyć jak najwięcej „nadludzi,“ „panów,“ „nadczołowiek bowiem jest treścią ziemi.“ Dla nadczołowieka nie ma grzechów i występków. Wszystko, co jemu służy, chociażby to motłoch złem nazywał, jest dobrem; zbrodnia nawet w zwykłym rozumieniu zamienia się w jego ręku na cnotę.

„Nadczołowiekowi“ wolno wszystko: kraść, zabijać, gwałcić, deptać hołotę, wyzyskiwać słabszych, gardzić głępszymi, być samolubnym, nielościwym, okrutnym, motłoch bowiem istnieje tylko dla niego. Tłum powinien się kłaskać bez oporu do jego stóp, szczęśliwy, że nadczołowiek raczy korzystać z jego trudu i cierpienia.

Człowiek niezwykły ma obowiązek być złym, samolubnym, albowiem jego „złość“ przyspiesza wytworzenie „nadludzi.“

„Złość jest najlepszą siłą człowieka“ (j. w. str. 416; *Vom höheren Menschen*).

Zapomniał tylko Nietzsche o rzeczy najważniejszej: nie wskazał celu, przeznaczenia owych nadludzi. Cóż te postacie symboliczne, te wytwory całej siły ludzkości mają dać człowiekowi za jego ofiarę i służbę posłuszną? Dokąd prowadzą „panowie“ „trzodę,“ dokąd dążą, czego chcą? Trzoda ma prawo znać posłannictwo nadludzi.

Zarathustra nie mówi nic o celu istnienia człowieka. Brak tej wskazówki, która powinna była uwieńczyć dzieło Nietzschego, jest błędem zasadniczym jego doktryny.

Zapomniał także Nietzsche o połowiczności człowieka, o jego ograniczonych przez zmysły środkach i zdolnościach. I najwyższy nadczołowiek będzie zawsze tylko człowiekiem, czyli istotą, podlegającą głodowi, namiętnościom, chorobom i śmierci, i tracącą miarę w postępowaniu, gdy nie czuje nad sobą nadzoru bogów i prawa.

Ludzkość wydaje od czasu do czasu, w chwilach rozkładu pewnej formy cywilizacji, nadludzi w rozumieniu Nietzschego, ale są to wówczas zawsze tylko oszalałe z pychy zwierzęta w rodzaju Kaligulów, Neronów, Domicjanów, Kommodów, Karakallów, Gilles'ów de Rais, margrabiów de Sade i t. p. dekadentów czynnych.

Na prawidłową, poważną polemikę nie zasługuje doktryna Nietzschego. Jest ona wybrykiem chorobliwego indywidualizmu dekadentów, dziwaczną formą egotyzmu, który, doszedłszy do krańców samolubstwa ludzkiego, postradał zmysły... zwaryował. Pomieszały się w jego biednej, skołataną głowie pojęcia logiczne, moralne i estetyczne, pomieszały się określenia, wartości, słowa w końcu. Brutalnego parweniusza nazwał „panem“, obłąkanego frazeologa mędrce, niesmaczne gędzenie mową natchnioną. czarne białem, zielone czerwonym. Tu i ówdzie — w chwilach jaśniejszych, w *lucida'ch intervalla'ach* — błysnie jakieś dobre spostrzeżenie, jakaś wskazówka rozumna, śmiała, prawdziwa, ale nie wiele tych błysków. Całość jest zwaryowaną gadaniną, zasługującą na uwagę tylko jako zjawisko patologiczne naszych czasów, starganych przez nadmierny egoizm.

Do charakterystyki stylu Nietzschego wystarczy przykład któregośkolwiek rozdziału „Zarathustry.“ Oto, jak prorok przyszłości śpiewa (j. w. str. 149 i następne; *Das Nachtlied*):

„Nadeszła noc; teraz mówią głośniejsze wszystkie fontanny. I moja dusza jest także fontanną. — Nadeszła noc; teraz przebudzają się wszystkie pieśni rozkochanych. I moja dusza jest także pieśnią rozkochanego. — Jest we mnie coś niezaspokojonego, coś, co się nie da zaspokoić; to coś chce mówić głośno. Jest we mnie pożądanie miłości, które przemawia samo mową miłości. — Jestem światłem. O, gdybym był nocą! Ale na tem polega moja samotność, że

mnie światłość otacza. — Ach, gdybym był ciemnym i no-
cnym! Jak ssalbym wówczas u piersi światła! — I was ma-
łe, roszkowne gwiazdki na górze i robaczki świętojańskie
błogosławiłbym jeszcze! I byłbym szczęśliwy z powodu
waszych darów świetlanych. — Ale żyję własnym światłem,
ssię w siebie płomienie, które ze mnie tryskają. — Nie znam
szczęścia biorących, i często śniło mi się, że kradzenie spra-
wia większą przyjemność od brania. — Jest mojem ubó-
stwem, iż ręka moja nie wypoczywa nigdy od dawania; jest
moją zazdrością, że widzę czekające oczy i rozjaśnione no-
ce tęsknoty. — O, nieszczęście wszystkich rozdających!
O, zaćmienie mojego słońca! O, pożądanie pożądliwości!
O, głód w nasyceniu! — Oni 'biorą odemnie, a ja czy potra-
cam jeszcze o ich dusze? Jest przepaść między dawaniem i
braniem, a przepaść najmniejszą można dopiero na końcu za-
kryć. — Głód wyrasta z mojej piękności: źle czynić chcia-
łbym tym, którym przyświecam, okraść chciałbym moich ob-
darowanych: — i oto łaknę złości..“

Chyba dosyć... Nie sposób dociągnąć do samego końca
rozdziału.

W tej dziwacznej gadaninie, wsłuchawszy się w nią
dobrze, jest jakiś sen, ale i w majakach obłąkanych tkwi
zawsze jakaś treść.

Niktby nie uwierzył, że takie dziwactwo mogło pozy-
skać krocie zwolenników, gorących nawet wyznawców,
wielbicieli, że obiegło cały świat cywilizowany, wywo-
ławszy wszędzie namiętne polemiki za i przeciw, że rozlało
się szeroko nad współczesny inteligencją wszystkich naro-
dów, olśniwszy krocie głów oświeconych.

Miałaby Zarathustra rację, gdy nazywa „motłoch“
bydłem bez woli i rozumu?

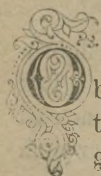
Na samym Nietzsche'm zemściła się jego mania wiel-
kości straszliwie. Myśliciel tak pyszny, że nie uznaje bo-

gów dla tego, „bo gdyby istnieli, nie wytrzymałby, nie będąc sam bogiem,“ nadczołowiek, nielekający się nikogo i niczego — znajduje się już od dłuższego czasu w domu obłąkanych, złamany, trwożliwy, obawiający się najłżejszego szelestu. Strach prześladowczy zdeptał go w kwiecie wieku.

IX.

Zakończenie.

Człowiek współczesny w oświeceniu literatury i prasy.



Obok wyroków pesymistycznych, potępiających namiętnie dogorywające stulecie, odzywają się tu i owdzie głosy optymistyczne, które bronią jego zasługi.

Przodem w tym kierunku idzie oczywiście burżuazya, pieszczoł XIX-go wieku. Cała prasa mieszczańsko-liberalna, zostająca na służbie handlu i przemysłu, sławi „postęp“ gasnącej epoki. Wtórują jej uczeni pozytywni i bezwyznaniowcy wszelkich odcieni.

Nie ulega wątpliwości, że każda chwila dziejowa posiada obok cieni swoje własne światła, — swoich trudów wytwór dodatni.

Pod względem uwygodnienia materialnych warunków życia zrobił wiek XIX w istocie więcej, aniżeli poprzednich pięć. Koleje żelazne, telegrafy, telefony zniosły przeszczerzenie; fabryki umożliwiły najuboższemu nabycie przedmiotów, uważanych dawniej za zbyt kosztowne; prasa wciągnęła wielkie masy w koło ruchu umysłowego i społecznego.

Historya nauki zaznaczy w stuleciu dogorywającym niezwykle rozwój umiejętności przyrodniczych; handel,

przemysł i sztuka inżynierska święciły wielkie tryumfy; żywiły, pomijane przez prawodawstwo szlacheckie, zbliżyły się do warstw uprzywilejowanych.

Program t. zw. wielkiej rewolucji francuskiej stał się w pewnej części ciałem: ludzkość cywilizowana zdemokratyzowała się i zmateryalizowała.

Ale pod względem moralnym człowiek współczesny nie tylko nie postąpił naprzód, lecz cofnął się o kilka kroków w tył. Właśnie owe *plusy* dziewiętnastego stulecia, rozbudzwszy w nim apetyty, których ani siły ludzkie w ogóle, ani ustrój społeczny po szczególe, zaspokoić nie mogą, odebrały mu spokój dawniejszych, skromniejszych w swoich wymaganiach pokoleń i uświadomiły w nim wszystkie niechęci zawiedzionego w nadziejach zwierzęcia.

Tyle mówiono człowiekowi współczesnemu o dobrobycie, iż trudno się dziwić, że mu ubóstwo obrzydło. Tak uczenie przedstawiono mu prawa samolubstwa, że musiał ukochać siebie więcej, aniżeli to potrzebne do jego szczęścia osobistego i do równowagi społecznej.

Powyższe dwie przyczyny w połączeniu z osłabieniem uczuć religijnych, z płaską bezwyznaniowością zdawkowego oświecenia, wytworzyły ową gorączkę niezadowolenia, która trawi wszystkie szlachetniejsze natury naszej chwili dziejowej.

Rozumie się, że dreszcz pesymistyczny wstrząsa i dziś, jak zawsze, bardzo drobną częścią ludzkości, ale ta liczebnie nieznaczna mniejszość pisze książki, układa prawa, szuka nowych form społecznych, prowadzi wojny — wyciska na epoce niezatarty, dla potomnych widoczny ślad swoich marzeń, zwątpień i niepokojów.

Są w naszych czasach, przeładowanych bibułą, dwa wielkie zwierciadła, w których się oblicze człowieka współczesnego odbija wyraźnie ze wszystkimi zmarszczkami. Literatura, zwana piękną, i prasa chwytają w lot każdy

uśmiech i najłżejsze drgnienie powieki. One będą kiedyś dla przyszłego historyka gasnącego stulecia nieprzebraną kopalnią wskazówek.

Przedewszystkiem zdziwi się ów historyk nadmiernej zmysłowości ludzi drugiej połowy XIX wieku. Począwszy od „Pani Bovary“ Flaubert'a, a skończywszy na najbliższym romansidzie ostatniorzędnej autorki, piszącej dla motłochu czytelniczego, znajdzie on prawie wszędzie na pierwszym planie miłość płciową, obnażoną rozmyślnie, odartą świadomie z różowych zasłon fantazyi poetyckiej.

Wstydlivości, przyzwoitości w rozumowaniu popoliitem będzie ów historyk szukał daremnie w belletrystyce naszych czasów, która nazywa wszystko po imieniu, maluje każdą sytuację, nie zakrywa żadnego szczegółu.

Miłość zmysłowa, namiętna aż do podłości lub zbrodni, dysze w powieści realistycznej różnych odcieni, silniejsza od obowiązku, uczciwości i honoru. Mężowie zdradzają dla niej żony, żony mężów, ojcowie i matki zaniedbują dzieci, bogaci tracą majątki, ubodzy kradną, oszukują, zabijają, byle zgasić jej żar trawiający.

Ktoby wierzył, że powieść jest rzeczywistym odbiciem chwili, jak sama o sobie twierdzi, ten miałby prawo nazwać człowieka współczesnego samcem, znajdującym się w stanie ciągłego podrażnienia zmysłowego. Wszystkie myśli, uczucia i dążności bohaterów i bohaterek ogniskują się w miłości płciowej, nie widząc po za nią nic wyższego i lepszego.

To samo odnosi się także do komedyo-dramatu mieszczańskiego, do t. zw. „sztuki“, do farsy i operetki. Wszędzie jest miłość, wyemancypowana, grzeszna, osiłą intrygi, przewodnią nicią bajki, cementem, łączącym poszczególne części w całość artystyczną.

Miłość, w powieści naturalistycznej brutalna, jak oszalałe zwierzę, „cywilizuje“ się w miarę tępienia zmysłów.

Zrazu gwałtowna, niewybredna, staje się z czasem rafinowaną sybarytką, szukającą już tylko rozkoszy sztucznych.

Po fizjologii przyszła kolej na patologię. Nawet plastycznego obrazu chorób sekretnych nie oszczędziła literatura „piękna“ czytelnikom. Wszystkie wybryki erotomanii, graniczącej z obłądem płciowym, doczekały się ram artystycznych.

Obok nadmiernej zmysłowości znajdzie przyszyły historyk XIX stulecia w belletrystyce jego drugiej połowy pragnienie dobrobytu i chciwość pieniędzy, jako środka do używania. Legion nowelistów lamentował nad „ubogimi“, chociaż ich o to owi ubodzy, szczęśliwsi zwykle od bogaczy, nie prosili; setki powieści apoteozowały kupców, fabrykantów, inżynierów, przemysłowców, korząc się przed Złotym Cielcem z uległością lokajów. „Właściciele kuźnic“ zajęli miejsce rycerzów, myślicieli i poetów, wszelaka „praktyczność“ była ideałem najwyższym.

Autorowie z głową szerszą, których sama miłość nie zadowalała, belletryści społeczni w rozumieniu właściwem odtwarzali z upodobaniem ponure obrazy materyjalnej nędzy ludzkiej, szukając ich w warsztatach, na poddaszach i w chacie chłopskiej.

Nienawiść do ubóstwa syczy w powieści społecznej drugiej połowy bieżącego stulecia jak gad zazdrosny.

A głównym bodźcem postępowania bohaterów i bohatererek jest zawsze pospolite samolubstwo człowieka-zwierzęcia, rozpętanego z więzów obowiązku względem bliźnich. Jednostka chce kochać i używać bez troski o krzywdę otoczenia. Dochodzi w końcu do tego (u dekadentów), że z egoizmu rozwija się egotyzm, — chorobliwy indywidualizm, nie uznający nic i nikogo prócz siebie i swoich zachcianek.

Zdziwi się przyszyły historyk XIX wieku, że w literaturze jego drugiej połowy odzywa się dusza tak rzadko, jak

gdyby zamarała w człowieku, zamordowana przez ciało. Nigdzie nie dostrzeże jej tęsknot, nie usłyszy szelestu jej skrzydeł, wzbijających się w krainy nadziemskie. Tylko zmysły kochają, pożądają, zazdroszczą i nienawidzą.

A kiedy się ta dusza ludzka, skazana na śmierć przez materializm, nareszcie — przy końcu stulecia — odzywa, wydobywa się jej głos z po za gęstych mgieł mistycyzmu i okultyzmu, — niewyraźny, zatarty. Niewiadomo, czego pragnie, dokąd zmierza. Wołanie jej nie różni się niczem od majaków gorączki. Jacys ludzie chorzy, znużeni śmiertelnie, wyciągają ręce po omacku do nowej gwiazdy przewodniej, której nie widzą.

Mędrkowali i nadużywali rozumu i ciała dopotąd, dopóki nie stracili zdolności odczuwania rozkoszy zmysłowych i trzeźwego myślenia. Pomieszały się w ich głowach elementarne zasady piękna, logiki i stylu. Wyrażają się, jak obłąkani lub zdziecinniali starcy, a wierzą, że niosą ludzkości nową ewangelię.

Odtwarzając oblicze XIX wieku na podstawie dokumentów literackich jego drugiej połowy (powieści, dramatów, komedyj, poezyj) nie będzie mógł przyszedł historyk dobrać barw bardzo jasnych, wszędzie bowiem dostrzeże albo rysy, stargane namiętnością zmysłową i chciwością używania, albo zwiędły uśmiech przesytu. Człowiek współczesny przedstawi się mu pod postacią zwierzęcia, zawiedzionego w nadmiernych pożądaniach. *) Głos duszy usłyszy tak rzadko, iż pominie go zupełnie.

A drugie zwierciadło naszego czasu?

Wystarczy zestawić głównejsze telegramy jakiego-

*) Literatura polska tworzy jasną plamę na brudnym tle belletrystyki europejskiej. Ma ona, z małymi wyjątkami, ręce czyste i dużo poczucia obowiązku. Trucicielami swojego społeczeństwa autorowie polscy nie byli. (Przyp. autora).

kolwiek dziennika, aby się przekonać, że się ogólny poziom moralności nie podniósł, mimo licznych teoryj etycznych, które miały wszczepić w człowieka cywilizowanego uczucia altruistyczne, nauczyć go poszanowania obowiązku i wstrętu do cudzej krzywdy.

Oto, co ogłosił światu telegraf w przeciągu dni kilkunastu:

London, 8 listopada: Chińczycy muszą port Artura wraz z dwunastoma tamże stojącymi okrętami wojennymi wysadzić w powietrze, jeżeli nie mają go zagarnąć japończycy. — *Rzym:* W Borghetto, w Sycylii, anarchiści napadli i spalili dom gminny. — *Rzym:* W Rimini, przed domem syndyka, wybuch bomby wyrządził znaczne szkody.

London, 10 listopada: „Times“ donosi z Chefoo, że pod Talienwan toczyła się trzydniowa nierozstrzygnięta bitwa. — „Times“ donosi, że dwaj amerykańscy fabrykanci torpedów zawarli z Chinami umowę, w której obowiązują się torpedami swojemi zburzyć flotę japońską.

London, 13 listopada: W pałacu sprawiedliwości znaleziono bombę z palącym się lontem. — *Berlin:* Z powodu zamordowania przez maurów marokańskich poddanego niemieckiego, Neumanna, poseł niemiecki otrzymał rozkaz i t. d. — *Paryż:* „Libre Parole“ donosi, że Dreyfuss wydał Niemcom dokumenty, odnoszące się do wynalazku Turpina.

Berlin, 15 listopada: Jutro ma się zgromadzić sąd wojenny celem osądzenia sprawy uczniów wojskowej szkoły pyrotechnicznej.

Berlin, 16 listopada: Niezmierne wrażenie obudził tutaj proces, wytoczony przez spadkobierców Maurycego Friedländera, zmarłego przed rokiem poważnego bankiera i radcy handlowego, Meyerowi Kohnowi, którego oskarżają o sprzeniewierzenie spadku. Chodzi o przeszło milion marek. Adwokat Cohn odebrał sobie życie. — *Medyolan:* Z Cagliari donoszą, że ostatniej nocy stu brygantów napa-

dło na miejscowości Tortoli. Rabusie zrabowali domy i zamordowali karabinierów. — *Rzym*: Dzienniki zapewniają, że były prezes ministrów, Giolitti, wezwany będzie do sądziego śledczego w sprawie wykradzenia z jego polecenia dokumentów w procesie „Banca Romana.“ — *Londyn*: Z Szangaju donoszą, że marszałek Yamagata odniósł nowe świetne zwycięstwo nad kawaleryą chińską. — *Rzym*: W Sycylii brigantaggio z powodu głodu i nieurodzaju zboża i wina przybiera zastraszające rozmiary. — *Insbruck*: Morderca kobiet, mularz Mayr, przyznał się do winy.

Londyn, 17 listopada: Generała Wei ścięto wczoraj za tchórzostwo, okazane w obliczu nieprzyjaciela. — *Paryż*: W izbie deputowanych interpelował Lamendin rząd z powodu usunięcia w kopalniach *Nord* wielu robotników, którzy uczestniczyli w znowach. — *Bruksella*: Z Charleroi telegrafują, że panuje tam wielkie przerażenie, gdyż w nocy dokonano kilku zamachów na pociągi kuryerskie pomiędzy Bruksellą a Paryżem. Przetawiono sygnały. Obawiają się wielkich nieszczęść.

Amsterdam, 20 listopada: Pięć batalionów zaatakowało Tiakranegara i zdobyło miasto. Walka była bardzo zacięta. — *Londyn*: „Times“ otrzymał wiadomości ze Smyrny, potwierdzające okrucieństwa, popełnione przez wojska tureckie. — *Paryż*: W Pont-à-Mousson aresztowano dwóch szpiegów niemieckich.

Londyn, 22 listopada: Żołnierze japońscy w porcie Artura zrabowali miasto i wymordowali prawie wszystkich mieszkańców. Wielu jeńców chińskich rozebrano i rozstrzelano; niektórym rozplątano brzuchy, innym poodejmowano członki. — *Lwów*: Siedmdziesięcioletni właściciel biura wywiadowczego, Langford, zastrzelił żonę staruszkę a następnie siebie. — *Lwów*: Wiktor hr. Baworowski, tłumacz Byrona, milioner, odebrał sobie życie przez poderżnięcie gar-

dła. — *Paryż*: Odbyły się dalsze rewizye w sprawie szantażu prasowego. Odkrycia są istotnie przerażające.

Chyba dosyć... Bitwy morskie i lądowe, wysadzanie okrętów w powietrze, pastwienie się nad zwycięzonymi, mordowanie bezbronych, nienawiści, napady bandytów, bomby anarchistów, wykolejanie pociągów, krzywoprzysięstwa, fałszowanie testamentów, szantaże, szpiegostwo, zmowy robotników, samobójstwa starców z nędzy i t. d. — złożyła kiedyś cywilizacyi naszych czasów świadectwo bardzo smutne.

A wszystko to stało się w przeciągu dni kilkunastu i powtarza się bezustannie.

Gdy się do telegramów doda rubryki sprawozdań sądowych i drobnych wiadomości — oszustwa, kradzieże, rozmyślne bankructwa, lichwę, wiarołomstwa, ojco- dziecio- i samobójstwa, napady i mordy w celach rabunku, procesy o spadki, obalania testamentów, przeniewierstwa urzędników bankowych i t. d., — powstanie obraz tak wstrętny, iż trudno się dziwić pogardzie pesymistów dla człowieka.

Nie paradoks wygłosił Baudelaire, gdy wołał: „W każdym numerze jakiegokolwiek gazety, bez względu na dzień, miesiąc, rok, w każdym jej wierszu spotykamy ślady najstraszniejszej przewrotności ludzkiej obok zdumiewających przechwałek uczciwości, dobroci i miłosierdzia i najbezcenniejszych zapewnień, odnoszących się do postępu i cywilizacyi. Każdy dziennik, począwszy od pierwszego wiersza do ostatniego jest stekiem zgrozy: wojny, kradzieże, zbrodnie, szal powszechnego okrucieństwa... Ze wszystkiego na tym świecie sączy zbrodnia: z gazety, z muru, z twarzy człowieka.“

Myli się tylko Baudelaire, gdy obwinia gazety o rozmyślne lubowanie się w brudzie. Nie one winny, że z kart ich sączy się zbrodnia, lecz człowiek, który dostarcza ciągle tak bogatego materiału nizezemności. Dzienniki

zaznaczają tylko wypadki jaskrawe, pomijając miliony owych drobnych podłości, z których się życie składa, — owe zawiści, podstępny, zdrady, nieuczciwości codzienne, nie pociągane do odpowiedzialności sądowej, a łamiące mimo to bardzo często szczęście bliźniego.

Tylko wypasiony filister lub bezkrytyczny optymista może być zadowolony z owoców cywilizacji naszych czasów.

Człowiek w ogóle nie nauczył się dotąd niczego od proroków, myślicielów, poetów i bohaterów, których swojego czasu krzyżował, więził, głodził, poniewierał — niczego od natchnionych i szlachetnych. Jak był samolubem, ulegającym jedynie przemocy, tak został nim. Zmieniły się w niektórych wypadkach formy egoizmu, złagodniały, wygładziły się, ale istota rzeczy trwa dotąd i trwać będzie jeszcze długo.

Do pospolitych występków wszystkich czasów przybyły w ostatnim stuleciu przewrotności, znane tylko epokom zwyrodnienia fizycznego i moralno-umysłowego. Kronika skandaliczna stolic europejskich przypomni przyszłemu historykowi XIX stulecia wybryki i dziwactwa Rzymu Antoninów i miast włoskich z końca wieków średnich.

Dość zestawić cechy znamienne upadającej Romy z rysami charakterystycznymi dzisiejszego Paryża, aby zamknąć usta chwalcem chwili obecnej.

Jak w stolicy nadsekwańskiej, tak wypędziła i w mieście miast nad Tybrem zdawkowa oświata bogów ze świątyni i z serc inteligencji. Marek Aureliusz pozwalał wszystkim wyznaniom ówczesnego „świata“ istnieć obok siebie dla wszystkich równie pobłażliwy i obojętny. Chociaż składał urzędowo ofiary mieszkańcom Olimpu i duchom opiekuńczym Rzymu, uznawał właściwie tylko swojego własnego, nieokreślonego, filozoficznego Boga.

Bezwyznaniowość, sceptyczm, pesymizm trawiły Rzym

Antoninów tak samo, jak Paryż współczesny. Filozofowali, mędrkowali, medytowali, bawili się w subtelności psychologiczne senatorowie i plebeje, mężczyźni i kobiety. Dzisiejszą sawantkę, „niebieską pończochę,“ znał już Juwenalis, a drwili z niej wszyscy satyrycy drugiego stulecia ery chrześcijańskiej.

Wszakże za Marka Aureliusza to żył Lucyan, protopłasta naszych Heine'ych, Baudelaire'ów, Richepin'ów i wszelakich bluźnierców.

I chorobliwa erotyka grasowała w upadającym Rzymie tak samo, jak w dzisiejszym Paryżu. Autorowie greccy obrabiali miłość bez końca, a publiczność pochłaniała ich lubieżne elukubracye bez znużenia. Całą górę tkliwych romansów zostawił po sobie gorszący geniusz starego świata.

Równoległe z erotyką w powieści i elegii szło praktyczne wyuzdanie płciowe. Współcześni rozkosznicy nie dodali do pomysłów dekadentów rzymskich nic nowego. Uczą się oni od nich tylko, naśladowują ich, nie mogąc prześcignąć.

Zanik poczucia obowiązku, tak silnego w Rzymie królów i pierwszych konsulów, że stworzyło cały legion bohaterów i długi szereg wielkich obywateli, świecących dotąd przykładem, — i niezwykle rozkwit samolubstwa (indywidualizmu) toczyły jak rak cesarstwo Antoninów, niweczając pracę pokoleń, które mniej filozofowały, a więcej czyniły.

Chciwość złota rzucała potomków historycznych rodów w objęcia córek zbogaconych poborców, celników i kupców, łamała charaktery, drwiła z dumy i cnoty. Jak dziś w stolicach europejskich, zawierano i w upadającym Rzymie mnóstwo małżeństw mieszanych i korzono się przed parweniuszami bez zasługi osobistej. Za pieniądze, zarobione w oszukańczych przedsięwzięciach, rozdawała „złota, oświecona“ Roma pierścienie rycerskie.

I literaturę dekadencją mieli wytwornisie rzymscy.

W okruchach pomników piśmiennych, które zachowały się z owych czasów, stłumiła gra słów myśl, forma treść. Poezycy cesarza Hadryana przypominają utwory Moréas'ów Kahn'ów i in.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że cywilizacja nowoczesna doszła do tej samej mety, na której stanęła cywilizacja grecko-rzymska za Antoninów.

Gostków—Warszawa.
Listopad—Grudzień 1894 r.

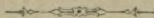
KONIEC.

Z KSIĘGOZBIORU
Stanisława Milewskiego

Nr. kol. _____ Dział _____ Nr. dz. _____

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I. Rozkład cywilizacji rzymskiej	od str.	3	do	52
II. Rozkład cywilizacji nowoczesnej	"	52	"	82
III. Dekadentyzm w literaturze francuskiej. Baudelaire	"	82	"	105
IV. Paweł Verlaine.—Maurycy Rollinat.—Jan Richopin	"	105	"	156
V. Maurycy Maeterlinck	"	156	"	174
VI. Dekadentyzm w powieści francuskiej	"	174	"	184
VII. Dekadentyzm w literaturze niemieckiej. Fryderyk Nietzsche	"	184	"	200
VIII. Zakończenie. Człowiek współczesny w oświe- tleniu literatury i prasy	"	200	"	211



~~1~~

957/1537





123781

/1